

UŁÓŻ SIĘ

rozmowy o Bogu, człowieku i świecie

David
Kotodzieńcył of



SPIIS TREŚCI

Wstęp	5
-------	---

CZĘŚĆ I – CZŁOWIEK

1. Czy muszę chodzić do kościoła, by być wierzącym?	8
Dawid Kołodziejczyk OP	
2. Iść do czyścica czy pracować nad świętością?	21
z Elżbietą Wiater o świętości i świadomym rozwoju	
3. Jak pogodzić zło z dobrym Bogiem?	41
z Grzegorzem Chrzanowskim OP o pochodzeniu zła i granicach mocy Bożej	
4. Czy Boga należy się bać?	67
Dawid Kołodziejczyk OP	
5. Nie oceniaj! Módl się	72
z Wojciechem Morawskim OP o dobrej modlitwie i umiarze	

6. Nie marudź – uwielbiaj!	92
z Dorotą i Jakubem Herokami o radości, tańcu i uwielbieniu	
7. Dzielenie Słowem	110
w dwugłosie: Grzegorz Kuraś OP & Dawid Kołodziejczyk OP	

CZĘŚĆ II – MORALE

8. Wiara i magia	129
z Radosławem Brońkiem OP o zabobonach, popkulturze i żywej wierze	
9. Czy medytacji należy się bać?	150
Dawid Kołodziejczyk OP	
10. Moralna wrażliwość	158
z Dominikiem Jarczewskim OP o granicach wolności i racjonalnym sumieniu	
11. Chrześcijaństwo a mit	174
z Gawłem Włodarczykiem OP o storytellingu, dekonstrukcji i mitach stających się faktem	
12. Własna duchowość	194
Dawid Kołodziejczyk OP	

13. Kto pójdzie z tobą?	200
Dawid Kołodziejczyk OP	

CZĘŚĆ III – PIENIĄDZE

14. Wolny pieniądz	210
o podejściu do bogactwa i finanse w Kościele pyta Paweł Surga	
15. Jałmużna czy pomoc charytatywna?	226
z Anną Stadnicką i Marzeną Michałowską o pomocy, Ukrainie i dawaniu pieniędzy	
Zakończenie	242
O Autorze	244
Puzzle wiary	245

WSTĘP

Drogi Czytelniku,

trzymasz w ręku książkę, która – można powiedzieć – powstała na przestrzeni kilku lat. Jej bazą są rozmowy, jakie przeprowadziłem w ramach podcastu *Puzzle Wiary*. Każdy tekst ma swój wyjątkowy charakter, który wynika z dynamiki konkretnej rozmowy, a także pojawiających się w niej emocji, poruszanych tam spraw i zagadnień, jak i z tego, czym wtedy akurat żyłem. Mimo że teksty zostały zredagowane i ułożone w konkretnym kluczu, zapraszam Cię, byś – na ile to możliwe i na ile będziesz chciał – odnalazł w nich siebie: swoje emocje, to, co Cię zacięka-
wi, roześmiesz, zastanowi, czy oburzy. Przyznam, że trochę o to mi chodzi, by wrzucić Ci coś zadziornego do przemyślenia. Czytaj tę książkę, jak chcesz i kiedy chcesz: i na wrywki, i od deski do deski – każdy sposób dobry!

W książce *Ułóż się. Rozmowy o Bogu, człowieku i świecie* doceniam przede wszystkim to, że nie została napisana w oderwaniu od rzeczywistości. Powstała z życia: prawdziwego, codziennego, czasem zachwycającego, a często niełatwego – z konkretnych pytań i realnych spotkań. Nie tworzyłem jej przy biurku, ale napisało ją życie – nie tylko moje, ale przede wszystkim niesamowitych ludzi, których spotkałem na swojej drodze. Ta książka to wręcz uosobienie dynamiki naszej codzienności; nawet ten wstęp piszę, jadąc w odwiedzi-
ny do mojego Taty. Mam nadzieję, że i Tobie udzieli się ta dynamika,

a – co ważniejsze – odnajdziesz się w stawianych przeze mnie pytaniach i tematach, które poruszam. Bo może Twoją duchowością – tak jak i moją – jest szukanie: głębokie, wnikliwe, niekończące się. Nie lubię pozostawać na poziomie krótkich form i lekkich pytań, stąd spotykam się z naprawdę różnymi osobami: wierzącymi, niewierzącymi, zakonnikami, małżonkami i ludźmi stanu wolnego. Rozmawiam, szukam, pytam. Daleko mi do przyjmowania twardej sądów i nieotwartych na dyskusję (a raczej słuchanie) postaw. Stąd nawet jeśli w książce *Ułóż się* znajdziesz wyraziste teksty, to pamiętaj, że są one propozycją, pomysłem na rozwiązanie pewnych spraw i kwestii, a może nawet tylko sugestią – na pewno nie dogmatem. Nie bój się przyznać, że może Ty sam masz lepszego ode mnie czy moich rozmówców nosa do niektórych spraw. Nie uważam, że mamy pełny dostęp do prawdy. Jestem przekonany, że jej się szuka – pytając, studiując, pracując, pisząc, a nade wszystko: spotykając jej Źródło.

A gdyby przypadkiem wydawało Ci się, że odkryłem prawdę i wszystko zrozumiałem, to mogę Cię zapewnić, że tak nie jest. To, co wiem, często postrzegam jako puzzle – nie zawsze do siebie pasujące, czasem w zupełnie odmiennej kolorystyce, z nieprzekładalną do niczego wcześniejszego linią krawędzi czy w ogóle jako części innego obrazka. Mam jednak cichą nadzieję, że przeczytanie tej książki pomoże Ci ułożyć kilka elementów układanki swojej wiary, ale nade wszystko liczę, że ta publikacja sprowokuje Cię do postawienia wielu kolejnych pytań – takich, za którymi pójdziesz dalej z fascynacją na twarzy i głodem prawdy.

Dobrej lektury!

CZĘŚĆ I
CZŁOWIEK

1. CZY MUSZĘ CHODZIĆ DO KOŚCIOŁA, BY BYĆ WIERZĄCYM?

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Odpowiedź na tytułowe pytanie brzmi: NIE. Nie musisz chodzić do kościoła, by być człowiekiem wierzącym. Jednocześnie jednak samo powiedzenie „nie” nie wystarczy – potrzeba uzupełnienia, by odpowiedź była uczciwa i rzetelna.

Nie cofam oczywiście tego stwierdzenia, bo faktycznie jestem głęboko przekonany, że do kościoła naprawdę nie trzeba chodzić. To nie może być przymus, ale wolny wybór. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem człowiekiem niezwykle szanującym ludzką wolność. Powiem więcej: jestem przekonany, że Pan Bóg o wiele bardziej niż ja szanuje wolność. W związku z tym nie można powiedzieć komuś: „Musisz chodzić do kościoła”. Wtedy praktyki religijne stają się czystą powinnością, zaczynają kojarzyć się z obowiązkami i „odhaczaniem” punktów, a to na dłuższą metę nie przynosi dobrych rezultatów. Jestem więc głęboko przekonany co do tego, że nie trzeba chodzić do kościoła, ale szczerze zastanawiam się, czy da się być osobą wierzącą i nie uczestniczyć w liturgii.

Spróbujmy zatem spojrzeć na ten dylemat z różnych perspektyw, a co za tym idzie – postawić kilka dodatkowych pytań wynikających z okoliczności życia. Bo na przykład inaczej to samo

pytanie o uczestnictwo w niedzielnej mszy brzmi, gdy jestem w górach, na spływie kajakowym lub lecę gdzieś daleko samolotem, inaczej, gdy choruję na grypę albo covid, inaczej, gdy jestem starszą osobą, której zwyczajnie brakuje sił, a jeszcze inaczej, gdy jestem młodym, dorosłym człowiekiem, który mieszka w sporym mieście i po prostu ma weekend. Do tego też dokładają się nasze przekonania na temat modlitwy czy Kościoła, które mogą być różne – od opinii, że wystarczy iść na polanę i tam spotkać się z Bogiem, po takie, które silnie akcentują słabości i błędy instytucji kościelnych. Nie chciałbym pominąć wszystkich tych perspektyw, proponuję jednak zacząć od wsłuchania się w ludzi, którzy wyraźnie deklarują się jako wierzący, nie pytają o fundamenty wiary i z założenia chcą uczestniczyć w liturgii, ale pytają o to, co robić, gdy nie mogą być w niedzielę na mszy. Dla nich pomocne może być sprawdzenie, co na ten temat mówią dokumenty Kościoła – Kodeks prawa kanonicznego i Katechizm Kościoła katolickiego.

W niedzielę oraz w inne dni świąteczne nakazane, wierni są zobowiązani uczestniczyć we Mszy świętej; powinni ponadto powstrzymać się od wykonywania tych prac i zajęć, które utrudniają oddawanie Bogu czci, przeżywanie radości właściwej dniowi Pańskiemu albo korzystanie z należnego odpoczynku duchowego i fizycznego.

Przy zachowaniu prawa biskupów diecezjalnych, o którym mowa w kan. 87, proboszcz może, ze słusznej przyczyny i zgodnie z przepisami biskupa diecezjalnego, udzielić w poszczególnych przypadkach dyspensy od obowiązku przestrzegania dnia świątecznego

lub dnia pokuty, albo dokonać zamiany tego obowiązku na inne uczynki pobożne; to samo może uczynić również przełożony kleryckiego instytutu zakonnego albo stowarzyszenia życia apostołskiego na prawie papieskim, w odniesieniu do swoich podwładnych oraz innych osób dniem i nocą przebywających w domu*.

Przykazanie kościelne określa i precyzuje prawo Pańskie: „W niedzielę oraz w inne dni świąteczne nakazane wierni są zobowiązani uczestniczyć we Mszy świętej”. „Nakazowi uczestniczenia we Mszy świętej czyni zadość ten, kto bierze w niej udział, gdziekolwiek jest odprawiana w obrządku katolickim, bądź w sam dzień świąteczny, bądź też wieczorem dnia poprzedzającego”.

Eucharystia niedzielna uzasadnia i potwierdza całe działanie chrześcijańskie. Dlatego wierni są zobowiązani do uczestniczenia w Eucharystii w dni nakazane, chyba że są usprawiedliwieni dla ważnego powodu (np. choroba, pielęgnacja niemowląt) lub też otrzymali dyspensę od ich własnego pasterza. Ci, którzy dobrowolnie zaniedbują ten obowiązek, popełniają grzech ciężki**.

Jak widać, formalne nakazy wyznaczają bardzo szerokie ramy. Jasno wynika z nich, że generalnie mamy obowiązek uczestniczenia w niedzielnej Eucharystii, ale jeżeli nie możemy być na mszy w niedzielę, możemy pójść na nią w dniu poprzednim. Co więcej,

* Kodeks prawa kanonicznego, kan. 1247 i 1245, [cyt. za:] https://www.ekai.pl/wp-content/uploads/2021/12/KodeksPrawaKanonicznego_2021_12_15_pl.pdf [dostęp: 7.01.2025].

** Katechizm Kościoła Katolickiego, nr 2180–2181, [cyt. za:] <http://www.katechizm.opoka.org.pl/rkkkIII-2-1.htm> [dostęp: 7.01.2025].

jeśli istnieje słuszny powód lub uzyskamy dyspensę od naszego pasterza (proboszcza lub biskupa), możemy po prostu na mszy nie być. Przykłady?

Weźmy stosunkowo nieodległą w czasie sytuację pandemii choroby COVID-19, kiedy to biskupi udzielali wiernym dyspensy od niedzielного obowiązku uczestnictwa we mszy i tłumaczyli: „Droży wierni, nie musicie chodzić do kościoła w niedzielę, ponieważ zagraża to waszemu zdrowiu”. Szczerze mówiąc, myślę, że tego typu komunikaty były błędem. Dlaczego? Bo nie potrzebowaliśmy takiej dyspensy! Katechizm wprost podaje, że w sytuacji poważnego zagrożenia można opuścić niedzielą mszę. W wierze nie chodzi przecież o czysto legalistyczne podejście do spraw duchowych, ale o miłość do Boga i pragnienie spotkania z Nim. Oczywiście jest więc, że w sytuacji zagrożenia życia Bóg nie wymaga od nas spełniania nakazów prawa za wszelką cenę. Stąd uważam, że podczas pandemii biskupi zaniedbali okazję do kształtowania sumienia wiernych – nie odsyłali ich do katechizmu, tylko przyzwyczajali do czekania na opinie i decyzje episkopatu. Bóg nie działa zero-jedynkowo – „Nie ma cię na mszy, to spuszczam na ciebie pioruny”; On zaprasza nas do dojrzałości w wierze wyrażającej się też w samodzielnym dokonywaniu tego typu wyborów i – co trzeba podkreślić – nigdy nie spuszcza na nas piorunów.

Na marginesie tylko dodam, że msza online, która od czasów pandemii zyskała na popularności, tak naprawdę nie jest Eucharystią, tylko jej transmisją. Moim zdaniem – i to przekonanie staje się we mnie coraz bardziej wyraziste – dla tych, którzy nie mogą być na mszy, większym pożytkiem jest odprawienie

liturgii słowa niż obejrzenie mszy z Youtube'a. Dlaczego tak uważam? Uwzględniając oczywiście fakt, że różni ludzie rozmaicie podchodzą do mszy online, myślę, iż dla wielu głównym motywem wyboru transmisji jest chęć usłyszenia dobrego (lepszego niż na żywo w okolicznym kościele) kazania. Pewnie, że warto szukać dobrych treści, ale w kontekście niedzielnej mszy nie można przeakcentować znaczenia homilii. Ona nie jest fundamentem liturgii. Co więcej, kazania na mszy może w ogóle nie być. Dlaczego? Bo prawdziwym fundamentem liturgii słowa nie jest – nawet dobrze przygotowane – słowo kaznodziei, ale Słowo Boga. To Jego żywe Słowo porusza serce i dotyka człowieka do głębi. Stąd trzeba go słuchać na żywo, a nie za pośrednictwem mediów. Jeśli zaś chodzi o liturgię eucharystyczną, to jej transmisję można porównać z oglądaniem w telewizji palącego się kominka bez doświadczania jego ciepła i blasku albo z opowieściami o smakowitych potrawach, którymi ktoś się zajada, a ja tylko o nich słucham. Dlatego jeśli nie możemy uczestniczyć w niedzielnej mszy, lepiej zamiast oglądania transmisji znaleźć czas na osobiste czytanie Słowa, medytację, modlitwę, czyli spotkanie z Panem Bogiem.

Podsumowując, w przypadku choroby lub innej poważnej przeszkody nie zaciągamy grzechu ciężkiego, jeśli nie jesteśmy w niedzielę na mszy; podobnie, gdy ktoś osiąga znaczny wiek i nie ma siły lub możliwości opuścić domu, by iść do kościoła. O tym nie muszą przekonywać nas dodatkowe dekrety, zgody ani zalecenia duszpasterskie, tylko jest to wyraźnie zapisane w powszechnie dostępnych dokumentach Kościoła.

W dyskusjach o uczestnictwie w niedzielnej Eucharystii wraca pytanie o to, czym jest ów „ważny powód” – jak odróżnić coś błahego od poważnego. Tu oczywiście pojawia się kwestia naszego sumienia i dobrego rozeznania. Gdy ktoś ma zaplanowany na niedzielę dwudziestogodzinny lot samolotem, to dość oczywiste jest, że nie ma szansy być na mszy. Jednocześnie jednak warto się zastanowić, czy nie poprosić proboszcza o dyspensę lub iść na mszę w sobotę wieczorem. Moim zdaniem, jeśli takie sytuacje nie zdarzają się regularnie, tylko od czasu do czasu lub przypadkowo, to bez wyrzutów można uznać, że jest to ważny powód. Uczulałbym natomiast każdego z czytelników, by nie wyrabiać w sobie skłonności do uznawania niemalże każdej przeszkody za poważną. Zbyt częste rezygnowanie z Eucharystii wiąże się z ryzykiem utraty wrażliwości sumienia na to, co rzeczywiście jest wystarczającą przyczyną do rezygnacji z mszy, a co już nie.

Z tematem wewnętrznej wrażliwości łączy się pytanie o to, co znaczy być wierzącym i czy nierozdzielnie wiąże się to z chodzeniem do kościoła. Spotkałem na swojej drodze wielu ludzi, którzy kształtując swoją wiarę, trzymali się poglądu: „Chodzę do kościoła, ale przecież to nie jest istota chrześcijaństwa”. I tak, i nie – otwiera się nam tu kolejne ważne zagadnienie, jakim jest świętowanie niedzieli.

Pierwszego dnia tygodnia, czyli w niedzielę, Jezus Chrystus zmartwychwstał. Dlatego właśnie ten dzień nie powinien kojarzyć się wierzącym z obowiązkiem, tylko ze świętem – ich osobistym czasem radości! Bóg zdecydował się przeprowadzić każdego z nas ze śmierci do życia i wspominając ten fakt, dobrze jest się

na chwilę zatrzymać i skupić na Stwórcy. Nie chodzi więc o to, by „odbębnić” mszę, tylko – odkładając na bok pracę i inne obowiązki – ucieszyć się w tym dniu relacją z Bogiem, budować ją i świętować. To dzień, w którym dobrze nie koncentrować się na robieniu wszystkiego dookoła, tylko na wierze. Szukanie najkrótszej mszy lub kalkulowanie, gdzie bezboleśnie zaliczy się liturgię, to raczej nie są postawy wydobywające istotę niedzieli. Oczywiście nie mam nic przeciwko krótszym mszom – sam takie odprawiałem przez kilka ostatnich lat. W tym kontekście najważniejsze nie są minuty, ale twoje serce i wewnętrzne nastawienie.

Gdy myślę o wyjątkowości niedzieli, uświadamiam sobie, że jakiegokolwiek świętowanie nie jest czymś, do czego można kogoś przymusić. Ono jest w moim sercu, głęboko dotyka mojego życia. Stąd tak jak nie da się wymóc na kimś świętowania, tak nie można kogoś zmusić do tego, by poszedł na mszę. Pierwsi chrześcijanie, aby uczestniczyć w liturgii, często musieli pokonywać długą drogę, by dojść na miejsce zgromadzenia. Zbierali się w domach, najpierw wspólnie się modlili, a potem organizowali agapę – przyjęcie, podczas którego po prostu cieszyli się sobą nawzajem. Pokazuje to, że Eucharystia w pierwotnym zamyśle jest czymś, co ma rozlewać się na całe nasze życie, a nie stanowić tylko jakiś punkt do odhaczenia.

Tym sposobem dochodzimy do innego ważnego pytania: czy da się być wierzącym bez chodzenia do kościoła? Czyli powiedzmy, że mamy przed sobą kogoś, kto z sympatią patrzy na wiarę i może nawet na Kościół, ale zupełnie odmienne uczucia żywi w stosunku do liturgii i sakramentów/hierarchii. Co w takiej sytuacji? Myślę, że potrzeba tu wielkiej ostrożności i delikatności.

Każdy z nas ma inną historię życia – u niektórych taki moment będzie etapem przejściowym w dochodzeniu do uczciwości i dojrzałości w wierze, u innych to kwestia zaniedbania wynikającego ze zbyt powierzchownego potraktowania sprawy, u kolejnych osób będzie się to wiązało z jakimś trudnym epizodem historii rodzinnej, a dla jeszcze innych powodem takiego spojrzenia może być coś zupełnie odmiennego. Dobrze brać pod uwagę wszystkie te życiowe komplikacje i nie osądzać ludzi – ten sąd zdecydowanie trzeba zostawić Panu Bogu, a samemu przyjąć postawę nadziei wobec dalszej historii życia naszych braci i siostr. Mimo wszystko jednak jestem przekonany, że budowanie głębokiej relacji z Bogiem bez Kościoła jest raczej niemożliwe. Dlaczego?

Nagrywając podcasty, spotykam wielu ludzi, którzy mają naprawdę bardzo różne pomysły na wiarę, i gdy przyglądam się ich osobistym sposobom jej postrzegania, to dochodzę do wniosku, że wiara jest przede wszystkim postawą serca. W tej postawie przyjmuję, że Bóg naprawdę istnieje i chce dla mnie dobra, a ja jestem z Nim w realnej relacji. Jeżeli wierzę, nierozzerwalnie wiąże się to z zaangażowaniem w budowanie więzi z Bogiem. Idąc tym tropem, praktyka liturgiczna to okazja do spotkania z Nim. Niedzielną Eucharystią zamienia się zatem w wyjątkowe miejsce spotkania, gdzie w szczególny, bliski sposób mogę Go dotykać i poznawać. Podobnie jak w małżeństwie, tak i z Bogiem nie da się utrzymać relacji bez spotkań i rozmów. Oczywiście można żyć w pewnym dystansie, ale przypomina to raczej separację niż bliską więź i prowadzi to – tak mi się przynajmniej wydaje – do nieuchronnego rozpadu relacji. Jeśli się z kimś regularnie nie spotykasz, to każdy z was zaczyna

żyć swoim życiem, a z czasem przestaje wam siebie nawzajem brakować. Analogicznie możemy mówić o wierze jako o procesie budowania relacji z Bogiem. I jak się łatwo domyślić, ona też może mieć różne stadia i odsłony – nie jest jednostajna lub dana raz na zawsze taka sama. Zmienia się, tak jak zmieniają się relacje, gdy aktywnie je budujemy. Może więc zdarzyć się tak, że w którymś momencie w mojej wierze będzie mi bliżej lub dalej do tego wymiaru relacji z Bogiem, jakim jest uczestnictwo w liturgii. Wiem z rozmów z ludźmi, że niektórzy na jakiś czas „odpuścili” chodzenie na mszę i w ten sposób zauważyli, że czegoś ważnego im brakuje, że tęsknią za taką bliskością z Bogiem. Stanowią oni jednak niewielki procent – większość, która przestała uczestniczyć w niedzielnej Eucharystii, nigdy nie wróciła do Kościoła, do Boga. Rezygnowanie z liturgii naprawdę przypomina separację małżeńską – im dłużej żyjesz bez liturgii, tym mniej ci jej brakuje, zaczynasz żyć po swojemu i z czasem po prostu odchodzisz od Boga.

Podsumowując, w tym porównaniu relacji z Bogiem do więzi w małżeństwie chciałem nie tyle pokazać, że aby być wierzącym, trzeba chodzić do kościoła, ile powiedzieć, że wiara buduje się wtedy, gdy świętujemy niedzielę. W ten sposób odstawiamy na bok wszystkie powinności i obowiązki, a skupiamy się na tym, co najważniejsze – prawdzie o zmartwychwstaniu.

Patrząc zaś z drugiej strony, chodzenie do kościoła nie jest oczywiście równoznaczne z byciem wierzącym i z posiadaniem żywej relacji z Bogiem. Wiele jest osób, które regularnie uczestniczą we mszy, ale traktują ją tylko jako powinność. Postrzeganie wiary w kategoriach obowiązku albo konkursu, w którym trzeba

zdożyć odpowiednią liczbę punktów, by wejść do nieba, wydaje się całkowicie sprzeczne z istotą chrześcijaństwa. Wiara jest związana z miłością; wyraża się w spotkaniu, a nie w powinności czy zobowiązaniu. Jeśli więc ktoś z czytających te słowa chodzi na mszę właśnie z takich legalistycznych pobudek, to pierwsze pytanie, jakie powinien sobie zadać, brzmi: „Kim jest dla mnie Bóg?”, a potem też kolejne: „Jaki obraz Boga noszę w sercu? Na jakiego Boga czekam? Z kim się spotykam podczas modlitwy, liturgii?”.

A może ktoś, czytając te słowa, właśnie sobie myśli: „To, co piszesz, ma sens, ale ja spotykam Boga poza Kościołem, gdy medytuję na łonie natury. Dlaczego umniejszasz wartość tego spotkania?”. Oczywiście nie deprecjonuję takiej modlitwy czy formy bycia z Bogiem. Moim celem było pokazanie, że liturgia – szczególnie zaś Eucharystia – jest uprzywilejowanym i niezwykle ważnym miejscem spotkania z Nim.

Często słyszę opinie: „Łatwiej mi modlić się poza miejscami do tego wyznaczonymi, a do kościoła przychodzę, gdy nikogo nie ma i jest cicho. Proszę Boga i dziękuję Mu, i jest mi z tym dobrze”. Przyznam, że uważałbym, by takie podejście nie przerodziło się w magiczne lub użytkowe postrzeganie wiary. W takiej postawie nie chodzi bowiem o spotkanie dwóch osób – mnie i Pana Boga – ale istotna jest tylko jedna, moja perspektywa: to, jak coś przeżywam, jak się czuję i co myślę. Taka postawa zaś wiąże się z niebezpieczeństwem subiektywizmu, relatywizmu i odrzucenia wszelkich niezmiennych rzeczywistości – w tym Boga.

Inni jeszcze powiedzą: „Mam Pismo Święte, po co mi reszta? Kościół nie jest mi potrzebny”. Ale uwaga – sama Biblia pokazuje,

że kiedy człowiek zaczyna działać na własną rękę, opierając się tylko na swoich opiniach, szybko tworzy sobie rozmaite bożki i zaczyna oddawać cześć im, a nie prawdziwemu Bogu. Właśnie Pismo Święte przestrzega przed takim zbyt zindywidualizowanym podejściem do szukania Boga. Jeśli polegamy tylko na sobie, znajduję Boga na swoją miarę: takiego, jakiego sobie wymyślę, wyobrażę, jakiego potrzebuję – ale niestety najczęściej nie jest to prawdziwy Bóg. Co więcej, Biblia powstała dzięki wierze i zaangażowaniu wielu osób, za sprawą rozeznania wspólnoty wierzących, bo przecież nie wszystkie teksty religijne tamtych czasów weszły do kanonu – czy nie jest to kolejny argument za tym, by przeżywać wiarę w Kościele? Istnienie Pisma Świętego zawdzięczamy współpracy Boga z człowiekiem, wsłuchaniu ludzi wierzących w natchnienia Ducha Świętego, stąd też byłoby dobrze, gdyby czytanie słowa Bożego i wprowadzanie go w życie odbywało się nie tylko indywidualnie, ale też we wspólnocie – w Kościele i przez pryzmat jego tradycji. Skoro Biblia powstała w Kościele, to i dzięki niemu jesteśmy w stanie ją zrozumieć. Ci ludzie, którzy siedzą obok mnie w ławce na mszy – moi bracia i siostry – pomagają mi interpretować słowo Boże, co chroni mnie przed wymyślaniem czy błędnym odczytaniem słów Pisma.

O znaczeniu wspólnotowego przeżywania wiary, które ma miejsce podczas liturgii, mówi też soborowa Konstytucja dogmatyczna o Kościele *Lumen gentium*. Czytamy w niej:

Uczestnicząc w Ofierze eucharystycznej, tym źródle i zarazem szczyście całego życia chrześcijańskiego, [wierni – przyp. red.] składają

Bogu boską Żertwę ofiarną, a wraz z nią samych siebie, w ten sposób zarówno przez składanie ofiary, jak i przez Komunię świętą, wszyscy biorą właściwy sobie udział w czynności liturgicznej, niejednakowo, lecz jedni tak, drudzy inaczej. Posileni zaś w świętej Komunii Ciałem Chrystusowym, w konkretny sposób przedstawiają jedność Ludu Bożego, której stosownym znakiem i cudowną przyczyną jest ten Najświętszy Sakrament*.

Podczas niedzielnej mszy świętej uczestniczymy więc i w liturgii słowa, i w liturgii eucharystycznej, w której składamy, wspominamy i uobecniamy ofiarę Jezusa Chrystusa, świętujemy Jego zmartwychwstanie, a także posilamy się Jego Ciałem, spożywając je pod postacią chleba – nie znajdziemy tego nigdzie indziej poza mszą świętą! Tego, co dzieje się na Eucharystii, nie da się w żaden inny sposób zastąpić! Chrześcijanie pierwszych wieków nie świętowali jak Żydzi w szabat – każdy w swoim domu – ale właśnie wychodzili, by spotkać się i wspólnie celebrować zwycięstwo Chrystusa oraz nowe życie w Nim. Zbierali się razem, by doświadczyć Jego bliskości przez wspólnotę. Tylko wchodząc w liturgię, można poznać jej głębię i niezwykłość. Gdy więc rezygnuję z liturgii, naprawdę tracę coś niezwykle ważnego w mojej relacji z Bogiem – odmawiam sobie fundamentu, na którym mogę zbudować niesamowitą bliskość z Nim.

* Sobór Watykański II, *Konstytucja dogmatyczna o Kościele Lumen gentium*, 11, [online:] <https://apologetyka.katolik.pl/lumen-gentium-konstytucja-dogmatyczna-o-kosciele/> [dostęp: 8.01.2025].

Oczywiście mam świadomość, że czasem podczas parafialnej mszy trudno poczuć tę wspomnianą wspólnotowość (co oczywiście nie jest jedynym i najlepszym wyznikiem wiary), ale może warto wtedy iść z osobą bliską lub znajomą i z nią podzielić się wiarą albo spróbować nawiązać kontakt z kimś nieznanym. Rozumiem też, że ktoś może czasem zniechęcać – lub wręcz odstręczać – muzyka, estetyka kościelna czy też niedbały, może tandetny sposób celebracji albo słabe, niedorzeczne, polityczne kazania; całkowicie rozumiem te estetyczno-emocjonalne argumenty. Gdy czasem słyszę, o czym mówi się podczas homilii, to mnie też to denerwuje i mierzi, i myślę, że nie można się na to zgadzać. Kościół tworzą ludzie – ułomni, słabi – trzeba więc reagować i zmieniać to, co złe, zgłaszać odpowiednim organom i mieć nadzieję na poprawę. Jednocześnie jednak myślę, że w naszych czasach w Polsce mamy szansę, by wybierać sobie kościoły, w których liturgia będzie sprawowana z dbałością i mądrością. Warto szukać takich miejsc, by dobrze i świadomie świętować niedzielę przez czytanie słowa Bożego (nie tylko słuchanie podczas liturgii, ale może też wcześniej rozważanie go w domu) i przystępowanie do komunii, bo to wszystko buduje naszą wiarę i rodzi jeszcze większą bliskość z Bogiem.

Z wiarą, Kościołem, a przede wszystkim z Panem Bogiem jest tak, że im bardziej się do Niego zbliżam, tym lepiej Go rozumiem. Choć wiele spraw nadal może wydawać mi się zawiłych i niełatwych, to coraz mocniejsze jest we mnie przekonanie o Jego obecności w moim życiu. Wiara to coś, co się buduje – w czasie, przez zmagania, ale i wytrwałość.

2. IŚĆ DO CZYŚĆCA CZY PRACOWAĆ NAD ŚWIĘTOŚCIĄ?

Z ELŻBIETĄ WIATER O ŚWIĘTOŚCI I ŚWIADOMYM ROZWOJU

Dawid Kołodziejczyk OP: Zaczniemy od pytania o to, czy można być świętym człowiekiem już tu na ziemi.

Elżbieta Wiater: Święty Paweł uważał, że tak.

A jak ty sądzisz?

Myślę, że pisma św. Pawła są natchnione, więc zgadzam się z nim. Zresztą podobnie sądzi też św. Jan, o czym czytamy w Apokalipsie, gdy zwraca się do wiernych w Kościele jako do świętych (por. np. Ap 8,3; 14,12). Potem w Kościele pojawi się rozróżnienie, które widać w języku łacińskim między pojęciami *sanctus* oraz *sacer*. Ten, o którym powiemy *sanctus*, jest święty z natury, a *sacer* to ten, który przynależy do sfery świętości. U św. Pawła mamy tylko jedno greckie słowo *hagioi*, którym określa on ochrzczonych – są oni święci, bo wejście do wspólnoty wierzących nie tylko kształtuje w nich nowy sposób życia, ale także ich człowieczeństwo.

Czyli jeżeli jestem ochrzczony, to znaczy, że automatycznie jestem święty? Moje uczynki i to, co robię w Kościele, w ogóle się nie liczą?

Niektórzy tak myślą. Zresztą dlatego wiele osób odchodzi z Kościoła zde gustowanych tym, że dostrzegają w nim grzeszność. Tymczasem świętość Kościoła jest nie tylko stanem, ale też procesem przypominającym rozwój ludzkiego ciała. Zaczyna się ono od jednej komórki, która ulega gwałtownym i dynamicznym podziałom, a potem człowiek rośnie, jego ciało się zmienia. Ponoć co siedem, dziesięć lat – w zależności od tego, o których komórkach mówimy – wszystkie „cegiełki” naszego ciała zostają wymienione, następuje całkowita renowacja. Podobnie ze świętością: początkiem jest chrzest, moment wszczepienia w Chrystusa. Można powiedzieć, że tak naprawdę to Bóg podejmuje największe ryzyko, bo przyjmuje każdego, kto wyznaje wiarę i przyjmuje chrzest, i się z nim jednoczy. Uświęcenie polega więc na wszczepieniu w Chrystusa, stawaniu się Jego ciałem i, jak pisze św. Paweł, otwieraniu się na Ducha Świętego, który od środka – można powiedzieć, że od strony duszy – nas kształtuje, byśmy osiągnęli pełnię człowieczeństwa na miarę Chrystusa (por. Ef 4,13), by Jego obraz w nas był jak najbardziej do Niego podobny. Doskonale zjednoczenie z Panem, które owocuje byciem Jego znakiem w świecie, Jego obecnością, widoczne jest w życiu świętych – tych kanonizowanych. O nich możemy powiedzieć, że w najdoskonalszy sposób zjednoczyli się z Chrystusem właśnie przez to, że pozwolili Duchowi Świętemu kształtować się od wewnątrz.

Czyli mówimy o tych, którzy już umarli? Kanonizacja to coś, co dzieje się po śmierci człowieka, gdy Kościół ogłasza, że pan X lub pani Y są święci – wiedząc, że już nic w ich życiu się

nie zmieni, i mając pewność, że nic przeciwnego ich dotychczasowym wyborom nie wydarzy się na łożu śmierci.

Tak, bo jak mawiał jeden z mnichów egipskich, nasza pycha umiera kilka godzin po naszej śmierci. Do tego jeżeli upadają ci, którzy stoją bardzo wysoko, to często ten upadek jest dramatyczny. Stąd też zresztą na ogół większe zgorszenie wywołuje grzech kapłana niż grzech przeciętnego Kowalskiego. Tak na marginesie, w tym kontekście widać wyraźnie, że Kościół jest strukturą hierarchiczną, przede wszystkim w wymiarze odpowiedzialności za dane Bogu i drugiemu człowiekowi słowo.

Wróćmy jednak do tego określania świętości. Powiedzmy, że mamy osobę, po śmierci której Kościół patrzy i ocenia jej życie w kategoriach świętości. Czy są jakieś konkretne kryteria i wyznaczniki? Na jakiej podstawie stwierdza się, że ktoś jest święty? I jak to się ma do tego, o czym przed chwilą mówiliśmy, że przez sam chrzest jesteśmy świętymi? Czy tę świętość z chrztu tracimy?

Jak najbardziej możemy ją stracić. W tej kwestii obowiązuje zasada, że jeśli przestajesz się rozwijać, nieodwracalnie zaczynasz się cofać. To działa podobnie jak u ludzi, którzy przerwali regularne treningi: od tego momentu następuje u nich atrofia mięśni, osłabieniu ulega wydolność systemu oddechowego i pojawia się jeszcze wiele innych poważnych konsekwencji. Trzeba ćwiczyć, by utrzymać formę – podobnie jest ze świętością. Gdy przestajemy

współpracować z Duchem Świętym, stawiamy barierę Jego działaniu w nas, a przede wszystkim kiedy rezygnujemy z modlitwy, która jest kluczowa dla rozwoju duchowego, następuje „atrofia” chrzcielnej świętości.

Mówi też o tym sam Jezus, gdy opowiada przypowieść o ziarnie posianym na różnej glebie – to, które wylądowało na drodze, zostaje porwane od razu, na skałach i wśród cierni coś wyrasta, ale szybko usycha lub zostaje zagłuszone i nie wydaje owocu (por. Mt 13,3–8). To opowieść właśnie o tych, którzy w pewnym momencie zaniedbali modlitwę lub uznali, że wiara jest czymś drugorzędnym. To sprawiło, że zaczęli się cofać w tej sferze życia.

Świętość rozumiana w sposób chrześcijański to nie tylko doskonałość życia, ale i komunია w tym, co święte, czyli w sakramentach i łasce. Jeżeli nie uczestniczymy z otwartością w sakramentach, jeśli nie przyjmujemy łask, czyli darów pochodzących od Ducha Świętego, ale otrzymywanych za pośrednictwem Kościoła – lub jeżeli nawet czerpiemy, ale ich nie wykorzystujemy – to sami do pewnego stopnia wyłączamy się z komunii w rzeczach świętych. Gdy z jakiegokolwiek powodu odpuszczam uczestnictwo w liturgii i chodzę raz czy dwa razy w roku do kościoła, żeby tylko mieć zaliczone minimum konieczne do tego, by móc nazywać się jeszcze katolikiem, to tym samym rezygnuję z tej komunii, czyli jednego z ważnych czynników duchowego wzrostu. A jeśli nie mam do czynienia z bodźcem pobudzającym mnie do jakiegoś działania lub go ignoruję, to ta część mnie zanika – na przykład staję się coraz mniej zdolny do słyszenia Boga i przyjmowania Jego natchnień, do życia

w Jego świetle. To, co było moim duchowym „mięśniem”, powoli zaczyna słabnąć i w najbardziej skrajnej sytuacji może dojść do tego, że zaniknie. Na szczęście Bóg nigdy nie poddaje się w walce o nas.

Podobnie mówił o tym św. Paweł, porównując dbanie o wiarę do wysiłków sportowca. Atletą musi regularnie dbać o ciało, angażować się w treningi, by utrzymać formę. Ze świętością jest podobnie – to nie jednorazowe, punktowe działanie, ale ciągła praca. Powiedziałas też, że świętość to odbijanie Jezusa w nas. Mogłabyś rozwinąć tę myśl?

Zacznę od chrztu. Elementem jego obrzędu jest publiczne wyznanie wiary, które ma formę dialogu. Gdybyśmy uważnie wsłuchali się w to, co w imieniu dziecka deklarują rodzice, albo jeśli mielibyśmy okazję być na chrzcie osoby dorosłej i skupili się na tym, co dzieje się, zanim padną słowa: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, to usłyszeliśmy, że najpierw następuje wyrzeczenie się szatana i wszystkich jego dzieł, a potem trzykrotnie wyznawana jest wiara. Właśnie to trzykrotne wyznanie otwiera katechumenowi drzwi do chrztu. Nie można go udzielić komuś, kto tego nie chce, bo wtedy ten sakrament będzie z definicji nieważny. Jeśli ktoś przyjmuje chrzest, musi go chcieć, a to pragnienie rodzi się z wiary w Chrystusa.

Dodajmy „gwiazdkę”, że w imieniu dziecka tę wolę deklaruja rodzice.

Tak, oni zaświadczają: „My to dziecko wychowamy w wierze, którą teraz wyznajemy w jego imieniu”. Współcześnie ten aspekt często jest ignorowany. Niestety nie wszyscy rodzice rozumieją, że kiedy tuż przed chrztem w imieniu dziecka mówią: „Wyrzekam się”, a potem trzykrotnie: „Wierzę”, tym samym zobowiązują się: „Wychowam to dziecko w ten sposób, że ono to wyznanie wiary powtórzy za kilka, kilkanaście lat”. Przypomina im to kapłan tuż przed polaniem główki dziecka wodą i wypowiedzeniem formuły – tu jednak otwiera się szeroki temat tego, na ile poważnie traktujemy słowo, szczególnie to wypowiedziane na liturgii, ale nie ma tu na to miejsca.

Czyli bramą do chrztu jest wyznanie wiary, a chrzest stanowi bramę do świętości. Jak najprościej zdefiniowałabyś tę świętość?

Doskonale zjednoczenie z Chrystusem. I tu z kolei ja chciałabym dodać „gwiazdkę”: współcześnie bardzo modne wśród wielu chrześcijan jest postrzeganie naszego zjednoczenia z Bogiem w sposób, który *de facto* jest gnostycki. Mam na myśli wizję mówiącą, że przestajemy istnieć, bo całkowicie zlewamy się z Bogiem i tracimy przez to tożsamość – znikamy. Dla nas, chrześcijan, właściwym zaś modelem owego zjednoczenia jest małżeństwo, o czym możemy przeczytać chociażby w słynnym fragmencie z Listu do Efezjan o „wielkiej tajemnicy” (zob. Ef 5,21–33). Dlatego zresztą małżeństwo tak bardzo jest przez Kościół doceniane, bronione i obwarowane wieloma zasadami. Jedność małżeńska

bazuje na relacji, a właśnie tę ostatnią koncepcję chrześcijaństwo wniosło do filozofii, kultury i postrzegania Boga.

Bóg jest jeden, ale jako Trójca jest relacyjny. Aby mogła zaistnieć relacja, z jednej strony musi zachodzić pewna tożsamość (zarówno w przypadku Boga, jak i małżonków jest to jedność natury), ale z drugiej – musi być też jakaś zasadnicza różnica. Relacja małżeńska jest możliwa dzięki temu, że małżonkowie są zróżnicowani i to bardzo głęboko, bo płciowość przenika wszystkie wymiary cielesności. Ta odmiennność nadaje relacji dynamikę i ją wzmacnia. Podam banalną analogię: jeśli mamy dwa takie same elementy i wrzucimy je do pudełka, to powstanie grzechotka, ale jeśli mamy dwa różne kawałki, które jednak jak puzzle doskonale do siebie pasują, to ich jedność jest mocniejsza, bo się uzupełniają i obejmują.

Ojcowie Kościoła, opisując jedność Trójcy, używali dynamiczniejszego obrazu, który mnie także bardziej odpowiada – mówili o tańcu, grec. *perychoresis*. Jedność Boga to nieustanny ruch, przepływ; zresztą podobnie zmienna i elastyczna względem okoliczności jest zdrowa relacja małżeńska. Role ojca, matki, mężczyzny, kobiety podlegają przecież zmianom wraz z upływem czasu i kolejnymi wydarzeniami. Zachodzi między nimi nieustanna, żywa wymiana, a więc ich jedność opiera się na ciągłej komunikacji. Jest ona fundamentalna, bo – jak mówiliśmy – te dwie osoby bardzo głęboko się od siebie różnią, ale jednocześnie są w stanie porozumieć się ze sobą, ponieważ łączy je to samo doświadczenie człowieczeństwa, bycia człowiekiem.

Bóg oczekuje od nas, że będziemy coraz bardziej sobą – chce nas poprowadzić do osiągnięcia najbardziej doskonałej wersji nas

samych. Świętość polega na osiągnięciu pełni naszej osobowości, bo Trójjedyny chce wejść z nami w komunikację, a nie nas w siebie wessać. Nosimy w sobie Jego obraz, który jest – jak w zbiorach matematycznych – przestrzenią wspólną, będącą warunkiem bezwzględny komunikowania się, i w tym samym momencie każda i każdy z nas jest osobą, a więc może wejść z Nim w jedną w swoim rodzaju, niepowtarzalną relację. To właśnie świętość.

Bardzo trafnie pokazuje to też C.S. Lewis w *Listach starego diabła do młodego**. Przedstawia on tam piekło jako rzeczywistość, w której demony pożerają siebie nawzajem i potępionych, zasysając ich i traktując jak wampir ofiarę, czyli jako całkowicie podporządkowane źródło „zasobów”. W relacji z Bogiem mamy inaczej – jedność jest zbudowana na różnorodności, a dzięki tej ostatniej następuje o wiele głębsze zjednoczenie. Bóg Ojciec przyjmuje nas do Trójcy dlatego, że jesteśmy podobni do Jego Syna. Im bardziej się do Niego upodobnimy, im bardziej zjednoczymy się z Chrystusem, tym pełniej wejdziemy w mistyczny taniec Trójcy. Świętość zatem to dążenie do doskonałego zjednoczenia się z Synem Bożym na drodze stania się najdoskonalszą wersją samego siebie. A nasza doskonałość opiera się z jednej strony na tym, co jest nam dostępne w Objawieniu, a z drugiej – na działaniu Ducha Świętego w nas. Każdy z nas jest niczym jedyny w swoim rodzaju klejnot, przez który przechodzi światło Trzeciej Osoby Trójcy, dlatego też nikt nie jest w stanie zająć mojego miejsca w tym świecie ani być taki sam, jak ja.

* C.S. Lewis, *Listy starego diabła do młodego*, tłum. S. Pietraszko, Warszawa 1993.

A co z tymi ludźmi, którzy nie stali się doskonałym puzzlem połączonym z Bogiem, a umarli?

Możliwe są dwie wersje wydarzeń. Jeżeli po śmierci, w chwili stanięcia twarzą w twarz z Chrystusem, powiedzą: „Bądź wola Twoja”, wtedy zaczną się dokonywać ich oczyszczenie – zostaną zaproszeni do czyśćca. Jeśli powiedzą: „Chcę, żeby stała się moja wola”, to Bóg im pozwoli na odejście, czyli zerwanie z Nim relacji. A taki stan nazywamy piekłem.

Czyli, mówiąc krótko, po śmierci: czyścić albo piekło.

Dla osób nie do końca zjednoczonych z Bogiem – tak, bo ci, którzy osiągnęli świętość za życia, mają trzecią opcję: *visio beatifica*, czyli wejście do nieba. Choć trzeba pamiętać, że czyścić to też wspólnota osób już zbawionych, takich świętych *in progress*.

Wchodząc trochę w skórę osób, dla których nie jest to oczywiste, chciałbym dopytać: ale jak to? Czy w czyścicu nie można już zmienić zdania? Co w ogóle robią ludzie, którzy się tam znajdują?

Zasadniczo się oczyszczają, co często jest opisywane obrazem ognia – z tym że trzeba pamiętać, iż czyścić nie jest miejscem, tylko stanem.

W chwili śmierci każdy człowiek staje przed ostateczną decyzją. To jest wybór, którego nie będziemy w stanie zmienić z tego

względem, że – tak wierzymy w Kościele – staniemy twarzą w twarz z Bogiem, więc doświadczymy Jego pełnego poznania, jak aniołowie. Jeżeli w tym momencie powiemy Bogu „nie”, będzie to „nie” już na wieczność.

Każdy grzech zostawia w nas ślad. Orygenes, komentując Księgę Rodzaju w serii *Peri Archon (O zasadach)*, przypominał, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo: obraz jest nienaruszalny, bo wpisany w naturę człowieka, więc nie da się go wymazać, grzech jednak powoduje zatarcie się w nas podobieństwa – obraz Boga staje się coraz mniej czytelny*.

Podobnie jak stare obrazy w kościołach są zaniedbane, niekonserwowane i stają się coraz ciemniejsze, niewyraźne – dopiero po poddaniu ich solidnym procesom chemicznym odzyskują swój blask.

Tak, zatem czyścić polega zasadniczo na tym, że po ostatecznej decyzji, jeśli człowiek wybrał Boga, powiedział Mu: „Chcę żyć w jedności z Tobą na wieczność”, zostaje poddany oczyszczeniu. W chwili sądu szczegółowego człowiek zobaczył, co przez swoje grzechy wyrządził w życiu, jak zniekształcił m.in. to, jak postrzegany jest Bóg, on sam i inni; trzeba więc, aby miłość Boga i tęsknota za Nim „wypaliły” w nim wszystko, co jest przywiązaniem dominującym nad relacją z Trójcą.

Grzech przypomina pajęczą nić – popelniając go, przyklejamy się do niej, a im bardziej się wtedy szarpiemy, tym mocniej stajemy się

* Orygenes, *O zasadach*, tłum. S. Kalinkowski, Kraków 1996, s. 310–311.

nią owinięci. Jak w twoim przykładzie: grzech, jeśli chodzi o skutki, przypomina procesy chemiczne, które powodują, że werniks na obrazach ciemnieje. Aby odwrócić ten proces, trzeba najpierw zdjąć werniks, a potem uzupełnić kolory. Podobnie należy przeciąć, usunąć nici grzechu, by uwolnić człowieka. Czyścić to – mówiąc metaforycznie – czas rozcinania sieci i zdejmowania werniksu.

Brzmi strasznie; zaczynam się bać, że tam trafię. W tym kontekście nawet piekło wydaje się bardziej atrakcyjne...

Trzeba pamiętać, że różnica między czyścem a piekłem polega na tym, że czyścić się kiedyś skończy. Dlatego tak ważna jest modlitwa za tych, którzy tam przebywają – oni nie mogą modlić się za samych siebie, stąd wstawianie się za nimi to jeden z uczynków miłosierdzia. Wielkim darem, który możemy im ofiarować, jest msza święta w ich intencji. Cieszy mnie, że w Polsce w wielu miejscach nadal istnieje praktyka zamawiania przez rodzinę kolejnych mszy za duszę zmarłego. I nie chodzi mi tu o kwestię finansowego wspierania księży, tylko o realną pomoc zmarłym.

Hm, ale skoro moment śmierci był dla tych osób chwilą podjęcia decyzji: „Tak, chcę być z Bogiem i zostać poddany oczyszczeniu”, to czego oni jeszcze potrzebują, skoro są już w bliskości z Panem?

Właśnie o to chodzi, że nie są w bliskości z Bogiem. Jeżeli jestem owinięta nicią, zamknięta w kokonie, to nawet jeżeli stoję czy leżę

obok kogoś lub czegoś, to nie znaczy, że jestem w bliskości z tym kimś lub czymś. Istnieje jakaś przeszkoda między nami, coś nas oddziela. Trzeba ten kokon zdjąć, by tę bliskość uzyskać.

Święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian mówi, że jeśli ktoś będzie przywiązany do rzeczy, spraw i osób innych niż Chrystus, ocaleje, ale przechodząc „jakby przez ogień”. Ten fragment uznawany jest za opis czyśćca (por. 1 Kor 3,13–15). Nie jest to łagodna wizja, o czym też mówią niektóre objawienia prywatne. Przyznam, że nie bardzo lubię się na nie powoływać, bo nie każdy musi je uznawać, ale gdy czytamy na przykład treść objawień fatimskich lub opowieści Marii Simmy, do której przychodziły dusze czyśćcowe, to opisy stanu tych ostatnich nie są sielankowe. Ci ludzie potwornie cierpią i potrzebują modlitwy, szczególnie Eucharystii. Także różaniec jest wspaiałą modlitwą wstawienniczą za zmarłych. Oni rozpaczliwie tęsknią za Bogiem i my możemy im pomóc w ukojeniu tej tęsknoty.

Co dokładnie sprawiają nasze modlitwy za nich? Skracają ich karę? Czy w ogóle można tu mówić o karze?

Tak, czyścić jest karą, ale karą naprawczą, stąd lepiej jego istotę oddaje słowo „oczyszczenie”. A jeśli chodzi o skutki naszych modlitw, wyobrażam je sobie – i tu zaznaczę, że to moja prywatna koncepcja, nie wyczytałam jej w katechizmie, gdyż tam ta kwestia nie jest precyzyjnie opracowana – jako rodzaj modlitwy wstawienniczej. We wspólnotach czerpiących z odnowy charyzmatycznej często ktoś modli się nad kimś wstawienniczo,

prosząc o jakąś łaskę, i Bóg jej udziela w stopniu i zakresie, jakie są dobre dla tego człowieka. Na tej samej zasadzie działają zresztą nasze relacje ze świętymi. I jak prosimy ich o wstawiennictwo w naszych intencjach, tak możemy być wstawiennikami w intencji osób zmarłych. Możemy modlić się: „Boże, ofiaruję Ci Ciało i Krew Twojego Syna, Jego Ofiarę, by wszystkie łaski uproszone dzięki tej mszy świętej nie były dane mnie, tylko zostały przekazane tej osobie, która jest w czyśćcu i cierpi”. Nasze modlitwy są jak katalizator przyspieszający proces oczyszczenia.

Czyli dzięki naszym modlitwom czyściec trwa dla nich krócej?

Tak, choć nie jestem pewna, na ile można tu używać naszych kategorii czasowych.

W tym kontekście zastanawiam się, jak z cierpieniem czyścica połączyć miłosiernego i kochającego Boga, który jest naszym Ojcem.

Według mnie kluczem jest prawda o ludzkiej wolności. Przyznam, że wolność jest tym, co mnie przyprowadziło do Kościoła i wciągnęło w niego głębiej. Wyszłam z religijności, którą określałam żartem jako nawykowy katolicyzm podlany sosem magiczno-pelagiańskim. Tymczasem wiara pozwoliła mi odkryć ogromne przestrzenie niedostrzeganej dotąd wolności. Gdy trochę poczytałam o chrześcijaństwie (moim mistrzem w tym zakresie był C.S. Lewis), przyjrzałam mu się wnikliwiej, odkryłam, że jest ono

przestrzenią wolności, radości i szczęścia, i że właśnie do takiego życia zostaliśmy powołani. Do szczęścia, które nie jest banalne i kiedyś się skończy, nie polega tylko na chwilowej przyjemności, po której czuję smutek, że to tylko tyle, ale które jest głębokim, trwałym pokojem i poczuciem, że jestem wybrana, ukochana na wieczność.

Bóg szanuje naszą wolność, a my, korzystając z niej, potrafimy też błędzić – czyli wybierać takie sposoby funkcjonowania, które albo wplątują nas w pewne schematy, albo w nich utwierdzają, przez co deformują i zacierają pierwotne podobieństwo do Niego. Czyściec to tak naprawdę szansa! To przestrzeń, którą Bóg nam daje, abyśmy mogli dojść do najdoskonalszej wersji nas samych, skoro nie udało nam się to w doczesności.

Opisując to innym obrazem, można powiedzieć, że grzech przypomina upośledzenie fizyczne. Oczywiście nie chcę obrazić osób z niepełnosprawnościami, bo mam do nich olbrzymi szacunek – zwłaszcza po tym, jak byłam u sióstr dominikanek w Broniszewicach i widziałam, jak funkcjonuje ich świat. Chodzi mi jedynie o pewien obraz fizycznego lub intelektualnego ograniczenia. W chwili naszej śmierci Bóg, zamiast uzdrawiać nas, mógłby stwierdzić: „A, dobra, będziesz sobie funkcjonował taki, jaki teraz jesteś”, ale On wybiera inaczej. Czyściec to Jego decyzja: „Słuchaj, nie będziesz dłużej żył ograniczony. Trzeba, żebyś przeszedł pewien proces oczyszczenia, trening, byś mógł stać się najlepszą wersją samego siebie. Bo tylko wtedy twoje szczęście będzie pełne, a zjednoczenie ze Mną doskonałe”.

Czyściec jest więc tak naprawdę przejawem Bożego miłosierdzia. Ma on formę, która jest dla nas mało przyjemna, ale trzeba

przyznać, że my zwykle nie zdajemy sobie sprawy z realnej skali skutków naszych grzechów. Wiąże się to między innymi z ludzką tendencją do racjonalizowania. Ten mechanizm oczywiście pomaga naszej psychice utrzymać się w pionie – gdybyśmy znali wszystkie konsekwencje naszych grzechów, mogłoby to być dla nas potwornie niszczące. Święty Jan Maria Vianney poprosił kiedyś Boga, by Ten pokazał mu w pełni jego grzeszność. I Bóg spełnił jego prośbę, ale proboszcz z Ars wytrzymał tylko dwie minuty, po upływie których błagał Pana, by odebrał mu tę wizję. Dlaczego? Zobaczył skutki swoich grzechów i to go tak przygniotło. A pamiętajmy, że był to człowiek uważany przez jemu współczesnych za chodzącego świętego i wzór pokory.

Mechanizm racjonalizacji stabilizuje naszą psychikę. Nie jest więc zły, ale musimy gdzieś z tyłu głowy zachować świadomość jego istnienia i działania. Skala naszych grzechów nie jest nam do końca znana – podobnie ich skutki. Czasem wyraźniej widzą to ci, którzy na przykład codziennie robią rachunek sumienia. Dostrzegają oni, że pewne grzechy czy nawyki zniekształcają ich działania; silniej doświadczają też niewoli, której przyczyną jest to zniekształcenie, a czasem własnej bezradności wobec grzechu, co zresztą sprawia, że kierują się ku Bogu, prosząc o Jego wsparcie. Tak na marginesie trzeba dodać, że grzech drugiego człowieka powinien budzić w nas współczucie i smutek, bo jest przejawem jego poranienia i jeszcze głębiej go kaleczy.

W czyścicu człowiek jest tego wszystkiego do głębi świadomy. Bóg przychodzi wtedy do niego z łaską oczyszczenia i podtrzymuje go dotąd, aż ono się zakończy.

Podsumowując, w momencie chrztu jesteśmy jak piękny obraz, na którym doskonale widać wszystkie kolory...

Wolę jednak alegorię rozwijającego się ciała, bo na początku tak naprawdę nie jesteśmy sami do siebie podobni. Przyjmujemy chrzest, by zdjęto z nas wszystkie warstwy, które zacierają podobieństwo do Boga, ale jest to proces.

Wielokrotnie towarzyszyłam dorosłym ludziom przygotowującym się do chrztu. Gdy patrzyłam, jak go przyjmowali, to wyraźnie było u nich widać niepełną świadomość tego, co ich czeka, choć przez rok uczestniczyli w katechizacji, podczas której tłumaczono im doktrynę Kościoła i istotę sakramentów. Jednak gdy rozmawiałam z nimi dwa, trzy lata później, kiedy już dłuższy czas żyli sakramentami, to często wyznawali: „Słuchaj, nie wiedziałem, w co wchodzić. Teraz zupełnie inaczej odbieram tę rzeczywistość, o której tyle opowiadaliście. Widzę Boga pełniej, głębiej Go rozumiem”. Moment chrztu rzeczywiście jest chwilą, gdy podobieństwo zostaje przywrócone. Jeśli pozwalamy Bogu działać w naszym życiu, Jego łaska powoli będzie nas uzdalniać do ciągłego zachowywania i odnawiania tego podobieństwa.

Czyli tu na ziemi nigdy nie będziemy idealnym malowidłem?

Niestety nie.

I dopiero w czyściecu – mówimy oczywiście o tych, którzy po śmierci nie idą prosto do nieba – dzięki łasce i modlitwom

żyjących Bóg oczyszcza ludzi, by doszli do odsłonięcia właściwych im kolorów, niedostępnych tu na ziemi? W czyszczeniu działa taka super „chemia”, którą są nasze modlitwy, przyspieszająca proces zdejmowania warstw zaciemniających bez zniszczenia piękna – dobrze to nazwałem?

Tak, choć tu warto też zadać pytanie, o które pewnie pokusiliby się bracia luteranie: „Czy zatem łaska Boża nie wystarcza?”. Wystarcza, tylko Bogu spodobало się, by ludzie współdziałali z Nim w akcie zbawienia świata. Dlatego zresztą istnieje Kościół, komunizm w sakramentach i łasce, stąd też mamy modlitwę wstawienniczą czy kult świętych, którzy przecież są dla nas nie tylko wzorami i inspiracjami w rozwoju duchowym, ale i wstawiają się za nami, wyprasząc łaski. Podobnie i nas Pan Bóg chce włączać w swoje działanie, byśmy naszą modlitwą za zmarłych pomagali im dojść do nieba. Dlaczego wymyślił to tak, a nie inaczej? Dowiemy się pewnie w niebie. Bez wątplenia jednak chce On działać przez nas, zresztą nie bez powodu Syn Boży się wcielił – wybrał drogę zbawienia przez człowieczeństwo.

Warto jeszcze dopowiedzieć, że święci to ten najdoskonalszy Kościół. Często, gdy się o nim mówi, to pokazuje się „głośne” sprawy, czyli grzechy. Piękne, wspaniałe i wartościowe idee, jakie głosi, i dokonywane przez niego dzieła są pomijane, bo ludzie zderzają się z niedoskonałą i grzeszną wspólnotą. I tu znów odwołam się do C.S. Lewisa, w którego *Listach starego diabła do młodego* Krętaacz pisze do swojego ucznia, by kuśił człowieka,

wysyłając go do parafii. Tam zaś ma pokazywać mu, jak jego sąsiad jest fałszywy, ktoś obok coś kombinuje, a jakaś kobieta popełnia jeszcze inne zło. Sedno jego taktyki to sprowokowanie do patrzenia na Kościół wyłącznie przez wady konkretnych ludzi, a nie z szerszej, prawdziwej perspektywy – tak jak kusiecie go widzą, czyli jako potężne wojsko uszykowane do walki, które budzi w nich lęk*. Gdy skupimy się na tym, że ksiądz nudził na kazaniu, zakrystianka niemiło mnie potraktowała, gdy zamawiałam mszę, a obok mnie podczas liturgii siedział człowiek wyglądający na neurotyka, to gubimy prawdę o tym, że Kościół jest rzeczywistością cielesno-duchową. Jeśli miałabym mówić o Kościele, to bym zaczęła od pokazywania świętych – Jacka, Dominika i wielu innych. To nie są tylko figurki czy pobożne obrazki, ale żywi ludzie, którzy aktualnie czekają na zmartwychwstanie, tworzą Kościół tak samo jak ja i których możemy prosić o pomoc. Co ciekawe, gdy czyta się ich biografie, to widać, że w ich życiu zawsze pojawia się moment, kiedy nawiązują relacje z konkretnymi świętymi, a potem ci z kolei prowadzą ich i towarzyszą w misji – tak było na przykład w życiu św. Dominika, który zaprzyjaźnił się ze św. Janem Kasjanem za pośrednictwem jego pism.

Na koniec pytanie nawiązujące do tytułu mojego podcastu – *Puzzli Wiary*. Czym dla ciebie – osobiście, a nie definicyjnie i katechizmowo – jest wiara?

* C.S. Lewis, *Listy starego diabła do młodego*, dz. cyt., s. 25–26.

Dla mnie wiara to most linowy, po którym idę i który jest pewny, choć zawieszony nad przepaścią. Daje mi oparcie i prowadzi mnie w konkretnym kierunku. Od czasu do czasu dostrzegam coś ciekawego w dole, co mnie pociąga i zachęca, by z niego zejść. Ten most nad przepaścią chwieje się, wiatr nim buja – gdy jest silny, można nawet dostać choroby morskiej. Dlatego też nie jest statycznie ani nudno: doświadczam przemiany, nieustannego procesu, który czasem polega na cofaniu się, a czasem pójściu do przodu. Ja zresztą mam lęk wysokości (to jeden z powodów, dla których lubię Kota w Butach ze *Shreka*), więc obraz mostu dobrze opisuje również to, że wiara wymaga ode mnie niemałego wysiłku, głównie woli i intelektu.

Ponadto jestem świadoma, że nie mogę być siebie całkowicie pewna na tej drodze – w każdym momencie może się zdarzyć, że odpuszczę. Wiara daje mi wolność, w której czasem wybieram też nie to, co dobre. Na początku często nie będziemy widzieli, co się stało – a czasem możemy nie zauważyć nawet do końca życia, bo mamy ogromną skłonność do okłamywania samych siebie, przez co nie dostrzegamy zła, które się dokonuje.

Zarazem jednak mamy tę niezwykłą wolność w podążaniu do celu – w kierunku, który wybieramy. I przyznam, że im dłużej idę owym mostem, tym wyraźniej widzę ten cel i on staje się dla mnie coraz bardziej wartościowy. Ojciec Krzysztof Pałys OP w książce *Hewel** pisze o odkrywaniu złudności tego, co doczesne; podobnie i ja doświadczam, że choć cieszy mnie dobra kawa,

* K. Pałys, *Hewel*, Poznań 2022.

spotkanie z przyjaciółmi i budowanie z nimi relacji, jednocześnie coraz wyraźniej widzę, jak to wszystko jest ulotne. Kohelet, z którego księgi wspomniany autor zaczerpnął słowo *hewel* – marność, nie był melancholikiem czy defetystą, ale realistą. Jego przesłanie trzeba jednak interpretować w kontekście Ewangelii, bo wiara to zakorzenienie właśnie w niej. Ona daje ufność, że chwila śmierci to nie zderzenie ze ścianą, ale dotarcie do drzwi – kiedy te się otworzą, po drugiej stronie zobaczę Chrystusa. Szczerze mówiąc, gdy kiedyś medytowałam o tym, że w chwili śmierci ujrzę Jego twarz, to głęboko dotarło do mnie, że warto.

ELŻBIETA WIATER – dziennikarka, historyk i doktor teologii, redaktor językowy.

Pasjonuje się postacią św. Jacka Odrowąża i historią Braci Kaznodziejów, w tym także mniej znanych dominikanów, jak br. Gwali (Walentego) Torbińskiego i pozostałych braci współpracowników żyjących w XX wieku.

Autorka książek, m.in.: *Wierny Pies Pański. Biografia św. Jacka Odrowąża, Milczący kaznodzieja. Brat Gwala Torbiński OP (1908–1999), Mistyczki i wojowniczk. Kobiety, które zmieniały Kościół, Kościół dla każdego, czyli przepis na zmianę świata.*

3. JAK POGODZIĆ ZŁO Z DOBRYM BOGIEM?

Z GRZEGORZEM CHRZANOWSKIM OP
O POCHODZENIU ZŁA I GRANICACH MOCY BOŻEJ

Dawid Kołodziejczyk OP: Pamiętam, że gdy pierwszy raz zaproponowałem ci rozmowę na temat zła w kontekście wiary, odpisałeś mi, że twoje naukowe zainteresowania zakładają raczej filozoficzne niż teologiczne podejście do tematu. Stąd na początek chciałbym zapytać o tę różnicę: jak na zło patrzy teolog, a jak filozof? Czym różnią się te perspektywy?

Grzegorz Chrzanowski OP: Te dwie perspektywy – teologiczna i filozoficzna – w dużej mierze się pokrywają, zazębiają. Różnica dotyczy na przykład tego, że perspektywa teologiczna posiada aspekt duszpasterski, w ramach którego poruszane są takie zagadnienia jak sprawa grzechu czy egzorcyzmów. Ja się tym naukowo nie zajmuję, ale badam problem zła z filozoficznego punktu widzenia, czyli zarówno jego egzystencjalny, jak i teoretyczny wymiar. We współczesnej filozofii religii – bo to jest moja dziedzina – słowem, wokół którego trwa obszerna i ożywiona debata, słowem wyznaczającym sens i zakres tej dyscypliny, jest teodycea.

Czym jest teodycea?

To słowo wymyślone przez Gottfrieda Leibniza, filozofa żyjącego na przełomie XVII i XVIII wieku; to też tytuł jego książki wydanej w 1710 roku. Składa się ono z dwóch greckich słów: *theós* – Bóg i *dikē* – sprawiedliwość. Zarówno etymologia, jak i podtytuł dzieła Leibniza – *O dobroci Boga, wolności człowieka i pochodzeniu zła* – wyjaśniają, że teodycea jest próbą usprawiedliwienia Boga i wykazania Jego sprawiedliwości i dobroci w obliczu istnienia zła.

Od starożytności funkcjonuje zarzut, który przedstawia się mniej więcej tak: jeżeli Bóg jest dobry, wszechmogący i wszechwiedzący, to skąd zło na świecie? Jeśli Bóg jest dobry, to nie tylko popiera dobro, ale też będzie usuwał zło, ponieważ nawet dobry człowiek, gdy widzi, że dzieje się coś złego, czuje powinność jakiejś reakcji. Stąd Bóg, widząc zło, będzie interweniował, więc zła powinno nie być, ponieważ Bóg jest dobry. Idąc dalej: jeżeli Bóg jest też wszechmocny i wszechwiedzący, nie będą istniały dla Niego żadne ograniczenia w usuwaniu zła lub zapobieganiu mu, ponieważ – wiedząc o istnieniu zła – będzie On też w stanie je eliminować. Skąd wobec tego zło? Skoro Bóg jest dobry i istnieje zło, to nie będzie On wszechmocny, a jeżeli jest wszechmocny, a istnieje zło, to Bóg nie będzie dobry albo wszechwiedzący – to właśnie klasyczny splot zagadnień nazywany teodyceą. Pojawia się on u różnych autorów, poczynawszy od filozofów starożytnych, przez nowożytnych – na przykład Davida Hume’a, który *explicit* pisze o tym w książce *Dialogi o religii naturalnej* – aż po szeroko zakrojoną debatę współczesną.

Czyli teodyceą nazywamy próbę odpowiedzi na pytanie, skąd zło?

Tak, a dodatkowo w ramach teodycei dyskutuje się też inne pochodne problemy. Na przykład teodyceą nazywamy również próbę pokazania, że zło, które dzieje się w świecie, ma jakiś sens. Zwolennicy teodycei twierdzą, że jeżeli Bóg dopuszcza zło, a jest dobry i wszechmocny, to musi mieć ku temu konkretny powód, który ma pozytywny, moralny charakter. Pomysły na to, jaki to powód, są oczywiście różne.

Leibniz uważał, że Bóg – zanim stworzył świat – dokonał kalkulacji i przebadał wszystkie światy, które mogłyby zaistnieć, i wybrał zgodnie ze swoją mądrością i dobrocią ten najlepszy z możliwych. Żyjemy więc w świecie najlepszym z możliwych, ale to nie jest świat pozbawiony zła, tylko taki, w którym mamy najlepszy bilans zła w stosunku do dobra – zachowana jest w nim możliwie optymalna równowaga. Przywołana koncepcja Leibniza była oczywiście na różne sposoby krytykowana. Według mnie słuszna jest krytyka, którą sformułował wobec niej współczesny amerykański filozof Alvin Plantinga. Powiedział on, że istnieją pewne stany świata, które są możliwe do zaistnienia, ale nie do zrealizowania przez Boga.

To by znaczyło, że Bóg jest ograniczony?

Bóg jest ograniczony na wiele sposobów – trzeba dobrze rozumieć atrybut wszechmocy. Pomoże nam to zrozumieć pewien przykład. Wpierw przyjmujemy, że człowiek dysponuje realną wolnością wybierania między różnymi zachowaniami – czyli

może postąpić tak albo inaczej, nie mając żadnego przymusu zewnętrznego uniemożliwiającego taki wybór. Następnie wyobraźmy sobie sytuację, w której do jakiegoś urzędnika w Krakowie przychodzi gangster i mówi: „Dam ci pięć milionów złotych. Wydadaj mi korzystną decyzję”. W tej sytuacji urzędnik może wybrać, że zrobi coś złego, czyli przyjmie łapówkę, albo zrobi coś dobrego, czyli ją odrzuci, postąpi zgodnie z zasadami, regulaminem, prawem itd. I teraz: nie jest w mocy Boga sprawić, żeby wydarzyło się jedno albo drugie, bo to należy do decyzji urzędnika. Jeżeli natomiast wybierze on to, co dobre i słuszne, świat będzie lepszy; czyli ten świat może być lepszy, ale sprawienie tego nie leży wyłącznie w mocy Boga – tak mówił Plantinga. Oprócz Boga istnieją inni: wolni sprawcy, działacze, którzy są w świecie i też mogą coś zdziałać.

Stąd stwierdzenia Leibniza, że z pewnością żyjemy w najlepszym z możliwych światów, nie uznajemy za słuszne, ponieważ świat niekoniecznie jest najlepszy z możliwych – także w ludzkiej mocy leży sprawienie, że będzie on lepszy lub gorszy. Bóg nie jest więc w stanie stworzyć takiego świata – tak właśnie krytykuje Leibniza Alvin Plantinga.

A co w sytuacji, gdy urzędnik – bez względu na łapówkę – podjąłby taką decyzję, jakiej oczekiwał gangster, i stwierdziłby, że skoro i tak miał dokonać takiego wyboru, to weźmie łapówkę i wyda ją na cele charytatywne? Czy wtedy czyni on dobro czy zło?

Zapytaj o to naszych kolegów moralistów. W tym, o czym mówiłem, nie chodziło o cele moralne czynu. Ten przykład miał

zobrazować to, że Bóg nie może stworzyć świata najlepszego z możliwych, ponieważ świat jest dynamiczny i nieprzewidywalny ze względu na wolną wolę człowieka. Leibniz uważał, że świat można tak zaprogramować, że będzie on najlepszy z możliwych, bez opcji pogorszenia go ani ulepszenia, bo wszystko opierało by się na zasadzie wcześniej ustalonej harmonii. Plantinga zaś mówi: „Nawet w mocy Boga nie jest stworzenie świata najlepszego z możliwych” – co uważam za słuszne. Ponadto sądzę, że twierdzenie, iż żyjemy w świecie najlepszym z możliwych, to fałszywe pocieszenie, które – gdy przychodzi konkretne cierpienie czy zło – wcale nie jest pocieszające, tylko irytujące.

Czy dobrze rozumiem, że argument Plantinga skupia się wokół ludzkiej wolności i tego, że Bóg szanuje nasze decyzje?

Poruszamy się tutaj oczywiście w obrębie tak zwanego teizmu, czyli stanowiska uznającego istnienie Boga. Plantinga jako filozof uznaje – a ja się z nim zgadzam – że człowiek dysponuje wolnością, co oznacza, że nawet Bóg nie może sprawić, by człowiek zrobił coś, czego sam nie chce.

Ciekawe, że kolejny raz z tego, co mówisz, można wyciągnąć wniosek, że Bóg jednak nie jest wszechmocny.

Niektórzy filozofowie (jak na przykład Kartezjusz) uważali, że Bóg jest absolutnie wszechmocny i może zrobić dosłownie wszystko – nic Go nie ogranicza. Natomiast tradycyjnie mówi się o tym, że

wszechmoc Boga ma pewne ograniczenia. Na przykład Bóg nie może zgrzeszyć ani też zrobić rzeczy, które są niemożliwe do zrealizowania, ale nie dlatego, że nie ma takiej mocy, tylko ponieważ taka rzecz jest wewnętrznie sprzeczna. Czymś takim jest na przykład kwadratowe koło. Dlaczego? Bo w geometrii nie istnieje figura, która miałaby cztery boki ustawione pod kątem prostym i jednocześnie wszystkie punkty na zewnętrznych krawędziach byłyby tak samo oddalone od środka tej figury. Takiej figury nie da się zrealizować, więc nawet Bóg nie może stworzyć kwadratowego koła.

Istnieje też inna słynna dyskusja w teologii i filozofii religii wokół pytania o to, czy Bóg mógłby sprawić, żeby to, co się wydarzyło, jednak nie miało miejsca. Według klasycznego poglądu – którego zwolennikami byli na przykład Augustyn i Tomasz z Akwinu – Bóg nie może tego zrobić. Piotr Damiani z kolei uważał, że Bóg może wszystko, więc także zmieniać przeszłe zdarzenia. Jeżeli zapiszemy zdanie, że tego i tego dnia o danej godzinie odbyła się między nami rozmowa, to za sto lat – choć wszyscy mogą o niej zapomnieć – to zdanie nadal będzie zgodne z prawdą. Nawet Bóg nie może zmienić tego, że zdanie o przeszłych wydarzeniach jest prawdziwe.

Teologowie i filozofowie wymyślają wiele przykładów pokazujących, że Boża wszechmoc ma pewne ograniczenia. Ale w problemie Boskiej wszechmocy nie chodzi o zachcianki kapryśnego dziecka, o fajerwerki czy paradoksy dotyczące stworzenia kamienia, którego nie da się podnieść. Mówimy o wszechmocy nie tyle absolutnej, co doskonałej. Bóg jest wszechmocny w działaniu przez miłość oraz jako Stwórca świata *ex nihilo*, z niczego.

A co z Bożą wszechwiedzą? Bóg wie wszystko – czy w tym zakresie też są jakieś ograniczenia?

Tu także pojawiają się różne poglądy i dyskusje. Wszechwiedzę Boga definiuje się w ten sposób, że On zna wszystkie zdania prawdziwe. Czyli jakie? To takie zdania, które można wypowiedzieć na temat twierdzeń ogólnych, na przykład matematycznych – dwa plus dwa zawsze równa się cztery – lub faktów minionych. Co jednak z faktami, które są jeszcze przed nami, czyli na przykład z przyszłymi zdarzeniami przygodnymi? Załóżmy, że jutro będziemy żyli – ty i ja. Co zjemy na obiad? Nie podjęliśmy jeszcze takiej decyzji. Nie ma też żadnego koniecznego procesu, który miałby doprowadzić do tego, że jutro w naszym klasztorным refektarzu będzie ryba czy makaron. Pomijam w tym miejscu fakt, że prawdopodobnie w kuchni znajduje się tajemniczy zeszyt, w którym znajdziemy rozpisany jadłospis na cały tydzień. Tak czy inaczej, dla ciebie i dla mnie to wiedza w tej chwili niedostępna i sprawa posiłku nie jest przesądzona – zawsze przecież możemy pójść na pizzę na mieście. Według takiego toku myślenia nie można sformułować zdania prawdziwego na temat przyszłego zdarzenia, gdyż ono jeszcze nie nastąpiło. Niektórzy twierdzą jednak inaczej – ich stanowisko prezentuje się tak: „Mimo że są to przyszłe, całkowicie przygodne zdarzenia, Bóg już je zna, gdyż On istnieje poza czasem i – ponieważ jest wieczny – równocześnie widzi wszystko, co wydarza się w czasie”. Mamy więc różne koncepcje dotyczące Bożej wszechwiedzy.

W tym kontekście rodzi się pytanie: czy Boska przewidza, czyli znajomość przyszłości, determinuje nasze przyszłe

zachowania? Jeżeli przyjęlibyśmy koncepcję tomistyczną – klasyczną – mówiącą o tym, że Bóg, istniejąc w wieczności, czyli poza czasem, widzi jednocześnie wszystko, co się wydarzy, to czy ta Jego wiedza nas determinuje? Czy skoro On wie, co zjemy jutro na obiad, to musimy to zjeść i nie mamy żadnego wyboru? Odpowiedź brzmi: „Nie”, bo Bóg widzi też, że to danie jest przez nas wybrane w sposób wolny. Bóg zna nasze działanie, ponieważ my je podejmiemy, a nie dlatego je podejmujemy, że przewidziana Boga nas determinuje. Nie jesteśmy niewolnikami, tak samo jak wspomniany urzędnik, który może przyjąć łapówkę lub nie – również on zachowuje realną wolność.

Ta koncepcja, że Pan Bóg wie, co się wydarzy, a i tak pozostajemy wolni w działaniu, wydaje się bardziej sympatyczna niż ta, że żyjemy w świecie przypominającym nakręcany zegarek i musimy wpisać się w jego z góry wymyślane części.

Tak myślał Leibniz. Twierdził, że nawet rozmowa między ludźmi to tak naprawdę coś pozornego; nie jest tak, że ty reagujesz na moje słowa, tylko rozwijasz to, co masz w sobie – realizujesz pewien zakodowany w tobie ciąg następujących po sobie zachowań. Bylibyśmy jak dwa zsynchronizowane mechanizmy: jeden zegar wskazywałby godzinę, a drugi by bił odpowiednią ilość razy.

Czyli moje pytania nie wynikają z tego, co mówisz...

One wcześniej już w tobie były.

Nie podoba mi się to. A skoro mówiliśmy już o wszechmocy i wszechwiedzy, to jak filozoficznie zdefiniować dobroć Boga?

Aby to wyjaśnić, musimy wziąć pod uwagę dwa aspekty: metafizyczny i moralny. Jeśli chodzi o dobroć metafizyczną, to wiąże się ona z ideą pełni, która zachodzi, gdy realizują się wszystkie zdolności czy możliwości, jakie są w danej rzeczy. Na przykład można powiedzieć, że aby człowiek jako istniejący byt był dobry w sensie metafizycznym, to nie powinny występować w nim żadne braki, co raczej nie jest możliwe do zrealizowania. Każdy ma jakieś wady charakteru lub niedoskonałości biologiczne, problemy natury emocjonalnej itd. Ponadto można powiedzieć, że stworzenie człowieka jest co najmniej dwuetapowe: najpierw człowiek rodzi się biologicznie, a potem kształtuje się jego człowieczeństwo, rozwija osobowość. Dobry człowiek to w ujęciu metafizycznym ktoś w pełni realizujący wszystkie potencjalności, jakie w nim są: na poziomie zdrowia, talentów, intelektu, relacji międzyludzkich itd. Podobnie jak dobry komputer to taki, w którym działa wszystko, co ma działać.

Bóg jest dobrem najwyższym w sensie metafizycznym, ponieważ to byt doskonały – wszystkie doskonałości są w Nim w pełni zrealizowane. Jeśli zaś chodzi o aspekt moralny, to też przyjmuje się, że Bóg jest doskonały. Co to znaczy? Bóg jest miłością, czyli w najdoskonalszy sposób realizuje wymiar moralny. Aby powiedzieć o kimś, że w pełni rozwinął swoje człowieczeństwo, nie wystarczy, że będzie zdrowy i wykształcony – musi też nie być złym człowiekiem. Tak samo, żeby Bóg był w pełni doskonały jako

byt, muszą zostać zrealizowane wszystkie Jego atrybuty: zarówno metafizyczne – pełnia istnienia, jak i te moralne jako osoby – pełnia dobroci. Nie możemy jednak zbyt łatwo sobie wyobrazić, że skoro wiemy, kim jest dobry człowiek, to Pan Bóg będzie taki sam, tylko w „zwielokrotnieniu”; z Nim zawsze jest nieco inaczej.

Czy istnieje jakaś filozoficzna definicja zła?

Niespecjalnie.

To czym ty się zajmujesz naukowo?

Niczym. I to właśnie jedna z koncepcji na temat zła – że jest ono brakiem dobra. Nazywa się ją prywatyną teorią zła, od łacińskiego słowa *privatio*, czyli brak. *Malum est privatio boni*, co się tłumaczy: „Zło jest brakiem dobra”. To klasyczna, teistyczna czy chrześcijańska koncepcja spotykana od św. Augustyna, przez św. Tomasza, po wielu innych współczesnych teologów. Na czym ona dokładnie polega?

Zacznijmy od św. Augustyna, jednego z ojców Kościoła, który żył na przełomie IV i V wieku. Od wczesnej młodości był on zainteresowany filozofią, poszukiwaniem sensu życia oraz kwestiami religijnymi. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że chrześcijaństwo, z którym się spotykał, jest za mało pogłębione, szukał więc czegoś więcej i zetknął się z sektą manichejczyków. Uznał ją – bo tak mu się ta sekta przedstawiła – za bardziej uduchowione chrześcijaństwo, zdolne także odpowiedzieć na jedno

z głównych pytań, które go nurtowały, czyli skąd wzięło się zło: *Unde malum?* Manichejczycy wyznawali pogląd, że w świecie istnieją dwie równoważne siły, równorzędne substancje: dobro i zło, materia i duch, światło i ciemność, które ciągle walczą ze sobą, trwają w nieustannym zwarciu.

Wydaje się, że współcześnie także są ludzie uważający, że w świecie musi istnieć równowaga dobra i zła. Często słyszy się takie poglądy jako wytłumaczenie wojen.

Myszę, że mówią tak ci, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w wojnach, tylko snują jakieś ogólne rozważania. Nie doświadczyłem wojny na żywo, tylko za pośrednictwem doniesień medialnych, ale wydaje mi się, że gdy człowiek sam zobaczy okrucieństwo wojny, przestaje snuć refleksje, że to czemuś służy.

Wróćmy jednak do manichejczyków. Twierdzili oni, że istnieje zło, które jest równoważne z dobrem – nie tyle dobro jest silniejsze od zła, ile są one na tym samym poziomie. Człowiek stanowi zaś arenę zmagania się dobra ze złem, w nim rozgrywa się ta walka. Augustynowi takie spojrzenie dobrze tłumaczyło jego wewnętrzne rozterki – miał wysokie aspiracje filozoficzne i religijne, ale był też człowiekiem pełnym temperamentu, mieszkańcem basenu Morza Śródziemnego, a wiemy również, że przez lata był związany ze swoją partnerką czy narzeczoną, z którą miał dziecko. Manichejskie koncepcje objaśniały mu jego osobiste doświadczenie: rozdarcie między sprawami życia rodzinnego, doświadczeniami zmysłowymi a aspiracjami filozoficzno-religijnymi.

W pewnym momencie jednak Augustyn zniechęcił się do manichejczyków, zarówno z powodów intelektualnych, jak i obyczajowych; potem zaś nawet silnie ich zwalczał.

Wspomnienie manichejczyków jest potrzebne, by zrozumieć polemiczny charakter poglądów Augustyna. Ostatecznie bowiem uznał on, że nie ma czegoś takiego jak dwie równoważne substancje – dobro i zło. Twierdził, że istnieje jeden Bóg, który jest wszechmocnym stwórcą wszystkiego. Bóg jest dobry i wszystko, co stworzył, jest dobre. O dobroci rzeczy możemy zaś mówić w takim znaczeniu: jeżeli dana rzecz istnieje według właściwej miary, postaci i porządku, to jest ona dobra. Te trzy słowa – miara, postać i porządek – odwołują się do przekonań starożytnych filozofów, że wszystko jest kształtowane według pewnego wyobrażenia, stąd świat da się liczyć, mierzyć, można dostrzec w nim jakiś zamysł. Natomiast widzimy też, że istnieją pewne rzeczy, którym czegoś brakuje lub są w rozmaity sposób uszkodzone. Na przykład dobry stół to taki, który ma cztery równe, stabilne nogi; gdyby jedna jego noga była krótsza, to wtedy powiedzielibyśmy, że jest to stół wybrakowany. Obecność braku w rzeczy, która zgodnie z Bożym zamysłem powinna mieć wszystko – czyli, według terminologii Augustyna, wszystko pod względem miary, postaci i porządku – nazywamy złem.

Zło nie ma więc charakteru niezależnego od dobra, tylko raczej pasożytniczy. Rzecz musi być do pewnego stopnia dobra, czyli w jakiejś mierze spełniać swoje zadania, żeby zło mogło się w niej zakorzenić. Na przykład fakt, że stół ma jedną nogę krótszą, powoduje jego chwiejność, co zakłóca jedzenie posiłków – można więc powiedzieć, że stół jest niedobry, bo mu czegoś brakuje,

ale jednocześnie jest dobry, bo w ogóle mamy jakiś stół. Rzecz będzie dobra w tym sensie, że istnieje, ale zła w takim znaczeniu, że posiada jakiś ubytek. Analogicznie z postępowaniem – jeśli jest właściwe, uznamy je za moralnie dobre, ale jeżeli jest niewłaściwe, to znaczy, że naznacza je pewien brak i dlatego mówimy, że jest złe.

A wracając do przykładu wojny – gdzie św. Augustyn widziałby ten brak dobra w sytuacji, gdy jedno państwo atakuje drugie i dochodzi do zabójstw, cierpienia?

Podam ci jeszcze lepszy przykład przeciwko koncepcji Augustyna. Przypomnij sobie obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau, który pod względem organizacyjnym – jak podają źródła historyczne – funkcjonował bardzo dobrze. Nieludzka machina, ale precyzyjnie dostrojona. W tym przypadku możemy powiedzieć, że braki w tej precyzyjnie funkcjonującej maszynie właściwie byłyby dobrem, bo działałyby na korzyść ludzi tam uwięzionych. Gdyby psuły się tam różne sprzęty, brakowało dostaw gazów trujących lub nagle wszyscy strażnicy by umarli, to powiedzielibyśmy, że to dobrze dla więźniów.

A jak to można skomentować z perspektywy poglądów Augustyna?

Prywacyjna koncepcja zła jest rozwijana przez współczesnych filozofów. Na przykład prof. Barbara Skarga w swojej książce *Kwintet*

metafizyczny w tekście poświęconym złu stwierdziła, że koncepcja prywatyzacji nie jest doskonała, ale za to najbardziej rozpowszechniona w filozofii europejskiej*. Dlaczego uznaje ją za niedoskonałą? Ponieważ w wielu przypadkach nie relacjonuje ona właściwie naszego sposobu doświadczenia zła, gdyż często zło nie jest przeżywane jako brak, tylko jako pewna pozytywna obecność czegoś złego.

Rzeczywiście chyba w większości sytuacji, które nas dotyczą, potrafimy nazwać zło, którego doświadczamy: określić chorobę, powiedzieć, kto, jak i wobec kogo dopuścił się przemocy itd.

Odpowiedziałbym na to tak: można rozgraniczyć różne poziomy opisu zła i analizy tego zjawiska. Istnieje coś takiego jak – nazwijmy to umownie – fenomenologiczny opis zła, w którym mówimy, jak zło przedstawia się nam w doświadczeniu. W tym przypadku możemy nazywać rzeczy pozytywnie – określać chorobę nie tylko jako brak zdrowia, ale i jako realne istnienie czegoś niepożądanego w naszym organizmie. Natomiast może istnieć też głębsza analiza, gdy ktoś rozważa dane zagadnienie na poziomie metafizyki; wtedy możemy włączyć w refleksję tłumaczenie prywatyzacyjne, augustyńskie i tomistyczne, wyjaśniające, że rzeczy nie są takie, jakie powinny być, ale pozostają naznaczone pewnego rodzaju brakiem.

* B. Skarga, *Kwintet metafizyczny*, Kraków 2005, s. 87.

Inny przykład, który może to zobrazować, będzie bliższy codzienności. Wiemy, jak krępująca bywa dziura w spodniach, gdy szew pęknie w niewłaściwym miejscu. Ta dziura w spodniach ma charakter pozytywny – bo to dziura – natomiast daje się ona opisać jako brak. Mówimy: „Masz dziurę, zrób coś z nią, bo głupio wygląda”. Metafizyk czy tomista by powiedział: „To jest brak. Wszystko powinno być w porządku, a pojawił się się brak”. Oczywiście ten brak musi wystąpić w rzeczy, w której nie powinien zachodzić – są i takie dziury w odzieży, które uznamy za pożądane, gdyż związane są z trendami w modzie. Ogólnie mówiąc, można powtórzyć za św. Tomaszem, że zło zachodzi wtedy, gdy w rzeczy występuje brak czegoś, co ta rzecz powinna z natury posiadać. Nie jest złem, że kret nie posiada wzroku, bo z natury go nie ma, ale jest złem, że człowiek nie posiada wzroku, bo z natury powinien go mieć.

A jak tradycja filozoficzna tłumaczy pochodzenie zła? Jak na przykład św. Tomasz mógłby wyjaśnić, skąd biorą się choroby?

Jedną z możliwych odpowiedzi jest koncepcja grzechu pierworodnego. Tak jak wspominałem, św. Augustyn mówił, że Bóg jest dobry i świat przez Niego stworzony też taki jest. Skąd w takim razie zło, jeżeli na początku wszystko było dobre? Augustyn przejął istniejącą już wcześniej u różnych ojców Kościoła i pisarzy chrześcijańskich koncepcję grzechu pierworodnego, a potem najbardziej wyraziście ją sformułował. Przez wiele lat przywoływana

ona była w dyskusjach właśnie w jego wersji. Miała oczywiście umocowanie biblijne, głównie w Księdze Rodzaju i w listach św. Pawła.

Augustyn mówił więc, że Adam zgrzeszył w sposób całkowicie wolny. Stan, w którym Adam i Ewa trwali w raju, charakteryzował się tym, że wszystko ze sobą współdziałało – wyższe władze duszy kontrolowały niższe, a ludzie żyli w harmonii z Bogiem, ze sobą i całym światem. To zostało utracone, ponieważ Adam w wolny sposób przeciwstawił się Bogu. Miał możliwość wyboru, czy przyjąć taki stan rzeczy, jaki istniał w raju, czy go odrzucić – czyli nie tylko miał wolność przekroczyć Boże przykazanie, ale jego wolności była też pozostawiona decyzja o charakterze pozytywnym: o zaakceptowaniu Bożych przykazań oraz swojej kondycji stworzenia. Teologiczna interpretacja jest taka, że Adam odrzucił boski porządek.

Jak to rozumieć? Przyznam, że jestem trochę skonfundowany i zagubiony, zwłaszcza w obliczu tego, co na temat pochodzenia człowieka mówią nauki, takie jak na przykład antropologia czy biologia. Nie wiem dokładnie, jak połączyć zagadnienie grzechu pierwotnego z wiedzą o poprzedzających współczesnego człowieka neandertalczykach czy australopitekach. Sądzę jednak, że płynące z tego przesłanie brzmi: jesteśmy niedoskonałymi ludźmi i żyjemy w niedoskonałym świecie. Nie wiem, czy da się filozoficznie i czysto racjonalnie, bez odwołania do Objawienia, przedstawić ten dogmat w pełnym zakresie, ale pewne jego aspekty na pewno tak. Jakież? Chociażby ten związany z początkiem zła moralnego.

Nawet jeżeli przyjmujemy koncepcję ewolucji, to istnieje taki moment – właściwie niemożliwy do uchwycenia, czysto teoretyczny – w którym człowiek wyłonił się ze świata przyrody. Nieostry punkt, w którym nastąpiła zmiana: ze zwierzęcia zrobił się człowiek. Bardzo upraszczając, można powiedzieć, że w jednej chwili mieliśmy stworzenie, które nie było jeszcze człowiekiem – stąd, gdy uderzał kolegę, by mu zabrać banana, nie popełniał zła moralnego, bo przynależał do świata zwierząt – natomiast parę chwil później, co oznacza tysiące lat na osi czasu, jest już człowiek, który działa świadomie i dobrowolnie, zatem wchodzi w grę element moralności. Teoretycznie możemy więc powiedzieć, że gdzieś, kiedyś, ktoś po raz pierwszy skrzywdził drugiego człowieka – dokonał pewnego rodzaju zła. Zatem z jednej strony nie jesteśmy w stanie wskazać takiej osoby ani konkretnego momentu, a z drugiej – ktoś popełnił kiedyś pierwszy czyn moralnie zły. A gdy zło już się dokonało, to zaczęło krążyć po świecie. Na przykład ten skrzywdzony powiedział sobie: „Muszę się zemścić”, albo: „Skoro skuteczne jest takie zabieranie komuś jedzenia, to teraz ja zrobię to komuś innemu – najlepiej słabszemu ode mnie”. Myślę, że właśnie tak można próbować filozoficznie wyjaśniać, w jaki sposób na świat weszło zło mające charakter moralny.

Natomiast nie wiem, jak mówić o cierpieniu czy śmiertelności bez odwołania do Objawienia. Dogmat o grzechu pierworodnym jest – podobnie jak na przykład dogmat o Wcieleniu – prawdą, w którą wierzymy. A zatem wierzymy, że coś zaszło, ale nie potrafimy tego naukowo opisać. Medycyna nie wyjaśni nam, w jaki sposób doszło do połączenia dwóch natur, boskiej

i ludzkiej, w jednej osobie Jezusa Chrystusa. Dlatego dyskusja między teologią a naukami o pochodzeniu człowieka może, moim zdaniem, pomóc w lepszym wyartykułowaniu teologicznego znaczenia tego dogmatu. Z jednej strony wydaje mi się, że po prostu od zawsze człowiek był śmiertelny i przygodny, z drugiej – nie zamierzam negować dogmatu o grzechu pierworodnym, gdyż sądzę, że w człowieku jest coś takiego, co Jan Paweł II określał jako *mysterium iniquitatis*: tajemnica nieprawości. Ewangelia jest lekarstwem na ową tajemniczą obecność zła w świecie, o której można trochę powiedzieć z czysto racjonalnej perspektywy, jeśli mówimy o złu moralnym. Nie da się jednak rozważać tej tajemnicy bez uwzględnienia związku z wiarą w dogmat o grzechu pierworodnym, gdy mówimy o chorobach, cierpieniu czy śmiertelności.

A gdybyśmy chcieli oderwać się na chwilę od filozofii i teologii? Powiedzmy, że zaczepiam cię na korytarzu i pytam: „Grzegorz, co to jest zło?” – co byś odpowiedział?

Zacząłbym od stwierdzenia, że człowiek przeżywa zło jako coś, co sprzeciwia się jego woli – niekoniecznie tej wyrażonej w postaci jakiegoś konkretnego zamierzenia, ale w sensie ogólnym, jako pragnienie i dążenie do tego, aby dobrze żyć i być zdrowym. Czymś przeciwnym zdrowiu człowieka jest choroba, a w obszarze relacji międzyludzkich – zranienia i krzywdy. Rzadko podaje się definicję zła; raczej przywołuje się przykłady ukazujące jego zakres, który obejmuje to, co nazywamy złem moralnym, złem

winy oraz złem naturalnym, cierpieniem doświadczanym z powodu spadających na nas nieszczęść, chorób i katastrof.

Intrygujące jest też to, że do pewnego stopnia teodycea okazuje się skuteczna, a do pewnego stopnia – nie. Istnieją przecież takie formy zła, które czemuś służą. Zwolennicy teodycei mówią: „Zło przynosi większe dobro albo zapobiega innemu złu”, czego klasycznym przykładem jest sytuacja, gdy dziecko buntuje się przeciwko zastrzykom lub wierceniu w zębach, by usunąć początki próchnicy, ale jego rodzice wiedzą, że to dla niego dobre, i godzą się na ten ból. Są też oczywiście inne przykłady, które ukazują, że z jakiegoś zła wyniknęło dobro – jak wtedy, gdy dzięki jakimś trudnym doświadczeniom ktoś stał się lepszym albo bardziej wrażliwym na cierpienia innych człowiekiem.

Czy jednak nie jest to trochę niebezpieczne rozumowanie? Bo za chwilę możemy dojść do wniosku, że Pan Bóg chce jakieś zło w moim życiu, by później wyniknęło z niego dobro.

Takie wypowiedzi mogą się pojawić, ale gdybyśmy tak komuś powiedzieli, to uzurpowalibyśmy sobie wiedzę, której nie posiadamy i nie jesteśmy w stanie posiadać. Ponadto obraz Boga, jaki się tu wyłania, jest wizerunkiem autorytarnego despoty. Natomiast taka interpretacja wydarzeń jest możliwa, jeśli ktoś sam dojdzie do podobnego wniosku. Czym innym jest powiedzieć komuś, że doświadcza choroby, bo Bóg tak chciał i stało się to, by się czegoś nauczył, na przykład cierpliwości lub pokory – to byłoby okrutne – a czym innym, gdy ten człowiek sam przyzna:

„To było bardzo trudne doświadczenie, ale dzięki niemu wydarzyło się w moim życiu również coś pozytywnego” – czyli dostrzegł zło, ale sobie z nim poradził. Natomiast wmawianie komuś takich interpretacji – szczególnie, jeśli jest się księdzem – to przekraczanie pewnej granicy i teologicznej, i duszpasterskiej.

Teodycea zatem może być stosowana w niektórych przypadkach, lecz istnieją też takie sytuacje – o czym piszą współcześni autorzy – w których zło nie ma żadnego uzasadnienia, niczemu nie służy, nie przynosi większego dobra ani nie powstrzymuje innego zła. Jest to problem tak zwanego zła bezcelowego (William Rowe*) albo zła horrendalnego, potwornego (Marylin McCord Adams**). Istnieje w ogóle cały nurt dyskusji na temat tych dwóch aspektów zła: zła bezcelowego (*pointless evil* czy *gratuitous evil*), czyli takiego, które nie znajduje żadnego uzasadnienia, przez co nie widzimy jakiegokolwiek związku między tym zdarzeniem a przyszłymi dobrymi rzeczami, i zła horrendalnego, którego konsekwencje odbierają sens i poczucie wartości jego ofierze, a także niekiedy i sprawcy.

Podasz jakiś przykład zła bezcelowego, by lepiej zrozumieć tę koncepcję?

Filozofowie analityczni bardzo lubią przykłady – twierdzą, że wszystko trzeba jasno i prosto tłumaczyć, więc opisują banalne

* Por. W. Rowe, *Problem zła a niektóre odmiany ateizmu*, w: *Teizm, ateizm i religia. Najnowsze spory w anglosaskiej filozofii analitycznej*, red. P. Gutowski, M. Iwanicki, Lublin 2019, s. 67–80.

** Por. M. McCord Adams, *Potworne zło a dobroć Boga*, w: *Teizm, ateizm i religia...*, dz. cyt., s. 81–94.

sytuacje, ale już komentarz do nich potrafi być zawiły. Na przykład wspomniany William Rowe – filozof amerykański, ateista – jako przykład zła bezcelowego podaje następującą sytuację: wyobraźmy sobie pożar lasu, w którym ginie jelonek o imieniu Bambi. Zwierzę nie ginie jednak od razu, tylko przez kolejne pięć dni żyje poparzone, strasznie się męczy i po długiej agonii zdycha. William Rowe komentuje to wydarzenie, odnosząc się do poglądów zwolenników teodycei: „Skoro mówicie, że cierpienie czemuś służy, to czemu służy pięciodniowa, bardzo bolesna agonია tego biednego jelonka? Jakie dobro jest powiązane z tym złem?”. Oczywiście można ten przykład wyostrzyć i powiedzieć, że to nie Bambi, ale samotny turysta lub dziecko, które się zgubiło, umiera przez pięć dni w lesie – jaki to ma sens? W niektórych przypadkach potrafimy taki sens wskazać, ale w wielu już nie. Nie posiadamy dowodu, że z każdym przypadkiem zła związane jest jakieś dobro; wygląda na to, że o wiele bardziej prawdopodobna jest teza negująca owe powiązania. A zatem wydaje się, że istnieją przypadki bezcelowego zła.

William Rowe połączył kwestię bezcelowego zła z argumentem za nieistnieniem Boga. Według niego, jeżeli Bóg byłby dobry i wszechmocny, to nie byłoby zła bezcelowego, stąd jeśli istnieje zło bezcelowe – a z dużym prawdopodobieństwem ono istnieje – to nie ma Boga. Zauważył też jednak, że to dowodzenie nie jest rozstrzygającym argumentem w kwestii istnienia lub nieistnienia Boga, bo ktoś może być przekonany o Jego istnieniu z innego powodu – na przykład przekonał go jakiś argument lub jest człowiekiem wierzącym, który ma doświadczenie religijne.

Inną odpowiedzią na twierdzenie o istnieniu zła bezcelowego jest stanowisko określane jako sceptyczny teizm. Filozofowie tego nurtu mówią: „Idę do garażu i widzę psa, ale nie dostrzegam, że są tam też bakterie czy pchły”, co oznacza, że są pewne rzeczy, o których nie wiemy. Skąd zatem pomysł, że mielibyśmy jako ludzie znać wszystkie powiązania między sytuacjami a ich konsekwencjami? W Biblii przecież czytamy: „Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami” (Iz 55,8), więc być może istnieją korelacje, o których nie wiemy. Według sceptycznych teistów czym innym jest powiedzieć, że ich nie widzimy, a czym innym, że ich nie ma – one mogą istnieć, ale być nam nieznane. Sceptyczni teiści odrzucili więc argument za nieistnieniem Boga ze zła bezcelowego.

Jeśli zaś chodzi o przykład zła horrendalnego – tego, które pozbawia sensu życia – to warto przywołać książkę Williama Styrona *Wybór Zofii*, na podstawie której powstał film o tym samym tytule z Meryl Streep w roli głównej. To historia Polki, którą podczas II wojny światowej wzięto do obozu koncentracyjnego razem z jej dwojgiem dzieci. Tam na rampie lekarz dokonujący selekcji powiedział, że kobieta może wybrać jedno dziecko, które zabierze ze sobą, drugie zaś pójdzie do komory gazowej. Zszokowana i przerażona nie wiedziała, co powiedzieć, na co usłyszała: „Wybierasz albo idą obydwójce”. Zdecydowała, że córka umrze, a syn będzie żył. Konieczność dokonania tego typu wyboru jest właśnie przykładem zła horrendalnego, bo trudno sobie wyobrazić, że człowiek byłby w stanie pozbierać się po takim doświadczeniu. Podobną sytuacją jest na przykład nieumyślne zabicie własnego dziecka. Mówić

komuś po przeżyciu takiego wydarzenia, że ma ono sens lub że wynika z niego jakieś dobro – takie słowa nie przechodzą przez usta. Wtedy możliwe jest tylko wsparcie rodzinne, terapeutyczne czy duszpasterskie, a nie szukanie uzasadnienia czy interpretacji. Filozofowie oczywiście próbują zmierzyć się z takimi sytuacjami, wychodząc z założenia, że o wszystko można, a nawet należy pytać i starać się zrozumieć – nawet takie przeżycia.

Powyższe rozważania pokazują, że istnieją dwa typy teodycei – teoretyczna i praktyczna. Teodycea teoretyczna to analiza w stylu: „Mamy trzy twierdzenia: «Bóg jest dobry», «Bóg jest wszechmocny», «Zło istnieje» – a teraz zrób coś z tym, filozofie”. Natomiast teodycea, która skupia się na problemie zła praktycznego, jako wyjściowe traktuje konkretne doświadczenia o charakterze egzystencjalnym, gdy kogoś spotyka jakieś nieszczęście czy wielkie cierpienie. Filozofowie, szczególnie ci analityczni, lubiący wszystko rozwiązywać logicznymi równaniami, zostawiają problem zła praktycznego terapeutom i duszpasterzom lub wpisują go w obszar życiowych sposobów radzenia sobie ze złem. To zaś pokazuje ograniczenia filozoficznej teodycei, która przecież nie może istnieć w całkowitym oderwaniu od życia. Jeżeli teodycea ma nieść realną pomoc człowiekowi, to musi dotyczyć innych aspektów religii, takich jak – w chrześcijaństwie – zbawienie czy zmartwychwstanie Chrystusa, lub też odnosić się do prawd ogólnoludzkich, by od strony egzystencjalnej pokazywać, jak z się z tym złem uporać. Myślę, że chrześcijaństwo ma ogromny potencjał pomocy ludziom doświadczającym cierpienia, bo może wspierać ich w odnajdywaniu w tym jakiegoś sensu.

Czy chodzi o przypomnienie, że nasze życie nie kończy się tu na ziemi?

Tak, ale też o wydobywanie sensu tych trudnych doświadczeń. Perspektywa eschatologiczna jest włączana przez filozofów w dyskurs, choć według mnie cały czas bardzo nieśmiało. Mówienie wprost o takich sprawach jak życie wieczne czy wręcz powoływanie się na słowa św. Pawła: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9) – czyli przypomnienie, że radości eschatologiczne przekraczają cierpienia doświadczane tu na ziemi – jest czymś, co realnie może pomóc ludziom zmierzyć się ze złem, bólem, stratą. Świadomość, że coś kiedyś będzie z tym złem „zrobione”, że ono straci swoje ostrze, że można je tak przeżywać, iż przestanie być postrzegane jako coś rujnującego, jest trochę jak dostrzeżenie estetycznego wymiaru jakiegoś brzydkiego elementu wkomponowanego w obraz. Dzieło wręcz staje się piękne dzięki temu, że zawiera coś nieładnego lub jakąś plamę.

Na koniec chciałbym zapytać o twoją osobistą perspektywę, spojrzenie na problem zła – a także: czy masz coś, co pomaga ci radzić sobie z nim w kontekście swojego życia?

Przyznam, że dość ostrożnie podchodzę do wszystkich rozważań na temat pochodzenia zła. Prawdę o grzechu pierwotnym przyjmuję jako człowiek wierzący, ale z pewnym dystansem – bo nie dosłownie. O realnie istniejących sprawach można mówić,

używając języka symbolu, metafory itd. Gdy ktoś mówi, że „pękło mu serce” w następstwie silnych bolesnych doświadczeń, to opisuje rzeczywiste cierpienie, choć jego fizjologiczne serce nadal pracuje. Natomiast myślę, że w Ewangelii jest ogromny potencjał, by znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak poradzić sobie ze złem. Coraz bardziej interesuje mnie praktyczny aspekt teodycei, a wiara stanowi pewien sposób obchodzenia się z tym tematem, na przykład przez odnalezienie lub może nadanie tym trudnym doświadczeniom sensu. Choć pełne znaczenie odkryjemy zapewne dopiero po śmierci, to sądzę, że jest możliwe poradzenie sobie z niełatwymi przeżyciami, włączając je w sensowny obraz tego, czym jest moje życie i do czego ma ono prowadzić.

Nie pytam więc o to, skąd się bierze zło, bo uważam, że w dużej mierze rzeczy w świecie dzieją się przypadkowo. Nie potrafię też powiedzieć, czy czyjeś nieszczęście to znak istnienia Opatrzności czy jej braku. Interesuje mnie raczej to, jak człowiek może na to zareagować. Są ludzie, którzy – gdy spotyka ich nieszczęście, zwłaszcza strata kogoś bliskiego – odsuwają na bok wiarę w Boga; znika ona z ich życia niczym statek oddalający się w stronę linii horyzontu. Inni właśnie w wierze odnajdują bardzo silne umocnienie. Mówi się często, że ludzie w Auschwitz tracili wiarę, a moja koleżanka pisze książkę o tym, że wielu chrześcijan w tych dramatycznych okolicznościach właśnie ją odzyskiwało. To oczywiście nie znaczy, że jedna reakcja była prawidłowa, a druga niewłaściwa – nie sposób tego oceniać, możliwe reakcje są różne. Moja jest taka, że trzeba szukać, w jaki sposób dane doświadczenie włączyć w swoją relację z Bogiem, w swoją wiarę. Bo w tym

jest potencjał, by nabrało ono jakiegoś pozytywnego sensu – czyli odbierającego złu moc destruktywną sprawiającą, że życie staje się czymś nieznośnym i bezsensownym.

GRZEGORZ CHRZANOWSKI OP – dominikanin, wykładowca Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Polskiej Prowincji Dominikanów i UPJPII, członek Komisji ds. Życia Intelektualnego Prowincji, redaktor naczelny wydawnictwa „W drodze” (2000–2003). Autor książek, m.in.: *Zbawienie poza Kościołem. Filozofia pluralizmu Johna Hicka i Polacy o religii. Od myślenia religijnego do filozofii* (red. wspólnie z J. Barcik). Publikował w „Znaku”, „W drodze”, „Tygodniku Powszechnym”, „Przeglądzie Religioznawczym”, „Charakterach”.

4. CZY BOGA NALEŻY SIĘ BAĆ?

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Na początek zastanów się, jak to jest u ciebie. Jakie uczucia dominują w twojej relacji z Bogiem? Czy boisz się Boga? Czy może czujesz coś innego?

Tradycyjnie już odpowiadając na tytułowe pytanie w jednym z pierwszych zdań, powiem: „I tak, i nie” – zależy, jak rozumiemy bojaźń Bożą. Niestety wielu z nas definiuje ją jako strach przed Bogiem, obawę przed Jego działaniami, które zwykle są nieprzewidywalne i mają karzący charakter, więc wycofują nas w relacji z Nim w kokon przerażenia i nieufności. Tymczasem prawdziwa bojaźń Boża to coś innego, a Kościół katolicki naucza wręcz, że jej posiadanie jest czymś dobrym, pożądanym.

Spróbujmy uporządkować to zamieszanie pojęciowe, zaczynając od sprawdzenia, co na temat bojaźni Bożej mówi Pismo Święte. W biblijnej literaturze mądrościowej – czyli na przykład w Księdze Syracha, Księdze Koheleta czy w psalmach – możemy znaleźć wiele zachęt do lękania się Boga i pochwały tych, którzy się Go boją. Co więcej, w drugim przykazaniu Dekalogu (które znamy też z katechizmu) mowa o tym, by nie wzywać na daremno Bożego imienia (por. Wj 20,7). Można więc powiedzieć, że Biblia zachęca nas do bojaźni względem Boga, ale trzeba zaznaczyć, że jest to lęk wynikający z uznania Jego świętości i szacunku

wobec Bożej wielkości. Gdyby zaś szukać pierwszej wzmianki o strachu przed Bogiem, to w Księdze Rodzaju czytamy, że Adam i Ewa zgrzeszyli i wtedy zaczęli bać się Boga, więc się przed Nim ukryli – Bóg zaś ich szukał (por. Rdz 3,8–10). Czy zatem rzeczywiście Bóg jest przyczyną ich strachu?

Także u ojców pustyni, w apoftegmatkach – czyli krótkich przypowieściach o ich życiu – znajdziemy wiele fragmentów mówiących o tym, czym jest bojaźń Boża. Ukazywali ją jako coś, co leczy człowieka, bo pomaga unikać grzechu i wzmacnia na drodze budowania relacji z Bogiem. Według ojców pustyni bojaźń Boża to postawa życiowa polegająca na wyrzeczeniu się tego, co nie pozwala nam być blisko Niego. W swoich opowieściach chcieli wydobyć, że bojaźń to postawa pełna miłości i szacunku; cześć i miłość – te dwa elementy się w niej łączą. Według ojców pustyni bojaźń Boża będzie więc wyrażała się w codzienności w posłuszeństwie wobec Stwórcy – analogicznym do posłuszeństwa Chrystusa wobec Ojca. Nasza miłość do Boga ma się według nich uwidaczniać w tym, że wyrzekamy się świata dla Chrystusa. Oczywiście trzeba pamiętać, że owi mnisi odkrywali swoje powołanie w samotnym życiu na pustyni, w ascezie i studiowaniu słowa Bożego; w naszym przypadku to posłuszeństwo może realizować się inaczej. Najważniejsze w tym, co mówili o bojaźni Bożej, jest połączenie jej z miłością, szacunkiem i postawieniem Chrystusa ponad wszystkim, także całym naszym życiem. Dla nich bojaźń Boża to widzenie celu, którym jest Bóg sam w sobie, a nie świat.

Tym sposobem dochodzimy do istoty nauczania Kościoła katolickiego o bojaźni Bożej, które mówi, że jest ona darem Ducha

Świętego. Każdy chrześcijanin otrzymuje ją w chrzcie i bierzmowaniu. A co to oznacza, że jest darem Ducha Świętego? Oznacza to stałą dyspozycję, umiejętność, którą mamy w sobie! Bóg dał każdemu zdolność okazywania Mu szacunku, umiejętność dostrzegania prawdziwej hierarchii spraw, na której szczycie jest On sam. Choć wydaje się to oczywiste, to jednak myślę, że wielu z nas o tym zapomina i przez to próbuje „ściągnąć” Pana Boga do naszego ludzkiego poziomu. Mówimy do Niego: „Zrób tak, by było, jak ja chcę” – tymczasem On jest ponad nami. Szukając Go, jesteśmy zaproszeni do tego, żeby uznać Jego wielkość i panowanie, jednocześnie pamiętając, że to On rządzi wszystkim, a nie my. Dzięki darowi bojaźni Bożej mamy stałą dyspozycję, czyli umiejętność dostrzeżenia, że wszystko, co istnieje na ziemi – od największego do najmniejszego bytu – pozostaje tylko stworzeniem wobec Boga, Stwórcy, który jest ponad nami. Ten dar pozwala nam zobaczyć naszą pozycję i miejsce w świecie.

Można powiedzieć, że bojaźń Boża nie od zawsze była darem dla wszystkich wierzących w Boga. Dopiero przyjsię Chrystusa, ustanowienie Kościoła i zesłanie Ducha Świętego sprawiło, że każdy ochrzczony jest w niego wyposażony. Stary Testament mówi nam tylko o pochwie tych, którzy boją się Boga, zachwycie nad tymi, którzy Go kochają i szanują, lub zachęca nas do bojaźni wobec wielkości i potęgi Boga, ale dopiero w Nowym Przymierzu bojaźń Boża staje się darem, niejako zaproszeniem do szukania Go w wolności – bo to sam Duch Święty daje nam siłę, by w wolności Boga szukać, znajdować, wybierać i kochać.

W tym kontekście warto powiedzieć, że to, czy boimy się Boga w sposób niewłaściwy, czy raczej mamy w sercu bojaźń Bożą, ściśle łączy się i wynika z dominującego w nas obrazu Boga: od tego, jak Go postrzegamy i jak to porządkuje nasze działania. Jeśli patrzymy na Boga z perspektywy ludzi Starego Testamentu, często jeszcze zabarwionej trudną historią naszego domu rodzinnego czy szeroko pojętego dzieciństwa, a także pełnej błędów katechezy, to bojaźń będzie oznaczała dla nas lęk, a nie miłość i szacunek. Fałszywy obraz Boga przesuwając akcenty i sprawia, że w relacji z Nim dominuje lęk, przerażenie, obawa przed karą za niewywiązywanie się z zobowiązań czy nieprzestrzeganie przykazań. Tymczasem Pismo Święte wielokrotnie mówi nam, że mamy się nie bać: „W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk, ponieważ lęk kojarzy się z karą. Ten zaś, kto się lęka, nie wydoskonał się w miłości” (1 J 4,18). Bóg jest miłością, stąd Jego celem nie jest ukaranie każdego z nas za wszelką cenę. On nie czai się z wielką lupą, by nas sprawdzać i rozliczać, a potem zrobić nam krzywdę – On pragnie dla nas dobra.

Jeśli odkrywamy w sobie strach przed Bogiem, warto przeanalizować swoje relacje rodzinne. Może było tak, że ktoś miał ojca, który stosował przemoc, więc wszyscy w domu się go bali – stąd trudno nie żywić lęku wobec Boga, którego przecież nazywamy Ojcem. Jeśli jednak mieliśmy zdrowe (nie idealne, ale dobre) relacje z rodzicami, to wręcz naturalnie czujemy wobec nich szacunek i miłość, wdzięczność za to, że nas wychowali, dbali o nas i opiekowali się nami. Podobnie z Bogiem – doświadczając Jego troski i dobroci, chcemy okazać Mu cześć, wdzięczność i miłość.

W relacji z Bogiem trzeba się zatem wystrzegać podejścia w stylu: „Jak będę grzeszny, to Bóg da mi nagrodę, a jak coś przeskrobie, to mnie ukarze”. Takie myślenie nie pozwala nam budować z Nim szczerzej, bliskiej więzi, a przecież o to chodzi w wierze. Co więcej, uświadomienie sobie, że bojaźń Boża nie oznacza lęku, przerażenia i życia w ciągłym stresie, czy dobrze wypełniam przykazania, ale to dar Ducha Świętego, który uzdalnia mnie do miłości i szacunku wobec Boga, daje człowiekowi ogromne poczucie wewnętrznej wolności. Ta wolność oznacza przejście od myślenia: „Nie wykraczaj poza przykazania, bo Pan Bóg zrobi ci krzywdę” do: „Szukaj Boga, odkrywaj Go”.

Podsumowując, bojaźń Boża pozwala nam budować zdrową religijność, w której istnieją dobre proporcje między czcią, uniżeniem i pokorą wobec Boga a cieszeniem się Jego bliskością. Dzięki niej mamy do Boga szacunek, który wynika z miłości, a nie strachu przed piekłem; potrafimy zobaczyć, że On jest ponad wszystkim, ale Jego panowanie nie polega na podstępnym sprawdzaniu naszych czynów, tylko na władzy nad całym stworzeniem. A skoro On panuje nad wszystkim, bojaźń Boża to także zaproszenie do tego, by pozwolić się Bogu poprowadzić – ona jest motywacją i uzasadnieniem naszej wiary, a także naszego działania. Unikamy grzechu nie dlatego, że boimy się kary, ale ponieważ kochamy Boga i widzimy w Nim najwyższą wartość.

5. NIE OCENIAJ! MÓDL SIĘ

Z WOJCIECHEM MORAWSKIM OP O DOBREJ MODLITWIE I UMIARZE

Dawid Kołodziejczyk OP: Czy mogę powiedzieć o tobie, że jesteś mistrzem modlitwy?

Wojciech Morawski OP: Nie.

Ale pozwól, że o różne aspekty modlitwy będę cię pytał. Zacznę od tego, co podstawowe – jak możemy zdefiniować modlitwę? Czym ona jest? Jakie są jej rodzaje?

Modlitwa to bycie z Panem Jezusem, spotkanie z Nim, rozmowa. Spotkałem wiele definicji modlitwy, ale żadna z nich nie wyczerpuje tego tematu. Tym, co mnie pomaga w myśleniu o modlitwie, to podział na jej trzy rodzaje, które każdy z nas może (i powinien) praktykować.

Pierwszy z nich to modlitwa liturgiczna, a więc przede wszystkim msza święta, ale też brewiarz lub w jakimś sensie różaniec – bo chodzi tu o te formy, w których modlimy się nie tylko my sami, ale też Chrystus i cały Kościół. Drugi rodzaj to modlitwa osobista, czyli czas poświęcony jedynie Panu Jezusowi, kiedy wyłączam się z innych czynności i jestem tylko z Nim. I trzeci rodzaj to modlitwa w codzienności, czyli taka,

która odbywa się, gdy jesteśmy też zaangażowani w inne sprawy – na przykład jedziemy samochodem, autobusem czy wykonujemy jakies prace.

A czy ta modlitwa w codzienności nie jest osobista?

Oczywiście jest, ale ten drugi rodzaj modlitwy tym różni się od trzeciego, że występuje w czasie przeznaczonym tylko dla Pana Jezusa – nic innego wtedy nie robimy, ale cali się Mu oddajemy. Dla jednych będzie to dziesięć minut, dla innych piętnaście, dla jeszcze innych – pół godziny, które przeznaczamy wyłącznie dla Niego. Modlitwa w codzienności dzieje się przy okazji: gdy gotuję, prasuję, jadę autem lub akurat na kogoś czekam i mogę się zatrzymać na chwilę modlitwy.

A jak często powinna mieć miejsce ta modlitwa sam na sam z Bogiem? Może być raz na miesiąc?

Nie, powinna być regularna i zdecydowanie częściej niż raz w miesiącu. Trzeba też pamiętać, że te trzy rodzaje modlitwy nawzajem się uzupełniają. Jeśli brakuje którejś z nich, to słabną lub źle są przeżywane pozostałe. Tak naprawdę fundamentem modlitwy jest wierność, czyli ciągle do niej wracanie. Zachęcałbym więc, by codziennie znaleźć czas – choć pięć, dziesięć minut w tygodniu, a w weekendy trochę więcej – na osobistą modlitwę. Z Panem Bogiem jest podobnie jak w relacji małżeńskiej lub w przyjaźni: rozmawiamy, robiąc razem

różne rzeczy, ale czasem trzeba usiąść i coś przegadać, nie zajmując się niczym innym – porozmawiać głęboko i osobiście. Dlatego też modlitwa nie może pojawiać się tylko przy okazji codziennych czynności, ale powinna mieć też formę indywidualnej rozmowy.

A czy to nie jest jakaś ułuda naszego dominikańskiego życia, że ludzie spoza zakonu są w stanie w normalnym, codziennym trybie znaleźć chwilę na taką osobistą modlitwę? Znam małżeństwa, którym przy nawale obowiązków trudno o czas na randkę raz w miesiącu, a z Bogiem to przecież jeszcze trudniej.

Tak, to jest trudne, ale modlitwa zakłada pewien wysiłek z naszej strony. Oczywiście trzeba też do niej podchodzić z rozsądkiem, biorąc pod uwagę nasze możliwości. Zachęcam, by modlić się sam na sam z Panem Jezusem codziennie, ale jeśli to nieosiągalne, to po prostu znajdować taki czas jak najczęściej.

Czym są rozproszenia na modlitwie? Na czym polegają?

Rozproszenia są wtedy, gdy nasze myśli krążą nie tam, gdzie byśmy chcieli, i gdy skupiamy się nie na tym, czym się zajmujemy – czyli na modlitwie, słowie Bożym, Panu Jezusie. Trzeba oczywiście zaznaczyć, że inaczej będziemy mówili o rozproszeniach na modlitwie liturgicznej czy osobistej, a inaczej na tej w codzienności, bo ona z definicji jest rozproszona.

Gdy jadę metrem i modlę się różańcem, to przecież siłą rzeczy mamy wokół tak dużo różnych bodźców, że trudno być w mistyczny sposób skupionym.

Oczywiście, poza tym musisz wysiąść na właściwym przystanku, a nie dojechać do pętli. Gdy jedziesz autem, powinieneś uważać na to, co dzieje się na drodze – a nawiasem mówiąc, dla wielu ludzi różaniec jest czymś, co uspokaja i spowalnia reakcje w organizmie, więc to może być niebezpieczne w samochodzie. Są jednak i tacy, którym to nie przeszkadza, i podobnie jak jadą z kimś i równocześnie rozmawiają, tak też się modlą. Pomyśl, że gdy obok ciebie w aucie siedzi twój przyjaciel lub inny bliski ci człowiek, to przecież rozmawiacie; kiedy zatrzymujesz się na światłach, możesz mu poświęcić więcej uwagi, ale jednocześnie podczas jazdy jesteś skupiony na drodze, bo wiesz kogoś ważnego dla siebie i chcesz bezpiecznie dotrzeć do celu. I tak też jest z modlitwą w codzienności.

Czyli do codziennych czynności – takich jak prasowanie, jazda samochodem, wykonywanie prac fizycznych – dołączam spotkanie z Panem Bogiem?

Tak, i oddajesz Mu to wszystko – jak gdyby robisz to z Nim.

Podobnie jak ojcowie pustyni do pracy fizycznej dołączali modlitwę: często powtarzalną w formie, nieangażującą myśli. Chcieli, by to także był czas spędzony z Bogiem.

Współcześnie mamy też wiele możliwości, by sobie to ułatwić, na przykład włączając różaniec w radio czy w Internecie. W ten sposób, gdy mamy ręce zajęte pracą, nie musimy przesuwac paciorek. Mój znajomy, który jest fizykiem, opowiadał mi, że gdy wiele lat temu komputery pracowały znacznie wolniej, przy wrzucaniu jakichś danych do programu, kiedy czekał na wynik, cały ten czas się modlił. Musiał czuwać przed monitorem, więc wykorzystywał ten czas na spokojną modlitwę. Oczywiście nie przy każdej pracy jest taka możliwość.

Zawsze jako punkt wyjścia do wszelakiego rodzaju modlitwy powtarzam sobie zdanie naszego nieżyjącego już brata Jakuba Papierza, znanego z surowości zakrystianina, którego według klasztornych anegdot bracia bali się bardziej niż tego papieża przez „ż”. Któregoś wieczoru brat Jakub, pokropiwszy kogoś wodą święconą, wyprasał go z kościoła – a pamiętajmy, że w tamtych czasach pierwsza msza była o piątej rano, więc zakrystianin musiał wstać godzinę wcześniej – na co usłyszał: „Bracie, ja się tu modlę”, więc odpowiedział: „Panie, do pobożności też trzeba mieć dyszel w głowie”. Tak, zgadzam się, że do modlitwy też trzeba mieć dyszel w głowie. Gdy chcę się pomodlić, trzeba zobaczyć, ocenić, zastanowić się, jaki rodzaj modlitwy mogę zastosować.

Mówiliśmy już sporo o rozproszeniach podczas modlitwy w codzienności. Jak to jest z modlitwą liturgiczną i osobistą? Weźmy na przykład modlitwę nieszporami z braćmi. Gdy czytam fragment psalmu, a w myślach kombinuję, jak podłączyć

kabelki w skrzynce elektrycznej albo jak ustawić ogrzewanie, by było taniej, to czy to są rozproszenia?

Tak, to są rozproszenia. Cieszę się jednak, że chrześcijaństwo ma inne podejście do tej kwestii niż na przykład buddyzm zen, w którym, gdy uczeń nie jest dość skupiony, mistrz bije go po piętach bambusową trzcina. Pan Jezus nam tego nie robi. Co więcej, to On przede wszystkim modli się podczas liturgii, bo jest to modlitwa całego Kościoła. Możesz więc być na nieszporach, myśleć o regulacji ogrzewania, a i tak wiesz, że się modliłeś, bo modlił się Pan Jezus. To samo zresztą dotyczy mszy. Oczywiście, gdy w zakrystii przed mszą opowiadacie sobie dowcipy, plotkujecie czy rozmawiacie o różnych sprawach, to trochę nie ma co się dziwić, że potem trudno skupić się na modlitwie. Trzeba pamiętać, że ideałem nie jest brak rozproszeń – choć też nie chodzi o to, by modlić się tylko wargami, a cały czas myśleć o ogrzewaniu czy jeszcze czymś innym.

Znam takich, co zbyt dosłownie traktowali tę zasadę modlitwy całego Kościoła. Kiedyś, gdy wracaliśmy z braćmi ze wspólnego odprawiania liturgii godzin, jeden ze starszych braci zapytał: „Czy klasztor już mówił nieszpory?”. Odpowiedzieliśmy, że tak, na co on: „To ja też mówiłem” – choć nie był na modlitwach. To już chyba trochę przesada?

To nadużycie, bo jednak fizyczna obecność powinna mieć miejsce. Oczywiście, jeżeli któryś z braci jest chory albo nie może zejść do kościoła i siedzi w kaplicy gdzieś nieopodal, słuchając modlitwy,

to co innego. W ten sposób włącza się w modlitwę Kościoła, która jest większa od nas.

Dla mnie pięknym obrazem włączania się w ciągłą modlitwę Kościoła są stale w naszym krakowskim klasztorze. Bracia modlą się w nich codziennie, a nad ich głowami są umieszczone wyrzeźbione w drewnie figury aniołów z różnymi instrumentami w rękach. Gdy na nie czasem zerkam, myślę sobie, że bracia przychodzą na te trzydzieści minut nieszpórów i dołączają się do ich modlitwy, potem wracają do swoich zajęć, a aniołowie dalej uwielbiają Boga.

Taka była w ogóle idea modlitwy w opactwie benedyktyńskim w Cluny w południowej Francji. Budynek nie zachował się do dziś w całości, z kościoła pozostały tylko ruiny, ale istniejący jeszcze transept jest dowodem na to, że modliło się tam naprawdę wielu mnichów. Modlitwa trwała non stop. Bracia wymieniali się, a że swego czasu było ich nawet kilkuset, grupa braci zwana pierwszym chórem modliła się cały czas.

A co jeśli – idąc na nieszpory – myślę o tym, co jeszcze danego dnia powinienem zrobić, lub przygotowuję się na spotkanie, które mnie czeka tuż po nich, i potem podobne myśli krążą mi po głowie podczas modlitwy? Jak na nie patrzeć, jak oceniać?

Nie oceniamy modlitwy. Jedyne, co możemy oceniać, to nasze przygotowanie do niej, czyli to, co zależy od nas. Podam prosty

przykład, którego często używam też w konfesjonale: gdy bierzesz się za modlitwę po obejrzeniu odcinka serialu w telewizji, to masz jak w banku, że dopadnie cię rozproszenie. Będziesz zastanawiał się nad tym, co wydarzyło się w tym filmie lub jak rozwinie się akcja – bo seriale są tak skonstruowane, by przyciągać naszą uwagę. Trzeba więc modlić się przed serialem albo lepiej zamiast niego. Jeśli natomiast masz wyznaczony czas na modlitwę – często w życiu świeckim to jedyny dostępny czas – i tuż przed nim przyjdzie wiadomość, że ktoś zachorował lub miał wypadek, to jasne, że ta modlitwa będzie rozproszona, bo będziesz o tym myślał. Takie sytuacje to też okazja, by zmienić zaplanowaną medytację na modlitwę wstawienniczą za tę osobę. Podobnie gdy idziesz na nie-szpory, a brat mówi ci, że gdzieś wysiadło światło, to naturalnie podczas brewiarza będziesz zastanawiał się, co z tym zrobić, jak naprawić itd. Gdzie jest twoja wina? Nie ma żadnej winy.

To, co możemy oceniać w naszej modlitwie, to wybór czasu i miejsca, bo te sprawy od nas zależą. Brewiarz mamy narzucony rytmem klasztornym, ale w indywidualnej modlitwie każdy z nas sam wybiera, gdzie, kiedy i jak będzie spotykał się z Bogiem. I tu znów trzeba mieć dyszel w głowie, by pomyśleć, co mi pomoże w modlitwie. Czasami ktoś ma tylko jedną możliwość wyboru czasu i miejsca modlitwy ze względu na pracę czy obowiązki domowe. Warto zaplanować to wcześniej, by – na przykład gdy wracam z pracy – wejść na dziesięć minut do kościoła czy kaplicy i skorzystać z tego, że tam łatwiej mi się skupić niż w domu. Takie rozwiązanie często doradzam w konfesjonale paniom – dla wielu kobiet modlitwa w domu nie jest dobra,

bo tam wszystko woła, cały czas jest coś do zrobienia. Podobnie możesz mieć i ty, który zajmujesz się sprawami ekonomicznymi klasztoru. Oczywiście, jeśli ktoś nie ma takiej możliwości, to niech modli się w domu – wtedy w skupieniu może pomóc zapalenie świeczki czy postawienie ikony. Gdy zaś zaczniemy już modlitwę, nie oceniamy jej.

Czy nie jest podobnie z modlitwą liturgiczną? Ważny jest przecież wybór miejsca, czasu i przygotowanie do niej – na przykład to, czy nie wpadasz na nią z szeregu innych spraw. Z mszą świętą skojarzył mi się też inny temat tak zwanego churchingu, czyli wybierania przez wiernych kościoła – innego niż parafialny – do którego chodzą na mszę. Kategorie są różne: od wygody, przez lepszego kaznodzieję, po ciekawszą oprawę. Wielu krytykuje to zjawisko – co ty o tym myślisz?

Ja kierowałbym się starożytną zasadą *in medio virtus*, czyli cnota jest pośrodku. Jeśli więc byłby to churching dla churchingu, czyli ciągle szukanie nowości i sensacji lub podejście typu: „Słucham tylko tego kaznodziei, a gdy go nie ma, bo wyjechał na wakacje, nie idę na mszę”, jest to coś złego. Patrząc z drugiej strony, my – ludzie – jesteśmy cieleśni, potrzebujemy więc pokarmu również dla naszego rozumu i serca, jeśli zatem wybieramy tego, a nie innego kaznodzieję, ten, a nie inny kościół, bo chcemy czegoś więcej, to w porządku. Szczególnie, jeśli ktoś rozpoczyna swoją drogę wiary, dobrze jest, gdy szuka tego, co pozwala mu w niej dojrzewać.

Oczywiście kaznodzieja czy oprawa liturgiczna nie mogą być czynnikami całkowicie determinującymi. Podam przykład, który to zobrazuje. Jeżeli chłopak ma dziewczynę i mówi do niej: „Bardzo cię kocham i lubię spędzać z tobą czas, ale chcę cię widzieć zawsze w eleganckim ubraniu i umalowaną. Nie spotykajmy się, gdy wychodzisz z pracy w roboczym stroju” – czy taki chłopak naprawdę ją kocha? Tak samo jest z nami, jeśli chcemy, by msza zawsze była idealnie odprawiona. Mamy prawo szukać pięknej liturgii i wymagać od księży, by sprawowali ją z szacunkiem – nie mogą natomiast wymagać od każdego księdza, by mówił świetne kazania, bo oprócz przygotowania to także kwestia daru – ale jeśli trafimy na mszę odprawioną niedbale, ze słabym kazaniem, to i tak najważniejsze powinno być dla nas spotkanie z Jezusem.

Kiedys rozmawiałem z mężczyzną, który żalił mi się, że raz poszedł na mszę do parafii i potem żałował. Próbowałem mu tłumaczyć, że Eucharystia zawsze ma głęboki sens i choć to trudne i niełatwe do zrozumienia, to jednak warto.

Ja w takich sytuacjach często pytam: „A modliłeś się za tego księdza? Albo za tego słabego kaznodzieję?”. Może tak słabo mówił, bo nikt się za niego nie modlił.

Albo się nie przygotował...

Tak, ale może był nieprzygotowany, bo nikt się za niego wcześniej nie modlił.

Wojtku, ty jesteś człowiekiem wielkiej wiary!

Nie, ale zawsze, gdy kazanie mi nie pasuje, zaczynam modlitwę. Pamiętam, jak kiedyś podczas jednej z czwartkowych mszy przy grobie Jana Pawła II – gdy jeszcze nie transmitowano ich przez radio watykańskie i nie było wytycznych, że muszą się skończyć do 7:50 – jeden z polskich biskupów zaczął kazanie słowami: „Choć o. Konrad prosił, żeby kazanie było krótsze, to myślę, że Jan Paweł II się nie obrazi, jeśli będzie dłuższe”. A pamiętajmy, że część ludzi uczestniczących w tych mszach idzie potem do pracy, do swoich zajęć czy na uczelnię. Przyznam, że po kilku minutach (nie od razu) nie wytrzymałem – bo tam oczywiście nie było nic o Panu Jezusie; wyciągnąłem różaniec i zacząłem odmawiać. Zdążyłem zmówić cztery tajemnice, zanim kazanie się skończyło – było zdecydowanie za długie.

Robię tak samo, gdy jestem zmuszony słuchać kazania, które jest słabe. Nie żeby moje były świetne i oczywiście rozumiem też różną dyspozycję głoszącego, bo czasem nawet jeśli się dobrze przygotujesz i masz jakąś genialną myśl, to i tak nie potrafisz o niej opowiedzieć.

Albo w ogóle masz wrażenie, że nie powiedziałeś tego, co chciałeś i jak chciałeś.

Ale wracając do rozproszeń – czy takie odmawianie różańca podczas kazania to nie jest jakiś rodzaj rozproszenia?

Nie. Ty po prostu wiesz, że nie jesteś w stanie skupić się na tym kazaniu, bo tam nic dla ciebie nie ma. Starasz się więc skupić na Tym, dla którego tu przyszedłeś – Panu Jezusie.

A dlaczego uważasz, że choć możemy oceniać nasze przygotowania do modlitwy, to już jej samej nie możemy?

Modlitwę oddaję Bogu taką, jaka ona jest. W tym kontekście przypomina mi się to, co o. Raniero Cantalamessa – kaznodzieja Domu Papieskiego – pisze w swojej książce *Życie w Chrystusie*, bazującej na Liście do Rzymian*. Na pytanie o to, co jest szczytem chrześcijańskiej modlitwy, przywołuje on słowa św. Pawła, że „kiedy nie umiemy się modlić, Duch Święty modli się w nas w błaganiach, których nie można wyrazić słowami” (por. Rz 8,26). Czy może być lepsza modlitwa niż ta modlącego się w nas Ducha Świętego? Można więc powiedzieć, że szczytem chrześcijańskiej modlitwy jest sytuacja, kiedy nie umiemy się modlić i zdajemy się na Ducha.

Czasami tak po ludzku myślę o swojej modlitwie osobistej, że jest nieudana, rozproszona. Niekiedy, walcząc ze snem i nie mając niemalże żadnej skupionej myśli, kończę modlitwę słowami: „Panie Jezu, naprawdę nie mogę Ci dać więcej, no nie potrafię”. Myślę jednak, że taka modlitwa jest Bogu o wiele miłsza niż „udana” modlitwa z pięknymi myślami, którą kończę lekko dumny z siebie, jak ja się ładnie modliłem. My patrzymy na modlitwę jak na szkolną akademię ku czci kogoś: chcemy, by wszystko ładnie

* Por. R. Cantalamessa, *Życie w Chrystusie. Duchowe przesłanie Listu do Rzymian*, Kraków 2014.

wypadło, by dyrektor był zadowolony, nauczyciele pochwalili, a rodzice się cieszyli.

A z boku wygląda to bardzo sztucznie...

Dokładnie! A modlitwa ma być prawdziwa – mam w niej nadzieję spotkać się z Panem Jezusem. Kiedyś jeden z naszych braci przedstawił ciekawą myśl o modlitwie, bazującą na ewangelicznej przypowieści o faryzeuszu i celniku (por. Łk 18,9–14). Zauważył on, że choć modlitwa celnika została wysłuchana, to jednak gdybyśmy poszli go zapytać, jak się dobrze modlić, pewnie powiedziałby: „Idź do faryzeusza, on się na tym zna. Ja wiem, jak kraść i oszukiwać, a nie, jak się modlić”. Modlitwa ma więc być przede wszystkim szczerą.

Pamiętam kazanie o modlitwie o. Joachima Badeniego, który dla wielu naszych braci był mistrzem duchowym. Mówił do studentów, a ja byłem jeszcze wtedy klerykiem: „Wyobraź sobie, że po dwóch miesiącach studiów w Krakowie wracasz do domu. Mama otwiera ci drzwi, a ty stajesz przed nią i zaczynasz: «Matko, stoję przed tobą z sercem pełnym miłości za dar życia, który mi dałaś». Co powie mama? «Zwariował! Studia źle mu robią». Przecież przychodzisz i mówisz: «Mamo, cieszę się, że jesteś». I tak samo my zachowujemy się wobec Pana Boga; wydaje nam się, że mamy wygłaszać same piękne słowa. A może czasem musimy powiedzieć: „Panie Boże, dlaczego mi to robisz?”, i zwyczajnie się z Nim „pokłócić”. Szczerości nie trzeba się bać – to ma być moja modlitwa, a nie akademia.

Tak, miałem przyjemność spotkać ojca Joachima, gdy mieszkalem jeszcze w klasztorze w Krakowie. Kiedyś zapytałem go, co mam powiedzieć na kazaniu w Wielki Czwartek, a on powiedział: „Nie wiem, ja to po prostu widzę, a ludzie to muszą wierzyć” – było dla mnie bardzo poruszające patrzeć na niezwykłość jego wiary.

Wracając do udanej i nieudanej modlitwy, myślę, że warto przywołać jeszcze jeden przykład z życia rodzinnego. Wyobraźmy sobie, że zbliżają się imieniny mamy. W domu jest małe dziecko – synek czy córeczka – któremu tata lub ciocia, albo nawet sama mama wkłada do kieszonki trochę pieniędzy, a ono idzie do kwaciarni i kupuje piękny bukiet dla mamy. Ale może być też inna sytuacja, gdy to samo dziecko idzie na łąkę koło domu i zbiera kwiatki, również te zwieźdłe, chwasty, patyki i robi z tego bukiet na imieniny. Który z bukietów bardziej ucieszy mamę? Raczej ten zrobiony przez dziecko, mimo że jest brzydki. Mama może go jakoś upiększyć, przypinając coś do suchej gałązki. Tak samo z modlitwą: Jezus może sprawić, że ta sucha gałąź po prostu zakwitnie. Chodzi więc o to, by przed Panem Bogiem stawać jak dzieci – z rozproszeniami, z nieudaną modlitwą – i oddawać Mu to wszystko.

Z tym zbytnim skupianiem się na jakości modlitwy kojarzy mi się też inna sytuacja z życia – rozmowa z przyjacielem. Przecież gdy widzimy się z kimś, kto jest nam bliski, nie zastanawiamy się w trakcie spotkania, czy jest ono dobre,

udane, ładne, ile punktów możemy sobie za nie przyznać, tylko po prostu jesteśmy z tą osobą. Nawet jeśli przeszkadza nam dzwoniący telefon lub trąbiące auto, to ważne jest dla nas spotkanie.

No właśnie! Nie oceniaj twojej modlitwy, nie dawaj sobie punktów, bo przecież nie ma żadnej miary dobrej modlitwy, czegoś *à la* termometr do jej mierzenia. Zresztą po co to robić? Opowiadano, że po śmierci jednego z naszych ojców jego penitentka przysłała na rozmowę do innego brata i powiedziała: „Ojczy, jestem już w siódmym mieszkaniu, co dalej?” (chodziło o siódmą, ostatnią komnatę, o której mówi św. Teresa z Avila, opisując drogę rozwoju duchowego). On jej odpowiedział: „No to po coś tam wchodzi?”.

Z modlitwą rzeczywiście jest tak jak ze spotkaniem z przyjacielem. Powiedzmy, że odwiedzasz kogoś, kto jest na wakacjach na wsi; siadacie razem na tarasie, na stoliku stoi zimny napój, dobre ciasto, i sobie rozmawiacie. A jak to na wsi, wokół latają muchy i inne owady. I teraz albo możesz się skupić na odganianiu tych much i w ogóle nie pogadać, albo możesz w międzyczasie odganiać te najbardziej natrętne, a skupić się na byciu z przyjacielem.

W temacie przygotowania do modlitwy dopowiem, że moje doświadczenie jest takie, iż najlepszym rozwiązaniem jest znalezienie rano przestrzeni na indywidualne spotkanie z Bogiem. Potem w ciągu dnia jest tak wiele bodźców i zajęć, że

trudno się od nich odciąć i zatrzymać. Dla mnie ten poranek jest bardzo ważny.

To jest indywidualne. Jednym łatwiej rano, dla innych wieczór okazuje się lepszą porą i potrafią – mimo że cały dzień za nimi – odseparować się od tego wszystkiego. Wielu rano zbyt mocno walczy ze snem i nie jest w stanie modlić się tuż po wstaniu. Pamiętam, jak mój magister studentatu mawiał: „Niezależnie, o której wstaję, budzę się o dziesiątej”. Dla takich ludzi modlitwa rano nie ma sensu.

I w wyborze pory dnia na modlitwę trzeba mieć dyszel w głowie. W wielu zgromadzeniach zakonnych praktykuje się coś, co nazywa się rozmyślaniami lub czytaniem duchowym. Czasem słyszę w konfesjonale: „Ojcze, nie mam czytania duchowego. A to pogoda nie sprzyja, a to dużo pracy i moje czytanie duchowe polega na tym, że przewracam ciągle tę samą stronę, bo nic nie pamiętam”. Wtedy, mając wspomniany dyszel w głowie, trzeba to po prostu zostawić i iść przed Najświętszy Sakrament, a nie czytać na siłę.

Oczywiście nie chodzi mi o czytanie Pisma Świętego, bo z nim sprawy mają się inaczej – słowo Boże jest większe od nas; czy je rozumiemy, czy nie, ono i tak działa. O tym opowiada jedna z historii o ojcach pustyni. Pewien młody mnich przyszedł do abby po radę – był to akurat czas wieczornego szykowania jedzenia i abba siedział nad Nilem, płucząc owoce w koszyku. Młodzieniec mówił: „Idę do kościoła, słucham słowa Bożego, wychodzę i nic nie pamiętam. Czytam słowo w celi, zamykam

i nic nie pamiętam”, na co abba: „A widzisz te owoce w koszyku? Przed chwilą wlałem tu wodę. Wody już nie ma, ale owoce są czyste”.

Albo inny obraz z *Opowieści pielgrzyma*: do starca przyszedł oficer, który został zdegradowany, bo nadużywał alkoholu. Mędrzec poradził mu, by za każdym razem, gdy bierze go ochota na wino, czytał rozdział z Ewangelii. Ten ucieszył się i odszedł. Po jakimś czasie wrócił i żalił się: „Starcze, to nie działa, nic z tego nie rozumiem”, na co usłyszał: „Ty nic nie rozumiesz, ale złe duchy rozumieją i drżą”. Taką moc ma słowo Boże – znacznie większą od naszych starań i ludzkiego rozumienia.

Przygotowując się do modlitwy, dobrze też zaplanować, co będę na niej robił, czyli to, czym i jak będę się modlił. Na przykład: jeśli wczoraj czytałem jeden rozdział z Listu do Rzymian, dziś przeczytam kolejny, by nie zastanawiać się nad tym w trakcie. Oczywiście, także w tym względzie potrzeba rozsądku i trzeźwego spojrzenia, by nie planować tego, czego nie jestem w stanie udźwignąć. Czasami słyszę w konfesjonale, że ktoś podjął się modlitwy pompejanką, która jest bardzo wymagająca pod względem poświęconego na nią czasu, gdyż codziennie przez 54 dni trzeba zmówić aż trzy części różańca. Warto sobie przemyśleć, czy to dobry pomysł w aktualnych okolicznościach życia. Jeśli jakaś gospodyni zaczyna pompejankę tuż przed świętami, gdy więcej niż zwykle jest sprzątania, gotowania, załatwiania różnych spraw, to łatwo sobie wyobrazić, jakie to ma skutki. Z drugiej strony, gdy ktoś już podjął zobowiązanie codziennej modlitwy różańcem, to może szukać różnych rozwiązań – na przykład, gdy ktoś nie da

radę odmówić różańca w całości, mógłby znaleźć pięć „dziur” w ciągu zabieganego dnia i w każdej z nich pomodlić się jedną dziesiątką. Nie jest to może idealny sposób odmawiania różańca, ale pokazujesz Panu Jezusowi, że zależy ci na spotkaniu z Nim.

A co ze snem podczas modlitwy? Gdy przypomnę sobie czasy mojej formacji zakonnej i popołudniową konferencję z adoracją, to pamiętam, że latem przesypiałem wszystkie modlitwy tego typu. Kiedyś słyszałem, że papież Franciszek powiedział: „Masz spać w domu? Idź przed Najświętszy Sakrament, śpij tam, dobrze się wyśpisz”. Co ty o tym myślisz?

W tym temacie przypomina mi się opowieść znanych sióstr benedyktynek, które w swoich klasztorach mają całodobową adorację i na zmianę modlą się przed Najświętszym Sakramentem. Była tam pewna starsza siostra, która zawsze po obiedzie szła na adorację i drzemała. Pewnego razu opatka powiedziała do niej: „Matko, może matka najpierw pójdzie do celi i odpocznie, a potem przyjdzie na adorację” – bo ona ze względu na wiek nie miała już wyznaczonych żadnych dyżurów w kaplicy. Odpowiedziała: „Matko, gdy pójdę do celi, to zupełnie nie mogę zasnąć”.

Podobne podejście mieli też ojcowie pustyni: „Gdy widzę brata, który zasypia na modlitwie, delikatnie kładę jego głowę na moich kolanach”. Pewnie, że jeżeli wieczorem do późna oglądam filmy czy robię jakieś inne niekonieczne rzeczy, a potem zasypiam na modlitwie, to muszę coś zmienić. Jeśli jednak nie zależy to ode mnie, to trzeba po prostu przyjać, jak jest.

Z mojego nowicjatu pamiętam też, że przed południową mszą mieliśmy rozmyślanie i prawie codziennie po zaledwie kilku minutach w chórkach rozlegał się huk – jednemu ze starszych braci brewiarz zsuwał się z habitu i spadał na klęcznik, który nagłaśniał upadek jak dobre pudło rezonansowe. Zresztą nie ma co daleko szukać przykładów; ja sam łatwo zasypiam i najczęściej omijam mnie wszystkie kazania. Ledwo Ewangelia się kończy, a ja już śpię. Mimo wszystko wierzę, że Pan Jezus to przyjmuje, bo inaczej nie umiem.

Zastanawiam się, czy nasze podejście do skupienia na modlitwie nie wynika też z tego, że my – ludzie Zachodu – głównie modlimy się umysłem, mniej natomiast w bycie z Bogiem włączamy ciało. A przecież Pan Bóg chce się spotkać z nami całymi: nie tylko naszą świadomością, decyzjami, myślami, ale i skłonnością do zasypiania, emocjami czy zmęczeniem. Może pobożną, dobrą modlitwą jest coś innego, niż nam się wydaje...

Nie oceniaj swojej modlitwy – to warto sobie powtarzać. Święta Teresa z Lisieux, gdy zadrezczała się tym, że zasypia podczas modlitwy, uspokoiła się, kiedy uświadomiła sobie, że przecież dziecko w ramionach ojca zasypia. I to jest sedno: mamy być sobą na modlitwie – z naszym krzywym, brzydkim bukietem i brewiarzem spadającym na klęcznik.

Dziecko w ramionach Ojca zasypia – to dobra puenta naszej rozmowy.

WOJCIECH MORAWSKI OP – dominikanin, mgr filozofii
PAT, lic. teologii Angelicum; jest penitencjarzem zwyczajnym
Apostolskiego Kolegium Penitencjarzy w Bazylice Santa Maria
Maggiore w Rzymie, gdzie też mieszka.

6. NIE MARUDŹ – UWIELBIAJ!

Z DOROTĄ I JAKUBEM HEROKAMI O RADOŚCI, TAŃCU I UWIELBIENIU

Dawid Kołodziejczyk OP: Kiedyś powiedzieliście mi, że nie da się uwielbiać Boga tylko w niedzielę, czyli nadawać uwielbieniu sztywnych ram modlitwy – ono jest prawdziwe, gdy obejmuje całe życie. Wyjaśnijcie, jak uwielbienie łączy się z życiem.

Jakub Herok: W Ewangelii znajdujemy taki fragment, w którym Jezus spotyka przy studni kobietę i w pewnym momencie zaczyna z nią rozmawiać o uwielbianiu Boga. Z ust Jezusa padają słowa: „Wy uwielbiacie to, czego nie znacie” (por. J 4,22). Kiedyś to zdanie było dla mnie odkryciem, bo uświadomiłem sobie, że człowiek może próbować uwielbiać Boga, którego nie zna. Jezus – i w tej rozmowie, i w wielu innych fragmentach – wyjaśnia, że aby uwielbiać Boga, trzeba Go poznać. Podobnie było w moim życiu – najpierw zobaczyłem i doświadczyłem, jak niesamowity jest Bóg, zacząłem z Nim żyć na co dzień, a potem z tego poznania wypłynęło uwielbienie.

Często prowadzimy z Dorotą warsztaty dla ludzi chcących nauczyć się uwielbienia. Zwykle mówię podczas nich: „Z liderem uwielbienia może być tak, że przez cały tydzień żyje byle jak i prawie w ogóle nie spędza czasu z Bogiem. Potem przychodzi na

spotkanie wspólnoty, na którym trzeba uwielbiać Boga, i wtedy woła do Niego: «Ratuj!»». Jeśli ktoś próbuje uwielbiać, a ta modlitwa nie wynika z osobistego poznania Boga, to ma problem. Aby uwielbiać, muszę najpierw doświadczyć, jak wielka jest Boża miłość i jak potężna jest Jego moc.

Widziałem w życiu wiele uzdrowień. Na przykład kiedyś stałem trzy metry od kobiety, którą przynieśli na spotkanie, bo nie była w stanie chodzić, i widziałem, jak została uzdrowiona – następnego dnia wręcz biegała. Doświadczyłem Boga, który czyni cuda, a że wtedy grałem na pianinie, to równocześnie mogłem płakać i śpiewać: „Chwała Ci, Panie, Ty jesteś Bogiem, który czyni cuda dziś”. Uwielbienie wypływa z poznania Boga i doświadczenia Go.

Dorota Herok: Dla mnie także uwielbienie silnie łączy się z osobistym doświadczeniem. Moje uwielbianie Boga tańcem i przez grę na instrumentach jest nie tyle darem, ile owocem spotkania z Bogiem. Oczywiście trzeba posiadać talent muzyczny, by umieć coś zaśpiewać czy zagrać, ale to tylko techniczna strona – prawdziwe uwielbienie, które ma moc, wynika z osobistej relacji z Bogiem, z mojego poznania, jaki On jest. Doświadczam Jego miłości, Jego dotyku, pokoju, czego owocem jest uwielbienie.

A co, jeśli ktoś nie widział na własne oczy żadnego uzdrowienia lub innego cudu? Co więcej, może w swojej wierze doświadcza trudu i wewnętrznej pustki. Myślicie, że uwielbienie też jest dla niego?

Jakub: Pan Jezus powiedział, że każdy, kto szuka, znajduje (por. Mt 7,7). Razem z Dorotą przez wiele lat prowadziliśmy stowarzyszenie, którego celem była pomoc ludziom z ulicy. Mieliśmy dom, w którym mieszkali osoby wychodzące ze swoich problemów lub zmagające się z nimi. Wierzę, że Bóg chciał – tak jak i my – pomóc każdemu z nich, ale nie każdy to przyjmował. Szokiem było dla mnie, gdy zobaczyłem, że ludzie, którzy namacalnie doświadczili Boga i całkowitej zmiany swojego życia dzięki Jego pomocy, później nie chcieli z Nim żyć czy Go szukać.

Pierwszym powodem tego, że ludzie nie doświadczają Boga, jest zatem to, że Go nie szukają. Natomiast znam też wielu ludzi, którzy zaczęli szukać Boga i choć nie było to łatwe, to w końcu przyszedł taki moment, że Bóg im się objawił. Wielu zniechęca się tym, że nie dzieje się to od razu. Niektórzy mówią: „Pomodliłem się, poczekałem trzy minuty, nic się nie wydarzyło, więc Boga nie ma” – a to tak nie działa. W moim życiu poszukiwania Boga trwały tygodniami, miesiącami, latami. Zachęcam więc każdego, by się nie poddawać w poszukiwaniach, bo Jezus obiecał, że kto Go szuka, ten znajdzie. Z Bogiem nie jest jak z automatem – wrzucasz dwa złote i za dziesięć sekund wyskakuje napój. W wierze trzeba wyruszyć na poszukiwanie. Dla mnie to były długie godziny spędzone w ciszy, w lesie, by tam bez rozproszeń szukać Pana.

Wracając jednak do cudowności – czy bez widzenia spektakularnych zdarzeń nie ma uwielbienia?

Dorota: Doświadczenie cudów nie jest konieczne. Samo poznanie Boga wystarczy. Bo jeśli wiem, że On jest dobry i jest miłością, to nawet gdy nie znam odpowiedzi na wszystkie dotyczące Go pytania, to mogę uwielbiać Boga w tym, co o Nim wiem.

W jednym z listów Piotra czytamy, że mamy się radować pomimo tego, że przechodzimy w życiu trudne chwile (por. 1 P 1,6). I dokładnie o to chodzi! Uwielbienie jest owocem wiary – mimo że nie doświadczam radości, mogę uwielbiać i dziękować.

Czy moglibyście przywołać fragmenty Pisma Świętego, na które warto zwrócić uwagę w kontekście uwielbienia?

Dorota: Ja zajmuję się tańcem uwielbienia. W Piśmie Świętym jest wiele fragmentów, w których czytamy: „Radujcie się!”, „Cieszcie się!”, „Weselcie się!”. Gdybyśmy sięgnęli do hebrajskiego oryginału Starego Testamentu – bo w tym właśnie języku został napisany – to zobaczymy, że tam, gdzie w naszym tłumaczeniu użyte są słowa: „Raduj się i wesel”, pojawiają się często określenia, które można przełożyć jako: „Tańcz”, „Wiruj całą swoją mocą”, „Skacz z radości” lub „Wołaj, krzycz, wysławiaj”. W Biblii jest mnóstwo o uwielbieniu tańcem, ruchem, całym ciałem.

Moim ulubionym fragmentem jest opowieść o królu Jehosafacie (Jozafacie), którą znajdziemy w dwudziestym rozdziale Drugiej Księgi Kronik. Gdy Jehosafat panował w Izraelu, wielkie wojsko Ammonitów, Moabitów i mieszkańców góry Seir wyruszyło przeciwko niemu. Po ludzku nie było żadnych szans na wygraną. Wtedy Jehosafat zaczął się modlić do Boga i pytał: „Panie,

co mamy robić?”. I otrzymał odpowiedź: „Nie bójcie się i nie przerażajcie w obliczu tego licznego tłumu, ponieważ nie wasza to walka, lecz Boga” (2 Krn 20,15 i nn.)*. Wysłał kapłanów przed zbrojnymi; pierwsi poszli ci, którzy niesli Arkę, śpiewali i głośno grali na trąbach. Uwielbienie „szło” przed wojskiem.

Czasem zastanawiam się, co bym zrobiła, gdybym była takim kapłanem wysłanym przed wojsko na pole bitwy. Ruszam, a przede mną dziesiątki tysięcy zbrojnych żołnierzy, więc rzecz jasna idę na pożarcie, i jeszcze mam śpiewać: „Wielki jest Pan i godzien wszelkiej chwały”, cieszyć się i uwielbiać. W tym fragmencie (por. 2 Krn 20,19) na określenie uwielbienia użyto słowa *halal*, które oznacza głośne, spontaniczne, radosne, szalone uwielbienie, często połączone z ruchem. Bo trzeba pamiętać, że w kulturze hebrajskiej nie oddzielało się ciała od ducha i duszy – to, co człowiek przeżywał wewnątrz, wyrażał i na zewnątrz. My, wychowani pod wpływem kultury greckiej, często rozdzielamy duszę od ciała, natomiast w Biblii: „Raduj się!” oznacza także wyrażanie radości ciałem. I ci kapłani izraelscy, którzy szli przed wojskiem naprzeciw pogańskiej tłuszczy, śpiewali i tańczyli, bo to właśnie jest zawarte w słowie *halal*. Choć pewnie tego nie czuli, to jednak przez wiarę tak uczynili – na Boże słowo. Jaki był efekt? Bóg zastawił zasadzkę na ich nieprzyjaciół, tak że sami się pozabijali (por. 2 Krn 20,22). Bóg walczył za nich – to efekt uwielbienia. Gdy więc jestem w trudnym momencie swojego życia, w jakichś

* Ten i kolejne cytaty w tej rozmowie za: *Biblia ekumeniczna*, [online:] <https://www.biblia.info.pl/biblia.html> [dostęp: 21.01.2025].

opalach, i czuję się, jakby wszystkie wojska świata stanęły przeciw mnie, to wtedy Bóg mówi: „Uwielbiaj Mnie”.

Opowiedz więcej o tym połączeniu uwielbienia z tańcem. Jak człowiek Starego Testamentu mógł uwielbiać Boga?

Dorota: Widzimy to na podstawie hebrajskich słów – mamy aż jedenaście różnych określeń – użytych w Piśmie Świętym, które mówią o uwielbieniu połączonym z ruchem.

Pierwsze z nich to na przykład *toda*, oznaczające „dziękczynienie”. Przykładowo w Psalmie 50 czytamy: „Ofiaruj Bogu dziękczynienie, spełnij swoje śluby wobec Najwyższego! Wzywaj Mnie w dniu niedoli – Ja cię wybawię, a ty Mnie uwielbisz. Kto składa ofiarę dziękczynną, ten cześć Mi oddaje, a żyjącym bez skazy ukaze Boże zbawienie” (Ps 50,14–15.23). Przeważnie tam, gdzie mowa o dziękczynieniu, pojawia się słowo *toda*. Podobnie w Psalmie 95: „Przyjdźmy z dziękczynieniem przed Jego oblicze, radośnie śpiewajmy Mu pieśni” (Ps 95,2). Ale jak mamy dziękować? Podnosząc ręce w akcie dziękczynienia – bo to właśnie oznacza słowo *toda*. Taki prosty gest, od którego zaczyna się uwielbienie. Stanięcie z wyciągniętymi rękami jest jak deklaracja, czyli wyrażenie gestem tego, co mam w sercu.

Takie podejście, które proponuje nam Biblia, zupełnie zmienia perspektywę. Zaprasza nas do tego, by wyrazić ciałem to, co mamy w sercu – mówi: „Włącz w uwielbienie swoje ciało!”. W Nowym Testamencie czytamy: „Czy nie wiecie, że wasze ciało jest świątynią obecnego w was Ducha Świętego, którego macie

od Boga, i że już nie należycie do samych siebie? Zostaliście bowiem nabyci za wielką cenę. Chwalcie więc Boga w waszym ciele” (1 Kor 6,19–20). Uwielbienie jest zatem wpisane nie tylko w duszę i ducha, ale i w ciało. Czasem ktoś wydaje się aż tak pobożny, tak „duchowy”, że już tego nie widać – nie okazuje radości na zewnątrz, bo uważa, że to coś złego. A tymczasem Biblia uczy nas czegoś odwrotnego.

A może ktoś się tak chowa „do środka”, bo bliska mu jest postawa celnika z Ewangelii, który bije się w pierś, świadomy swoich grzechów (por. Łk 18,9–14)?

Jakub: Myślę, że w tej przypowieści Jezus mówi o motywacji serca. Jeśli robimy coś po to, by ludzie nas chwalili, cenili za pobożność, to Bogu się to nie podoba.

Mam jednak wrażenie, że silnie tkwi w nas myślenie, zgodnie z którym wobec Boga trzeba się ukorzyć, skulić, a najlepiej klęknąć na grochu, by bolało.

Dorota: Trzeba więc wrócić do pytania o obraz Boga w moim sercu. Jakie mam doświadczenie Boga? Jak Go spotkałem? Co zrobił w moim życiu? Poznanie tego, jaki Bóg naprawdę jest, daje doświadczenie pokoju wewnętrznego. W Piśmie Świętym czytamy: „Każdą swoją troskę zrzucie na Niego, ponieważ On troszczy się o was” (1 P 5,7). Taki prosty werset – jak go zastosować w życiu? Każdego dnia, pomimo trudów i ciągłej walki,

przerzucać swoje troski na Pana. Nie złożyć, a za chwilę znów się troszczyć, tylko oddawać Mu i nie brać z powrotem. Efekt? Wchodzę do miejsca odpoczynku. Jeśli ufam i wierzę, mogę żyć w pokoju, w zawierzeniu, a to prowadzi mnie do pieśni dziękczynienia. Zaczynam śpiewać: „Dziękuję Ci, Boże, za to, że rozwiążesz tę sytuację”. Z wiary i doświadczenia Boga rodzi się uwielbienie. A gdy spadają ciężary, przychodzi radość – wyrażana właśnie śpiewem, pieśniami, ruchem, tańcem czy grą na instrumentach.

Gdzie w Piśmie Świętym mowa o takim uwielbieniu?

Jakub: Na przykład w wielu psalmach. Czytamy: „Wołaj radośnie na cześć PANA, cała ziemia, cieszcie się, radujcie i grajcie! Śpiewajcie PANU przy wtórze cytry, grajcie na cytrze i śpiewajcie, grajcie na trąbie i rogu! Wołajcie radośnie wobec PANA, Króla!” (Ps 98,4–6). I gdybyśmy sięgnęli do hebrajskiego oryginału, to tam znajdziemy – tak jak wspomniała Dorota – słowa o tym, by radować się, tańcząc, wręcz wirując.

Świetny przykład takiego uwielbienia dał król Dawid. Dość znana jest historia o tym, jak tańczył przed całym Izraelem, zrzucał szaty i wielbił, aż ludzie się dziwili i śmiali. Ta jego postawa pokazuje coś ważnego – w uwielbieniu nie możemy się przejmować tym, co ludzie powiedzą, bo najistotniejsze jest oddawanie chwały Bogu. Dawid tak postąpił, gdyż Bóg był dla niego najważniejszy. Nie spodobało się to jego żonie, ale on na jej krytykę odpowiedział: „A ja i tak będę uwielbiał Boga!” (por. 2 Sm 6,21–22).

Dawid był więc nie tylko królem, prorokiem, wojownikiem, ale i człowiekiem, który żył uwielbieniem.

Dorota: Á propos Dawida można zapytać, gdzie tkwiła jego wartość i godność. Nie w tym, co myśleli inni – jego żona czy poddani – ale jak patrzył na niego Bóg. Dla mnie to klucz do wolności w byciu przed Bogiem. Jeśli przejmuję się ludźmi, upatruję moją wartość w tym, co oni o mnie powiedzą – a w naszej kulturze widać silną twierdzą wstydu i lęku przed odrzuceniem – to nie potrafię uwielbiać całym sercem.

Sporo jeździmy do Izraela, by poznawać tam korzenie tańca uwielbienia, ponieważ kultura żydowska jest po prostu zasadzona w Piśmie Świętym. Będąc tam, wyraźnie widzimy różnice w wychowaniu i mentalności; na przykład, gdy organizujemy tańce uliczne, ludzie spontanicznie do nas dołączają – nieważne, czy ktoś zna kroki, czy nie, czy umie tańczyć, czy brakuje mu wyuczania rytmu. Włączają się, bo chcą doświadczyć radości w tańcu. Ale gdy kiedyś zaprosiliśmy do Polski mesjańską Żydówkę, a ona zaproponowała taniec uliczny z zachęcaniem do niego ludzi, powiedziałam: „Tikva, nikt nie dołączy. Zobaczysz, że ludzie będą stać w kółeczku, patrzeć, robić zdjęcia i nagrywać filmiki”. Była bardzo zdziwiona, gdy rzeczywiście okazało się, że tańczyliśmy tylko w trójkę – mimo iż wołała ludzi, nikt nie dołączył.

Tym, co nas blokuje, jest lęk przed oceną. A król Dawid to pokonał! Złożył swoje szaty, symbolizujące jego królewską godność, by naprawdę być wolnym. My też musimy zdjąć szaty naszego lęku przed opinią innych ludzi i stanąć przed Bogiem.

Powiedzieć Mu: „Tańczę przed Tobą, który zdobyłeś moje serce”. Żona Dawida zarzuciła mu, że się wygłupił przed całym ludem, a on jej odpowiedział: „Przed PANEM, który – zamiast twego ojca i całej twojej rodziny – mnie wybrał i ustanowił wodzem ludu PANA, Izraela, przed PANEM będę tańczył. Jestem gotów jeszcze bardziej się umniejszyć” (2 Sm 6,21–22a). Skąd Dawid miał w sobie tę siłę, by zmierzyć się z oceną innych? Trzeba wrócić do jego osobistego doświadczenia Boga. Gdy był młodym chłopcem, całe dnie spędzał na pastwisku, grając i śpiewając Panu – tam ukształtowała się jego wiara i tożsamość, przy tamtych owcach wzrastał w poznaniu Boga. Dzięki temu doświadczeniu potem pokonał Goliata i został królem. Wierzę, że to wszystko były owoce czasu spędzonego w dzieciństwie na pastwisku, kiedy to osobiście poznawał Boga, a On go kształtował jako wojownika – najpierw pokonującego lwy i niedźwiedzie, by mógł potem powalić Goliata.

Jakub: A skąd wiemy, że Dawid uwielbiał Boga na pastwisku? Czytamy w Piśmie Świętym, że gdy króla Saula atakował zły duch, sprowadzano Dawida, który potrafił tak grać, że zły duch odchodził (por. 1 Sm 16,23). Skoro Dawid tak grał, to znaczy, że musiał wcześniej uwielbiać Boga i wiedzieć, jak oddawać Mu chwałę, by do Saula przychodził pokój, a dręczące, złe myśli pierzchały. Gdzie Dawid się tego nauczył? Na pastwisku, grając Bogu na harfie.

Dawid jest moim patronem, choć lubię go przede wszystkim za to, że był „ludzkim” królem – gdy zgrzeszył, potrafił

też przyznać się do winy. Ale wracając do uwielbienia, czy możecie powiedzieć więcej o tych słowach, które w Biblii określają oddawanie chwały Bogu? Mówiliśmy o *halal* i *toda*...

Dorota: Istnieje też słowo *giyl*. W dokładnym tłumaczeniu oznacza ono: „wirować pod wpływem silnych emocji”, „kręcić się w kółko”, „być szczęśliwym i radosnym” – to uwielbienie często połączone z wołaniem i wysławianiem. W polskich tłumaczeniach występuje jako: „Raduj się i wesel”, na przykład w Psalmie 32: „Cieszcie się i radujcie w PANU, sprawiedliwi, wykrzykujcie radośnie, wszyscy prawego serca!” (Ps 32,11), czyli zaangażujcie swoje ciało, wyrażajcie nim radość.

Jakub: Oczywiście, że tłumacz, przygotowując przekład, musiał wybrać jakieś jedno konkretne słowo. Postanowił użyć tego, bo zapewne był przekonany, że ono najlepiej oddaje oryginał. Kiedyś rozmawialiśmy z Dorotą o tym, że dobrym pomysłem byłoby wydanie takiego tłumaczenia Biblii, w którym można by zobaczyć wszystkie znaczenia poszczególnych słów – by czytający mieli dostęp do szerszego kontekstu.

Dorota: Jest taka znana piosenka chrześcijańska, często śpiewana w różnych kościołach, pod tytułem: *Oto jest dzień*. Jej tekst pochodzi z Psalmu 118, gdzie czytamy: „Oto dzień, który PAN uczynił, radujmy się nim i weselmy!” (Ps 118,24). I tu znowu mamy słowo *giyl*. A naszym szczytem wyrażania radości, gdy

śpiewamy te słowa, są podniesione ręce lub klaskanie. Biblia zaś mówi dosłownie: „Wiruj w koło, wołaj, krzycz, wysławiaj swego Boga!”.

Pismo Święte jest pełne wyrażen mówiących o uwielbieniu połączonym z ruchem ciała. Innym podobnym terminem jest słowo *alats* oznaczające: „skakać z radości”, „być pełnym radości”, „triumfować”, „okazywać radość”. I tak w Psalmie 5 jest napisane: „Niech cieszą się wszyscy ufający Tobie, niech się weselą na wieki! Ostonisz ich i będą się radować w Tobie, ci, którzy kochają Twoje imię” (Ps 5,12). Tam, gdzie czytamy: „radować się”, pojawia się właśnie słowo *alats*, czyli weselić się – jak? Skacząc z radości. Albo podobnie w Psalmie 9: „Będę się cieszył i weselił Tobą, będę śpiewał, Najwyższy, na cześć Twojego imienia” (Ps 9,3).

Co ciekawe, przywołane wcześniej wyrażenie *giyl* jest użyte w Piśmie Świętym aż 44 razy, a w polskim tłumaczeniu zawsze kryje się pod zwrotem: „Radujcie się, weselcie się”. Myślę, że wynika to nie tylko z konieczności wybrania jakiegoś słowa w przekładzie, ale też z faktu, że nasza kultura – jak już wspomnieliśmy – wyrosła między innymi z filozofii greckiej, ze stoicyzmem na czele, który jednak silnie odseparowywał to, co dzieje się wewnątrz człowieka, od tego, co na zewnątrz. Tak zostaliśmy wychowani, więc gdy w naszym kontekście kulturowym czytamy: „Radujcie się!”, to sukcesem jest, gdy się choć uśmiechniemy, uświadamiając sobie, co znaczą te słowa. A w Piśmie Świętym czytamy nie tyle: „Uśmiechnij się!”, ile: „Wiruj z radości!”. Tak jak w Psalmie 97 jest napisane: „PAN

jest królem – niech cieszy się ziemia, niech się radują liczne wyspy!” (Ps 97,1).

„Wiruje ziemia”?

Dorota: Dokładnie! Bóg stworzył cały wszechświat, który nieustannie oddaje Mu chwałę – „Niebiosą głoszą chwałę Boga, a nieboskłon obwieszcza dzieło rąk Jego” (Ps 19,2). Ale dwa razy w Piśmie Świętym – w Księdze Sofoniasza – słowo *gijl* użyte jest w kontekście Boga. Prorok pisze, że Bóg tańczy, gdy jest pośród swojego ludu – tak się cieszy, że aż wiruje z radości: „PAN, twój Bóg, jest pośród ciebie, Mocarz, który cię zbawi! Bardzo się tobą ucieszy, odnowi swoją miłość do ciebie i będzie się tobą radować [*gijl*]” (So 3,17).

Jakub: A dalej czytamy, że wzniesie okrzyk radości, jak w dniu uroczystego święta (por. So 3,17–18). Jeśli ktoś był w Izraelu w czasie świąt żydowskich i widział, jak Żydzi przeżywają ten czas, to wie, że to naprawdę wygląda inaczej niż u nas. Tam jest pełno tańca i radości.

Jaka szkoda, że często oddzielamy ducha od fizyczności. Bo czy gdyby nasze ciało zaangażowało się w przeżywanie radości, to miałoby to wpływ na naszą psychikę? Czy nie jest to kwestia dotycząca całego naszego człowieczeństwa?

Dorota: W Liście św. Pawła do Rzymian czytamy: „Zachęcam więc was, bracia, przez wzgląd na miłosierdzie Boga, abyście

złożyli wasze ciała na ofiarę żywą, świętą, podobającą się Bogu, związaną z waszą mądrą służbą” (Rz 12,1). Jak mogę złożyć swoje ciało na ofiarę w uwielbieniu? Między innymi tańcząc, okazując uwielbienie ciałem. Czym jest więc taniec? Wyrazem mojego duchowej służby, kultu – czyli taniec dla Boga to rzecz duchowa, nie tylko kwestia ciała. Taniec to narzędzie uwielbienia. Niestety kultura Zachodu odarła go z duchowości; gdy ktoś tańczy, zwykle robi to przede wszystkim dla rozrywki. W Piśmie Świętym jest on natomiast postrzegany duchowo jako narzędzie proklamacji chwały Boga, bo wtedy cała ja – jako duch, dusza i ciało połączone ze sobą – składałam siebie w ofierze.

O tym mówi też Ewangelia: by kochać Boga z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił (por. Mk 12,30), czyli wszystkim, kim jesteśmy, całymi sobą. Właśnie to robił Dawid – cały zatracił się w uwielbieniu i wszystkim wyrażał miłość do Boga. Jesteśmy całością, gdy więc coś dzieje się w naszym duchu, przemienia się też nasze serce, ciało.

Często to widzę, gdy prowadzę w domu kultury zajęcia z tańca żydowskiego. Wiele z tych tańców ma bardzo prostą choreografię, sporo też jest opartych na treściach z Pisma Świętego. Na zajęcia przychodzą nie tylko wierzący, ale i niewierzący. Ostatnim tańcem zawsze jest Kadosz – jego nazwa to imię Boga, *Kadosz* znaczy „Święty”. Ruchy w tym tańcu są powolne, a gesty skierowane ku niebu. Gdy ktoś je wykonuje – nieważne, czy wierzy, czy nie – jego ciało uwielbia Boga, deklaruje: „Boże, Ty jesteś święty”. Niekiedy zaś ci ludzie w ten sposób zaczynają doświadczać Boga, właśnie przez to, że ciałem oddają Mu chwałę, i to ma wpływ na ich ducha i duszę.

Do tej pory poruszaliśmy się głównie po Starym Przymierzu. Czy uwielbienie, o którym opowiadacie, pojawia się też w Nowym Testamencie?

Dorota: Tak, na przykład w Dziejach Apostolskich. Kiedy Paweł i Syłas trafili do więzienia, ich nogi i ręce były zakute w dyby, więc zapewne nie mogli się ruszać, ale jednak uwielbiali Boga (por. Dz 16,25). Jaki był tego efekt? Mury więzienia pękły aż do fundamentów, a oni i wszyscy, którzy z nimi tam przebywali, wyszli na wolność. Jeżeli więc uwielbiasz w trudnym dla siebie czasie, możesz w swoim życiu doświadczyć, że mury twojego więzienia pękną i wyjdiesz na wolność. To wydarzenie jest dla mnie najmocniejszym fragmentem z Nowego Testamentu, jeśli chodzi o moc i owoce uwielbienia.

W kontekście zaś połączenia uwielbienia z tańcem, w tej części Biblii – napisanej po grecku – znajdziemy takie słowo jak *agalliao*, które dosłownie oznacza: „tryskać radością jak fontanna”, „skakać z radości”, „tryskać nadzwyczajną radością”. Zostało ono użyte przez Jezusa, gdy powiedział do wracających z misji uczniów, by cieszyli się nie z tego, że złe duchy się im poddają, ale że ich imiona zapisane są w niebie (por. Łk 10,20). Tuż po tym fragmencie ewangelista mówi: „W tej samej godzinie Jezus pod wpływem Ducha Świętego rozradował się i powiedział: Wysławiam Ciebie Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te sprawy przed mądrymi i rozumnymi, a objawiłeś je tym, którzy są jak małe dzieci. Tak, Ojcze, bo tak się Tobie spodobało” (Łk 10,21) – i tu na określenie radości Jezusa też zostało użyte słowo *agallios*. Czyli można powiedzieć, że Jezus, zwracając się do Ojca, uwielbiał Go, skacząc z radości, tryskał radością jak fontanna.

Jakub: A jeżeli ktoś miałby wątpliwości, czy Jezus rzeczywiście uwielbiał w ten sposób, to trzeba sobie przypomnieć, że Pismo Święte podaje, iż chodził na święta żydowskie. Żydzi zaś mieli nakaz radowania się, czyli tańczenia, podczas świąt. Kto go wydał? Bóg. A skoro napisane jest, że Pan Jezus w niczym nie zgrzeszył (por. 2 Kor 5,21), to jeżeli wcześniej wydał polecenie, by tańczyć i się radować, to z pewnością tak robił, bo była to Jego wola.

Dorota: Można też zadać pytanie o to, czy w ogóle wolno komuś nakazać się cieszyć i radować. Myślę, że tak, ponieważ radość to decyzja. To ja decyduję, na czym będę się skupiać w swoim życiu – czy będę wpatrzony w problemy, czy w dobrze rzeczy, które zawsze da się odnaleźć. Dlatego Bóg mówi: „Patrz na to, co dobre, i dziękuj Mi. Dziękuj, bo zawsze jest za co dziękować, nawet wobec trudności i nieprzyjaciół”. Tym jest właśnie radość – *agalliao* – w obliczu prześladowań, o której czytamy w Ewangelii Mateusza i w liście Piotra. Jezus w kazaniu na górze mówi: „Błogosławieni jesteście, gdy z Mojego powodu będą wam ubliżać, prześladować was i mówić kłamliwie wszystko, co złe przeciwko wam” (Mt 5,11), a potem dodaje, co mamy w tej sytuacji robić. Czy mówi o zamknięciu się w sobie? Czy wspomina o pogrążaniu się w rozpacz i smutku? Nie, mówi: „Radujcie się i weselcie, gdyż wielka jest wasza nagroda w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków przed wami” (Mt 5,12), czyli: „Tańczcie z radości, bo w niebie czeka na was obfita zapłata – gdyż wy nie jesteście z tego świata. Patrzcie na Mnie, patrzcie w górę i cieszcie się!”. Podobnie w liście Piotra: „Dlatego cieszcie się, chociaż teraz trzeba, abyście

z powodu różnych doświadczeń trochę byli zasmuceni” (1 P 1,6).
Mamy się więc weselić pomimo przeciwności.

A jak sobie wyobrażacie tę radość świętych, którzy już osiągnęli to, co obiecywał Jezus?

Jakub: W Modlitwie Pańskiej Jezus uczy nas, by modlić się tak: „Niech Twoja wola dzieje się na ziemi, tak jak w niebie”. A skąd możemy wiedzieć, jak jest w niebie? Otóż możemy, bo apostoł Jan to widział i opisał. W Apokalipsie czytamy, że w niebie jest wielkie uwielbienie – tam dzieje się wszystko: piosenki, tańce, pokłony, hałas, harmider, szum (por. Ap 4). Było dla mnie dużym odkryciem, że tam jest hałas, bo niebo zawsze kojarzyło mi się ze spokojnymi piosenkami – a tymczasem mamy tam pełno dźwięków, niczym szum wodosпадów i huk wielu gromów. Tak radują się święci w niebie.

Na koniec chciałbym zapytać o wiarę. Co was w niej umacnia? Co sprawia, że jest silna?

Jakub: Moją wiarę buduje i wzmacnia codzienne spędzanie czasu z Bogiem i Jego słowem. Wiem, że On do mnie przez nie przemawia i staram się znajdować miejsce, gdzie nic mnie nie rozprasza w słuchaniu Jego głosu. Chodzę więc do lasu czy nad rzekę, gdzie nic się nie dzieje, bo tam o wiele łatwiej jest mi skupić się na Bogu, i czytam Jego słowo. W ten sposób On wzmacnia mnie każdego dnia.

Dorota: U mnie jest tak samo – wychodzi tu nasza zgodność małżeńska. Codziennie czytam Słowo i staram się odnaleźć w nim to, co Bóg kieruje do mnie osobiście. Gdy rozważam jakiś fragment, zadaję pytanie: „Boże, co chcesz mi pokazać? Co mówisz właśnie do mnie?”. I to mnie przeprowadza przez każdy dzień.

DOROTA I JAKUB HEROKOWIE – założyciele służby YaDaH oraz Szkoły Uwielbienia Ruchem i Tańcem. Od 24 lat razem posługują na konferencjach, warsztatach i w domach modlitwy, dzieląc się wizją uwielbienia pieśnią, dźwiękiem, ruchem. Dorota i Jakub są też autorami audiobooka *Prorocze uwielbienie*, w którym omawiają biblijne przykłady uwielbienia muzyką, modlitwy tańcem i flagami, a także przedstawiają wymiary ich praktycznego zastosowania w codzienności.

Dorota Herok – nauczyciel i choreograf tańców żydowskich i izraelskich, absolwentka Chrześcijańskiej Szkoły Pantomimy, Dramy i Tańca. Od lat prowadzi zespół tańca żydowskiego i izraelskiego „Klezmer” w Cieszynie, a także szkoły uwielbienia za pomocą tańca i ruchu, z użyciem flag i biblijnego znaczenia kolorów.

Jakub Herok – producent filmowy (Clay Qb), twórca między innymi serii krótkometrażowych filmów *Głupi Mądry Film* i *Stopstart*, a także gitarzysta, lider uwielbienia, który swoją pasję do Jezusa wyraża muzyką i śpiewem.

7. DZIELENIE SŁOWEM

W DWUGŁOSIE:

GRZEGORZ KURAŚ OP & DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Dawid Kołodziejczyk OP: Tematem naszej rozmowy będzie przygotowanie do niedzielnej liturgii. Chcielibyśmy opowiedzieć o jednym ze sposobów słuchania słowa Bożego, które nazywamy dzieleniem się Słowem, a które wielu z nas praktykuje na co dzień. Ale zacznijmy od tego, dlaczego warto dzielić się Słowem przed niedzielą?

Grzegorz Kuraś OP: W Lublinie, gdzie aktualnie mieszkam, współprowadzę grupę postakademicką, w której właśnie tak słuchamy Słowa, dzieląc się nim. Dla mnie to bardzo cenne doświadczenie – z jednej strony mogę posłuchać, jak inni ludzie rozumieją słowo Boże, a z drugiej powiedzieć coś od siebie, nie mówiąc kazania. Wbrew pozorom to bardzo trudne podzielić się Słowem, a nie głosić. Dzielenie Słowem z innymi zmusza mnie do tego, by przypomnieć sobie, że Bóg w nim mówi też do mojego serca – tak jakby Jezus usiadł naprzeciwko i kierował słowa bezpośrednio do mnie.

Pamiętam, jak na studiach biblijnych jeden z braci zapytał, kiedy ostatnio czytałem Biblię po to, żeby się pomodlić. Zacząłem się zastanawiać i odpowiedziałem: „Oj dawno, bardzo

dawno”. Zauważyłem, że czytam Biblię czysto technicznie, więc zgodziłem się poprowadzić grupę dzielenia Słowem, by sobie przypominać, że ono jest też skierowane do mnie.

Dawid: To ciekawe, co mówisz, bo my – kaznodzieje – często rzeczywiście czytamy słowo Boże, by powiedzieć kazanie, nauczać kogoś, coś wyjaśnić, ale trudno nam się zatrzymać i słuchać go dla siebie. Wiem, że w niektórych naszych klasztorach bracia zbierają się przed niedzielą i próbują właśnie tak słuchać Słowa i się nim dzielić.

Grzegorz: Gdy mieszkałem w Korbielowie, właśnie tak robiliśmy. Podobało mi się, że mogłem posłuchać innych braci. To było dla mnie bardzo ożywiające, bo wszyscy mówili o Słowie przez pryzmat swojej wrażliwości czy własnego doświadczenia i wskazywali rzeczy, których dotąd nie zauważałem – bo mi uciekały lub nie byłem w stanie ich wydobyć.

Dawid: U nas na Freta* nie ma wspólnego dzielenia się słowem Bożym. Trochę żałuję, chociaż przyznam, że nie podjąłem inicjatywy, by zachęcić do tego braci. Wkrótce będę się wyprowadzał do Krakowa, gdzie bracia to praktykują – mam nadzieję, że moje pragnienie słuchania Słowa i dzielenia się nim tam się zrealizuje.

* Chodzi o warszawski klasztor dominikanów przy ul. Freta. Gdy książka była przygotowywana do publikacji, o. Dawid przeniósł się do klasztoru krakowskiego – przyp. red.

Gdy myślę o tym, dlaczego warto wcześniej – przed niedzielną liturgią – czytać Słowo, to przede wszystkim trzeba powiedzieć, że mając je trochę przemyślane, inaczej doświadczą się go podczas mszy. Co więcej, buduje się też nasza indywidualna relacja z Panem Bogiem.

Grzegorz: Pamiętam, gdy jako diakon byłem w Krakowie przypisany do pomocy o. Janowi Andrzejowi Kłoczowskiemu, i raz przyszedłem zapytać go o coś na początku tygodnia. Zauważyłem, że ma otwarte Pismo Święte, więc przy okazji zagadałem, czy to dowolna strona, czy aktualnie coś czyta. On odpowiedział, że zawsze w poniedziałek otwiera Ewangelię na niedzielę i cały tydzień zagląda do niej, medytuje, myśli nad kazaniem. Dla mnie to było niezwykle inspirujące, że przez cały tydzień ktoś sam próbuje żyć niedzielą Ewangelią, zmagając się z nią i dopiero potem głosi. Jeśli na przykład opowiada ona o przebaczeniu siedemdziesiąt siedem razy, to przecież inaczej mówi się kazanie, gdy przez cały tydzień próbowało się uczyć przebaczenia, niż gdy przeczytało się to słowo w sobotę wieczorem. Niestety ja jestem z tych, co czytają w sobotę wieczorem, więc z pokorą przyznaję, że póki co słabo się zainspirowałem.

Dawid: Ja mam zasadę, że gdy odprowadzam w niedzielę mszę o 21:30, to dopiero godzinę wcześniej zaczynam układać kazanie i czytać słowo Boże. Wychodzę z założenia, że to musi być świeże – o tym, czym żyję.

Grzegorz: Ja z kolei mam przypisaną mszę o 7:30, więc muszę być gotowy w sobotę, żeby w niedzielę wyjść i nie znudzić się sam sobą.

Dawid: O dzieleniu Słowem myślę też jako o poszukiwaniach w wierze, bo to przecież zadawanie pytań, tropienie odpowiedzi, często konfrontowanie się z tekstem – trochę to próbuję też robić w moim podcaście *Puzzle Wiary*. Kiedyś od jednej ze słuchaczek dostałem ważne pytanie o zmartwychwstanie, a dokładnie o to, dlaczego – skoro oczekujemy na powszechne zmartwychwstanie – w Ewangelii Mateusza jest napisane, że umarli już zmartwychwstali (por. Mt 27,51–52).

Grzegorz: Tak, to ten apokaliptyczny fragment trochę niepasujący do Mateusza.

Dawid: To pytanie słuchaczki zainspirowało mnie do poszukiwania odpowiedzi. Myślę więc, że to wcześniejsze stanięcie przed Panem Bogiem mówiącym w Słowie pomaga patrzeć uważniej. Nie wiem, jak ty masz, ale mnie trudno jest słuchać – potrzebuję tekstu.

Grzegorz: O, to ciekawe, bo w ogóle tego po tobie nie widać. To-czysz zatem potężną walkę wewnętrzną! Księga Mądrości mówi, że ten, kto szuka mądrości, zawsze znajdzie ludzi, z którymi będzie mógł dzielić się tym, co odkrywa (por. Mdr 8,10–13). Myślę, że gdy ktoś jest na spotkaniu grupy osób, które chcą się dzielić Słowem – nawet jeśli nie ma odwagi czy ochoty czegokolwiek

powiedzieć – to sama chęć i obecność otwiera na działanie Ducha Świętego. Dla mnie budujące jest, kiedy widzę, jak ludzie podejmują się rozważania też tych trudniejszych fragmentów Ewangelii, w których na przykład czytamy o gwałtowności Jezusa. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego Jego obrazu; to budzi pytania, wprowadza dyskomfort – taki Boży dyskomfort. Wspólne zmaganie się z podobnymi zagadnieniami to budowanie żywej wiary, bycie razem w drodze.

Dawid: A na ile ma sens osobiste przemedytowanie niedzielnego Słowa, ale bez podzielenia się z innymi?

Grzegorz: Jeżeli chodzi o głoszenie kazania, to ma olbrzymie znaczenie! Natomiast także i bez tej konieczności bardzo zachęcam, by podejmować próbę osobistego mierzenia się ze słowem Bożym. Pismo Święte jest napisane dla nas i opowiada o nas. Nie spadło z nieba, ale spisały je ludzkie ręce. To nie jest *Władca Pierścieni*, czyli piękna opowieść, ale jednak bajka, legenda. Ono jest ludzkie, a zarazem inspirowane Duchem Świętym. To są nasze historie – naszych praojców, pramatek, którzy spotkali Pana Boga w życiu i się z Nim zmagali. Biblia to zapis tych przeżyć i doświadczeń. Wreszcie jest to też zapis spotkania z Mesjaszem. To żywe Słowo, przez które Chrystus swoim światłem ciągle nas przenika, dotyka.

Pierwsze spotkanie ze Słowem może być trudne. Kiedy otwieram je, czytam i myślę: „To nie dla mnie, Panie, to nie są moje problemy. Ja tym nie żyję; ja mam kredyt, pracę, sprawy do

załatwienia, urzędy do odwiedzenia”. Jeżeli jednak zobaczymy, że pod zewnętrzną warstwą opowieści też kryje się człowiek, który się boi, szuka, wątpi, to nagle uświadomimy sobie, że Pismo Święte jest o mnie i o tym, co przeżywam. Dzięki temu mogę polubić lub nawet zaprzyjaźnić się z postaciami biblijnymi, które na początku mnie denerwowały. Na przykład z takim Amosem...

Dawid: Ja go lubię.

Grzegorz: Ale on jest taki morowy, markotny, aż by się chciało powiedzieć do niego: „Człowieku, uśmiechnij się!”. Chciałoby się zapytać, czemu dla tego proroka wszystko jest takie okropne i smutne.

Dawid: Mnie fascynuje jego historia. Amos jest człowiekiem znikąd. Bóg go powołał, zabierając go od przycinania sykomor. Ten się zapierał, że się nie nadaje, a Bóg do niego: „Stary, ja mam plan, nic nie mów”.

Grzegorz: Zresztą sugerowano mu, żeby nie prorokował, a on na to: „Przecież nie jestem prorokiem! Ja jestem od nacinania sykomor. Czego ode mnie chcecie? Nie możecie mi zakazać prorokowania, bo nie jestem prorokiem” (por. Am 7,14). Niezły cwaniak, nie?

Dawid: Myślę, że zgadzamy się w tym, iż dobrze jest skonfrontować swoje myśli o Słowie z kimś innym, posłuchać niedzielnych

czytań we wspólnocie. Oczywiście nie deprecjonuję osobistej medytacji, ale wydaje mi się, że wspólne czytanie ma dużą wartość.

Grzegorz: Ogromną wartość dodaną, prawda? Gdy w Ewangelii pojawiają się teksty dotyczące życia rodzinnego, to ja nie udaję, że wiem wszystko na ten temat, tylko dzwonię do mojego rodu, czasem do rodziców, i pytam: „Słuchajcie, jak wy to czytacie? Jak to wam brzmi?”. Odpowiedzi są bardzo ciekawe: mój brat i szwagier odpisują jednym zdaniem, a od mojej siostry i bratowej najczęściej przychodzi elaborat. Ale ich intuicje są dla mnie bardzo ważne – często używam ich na ambonie, bo wiem, że to prawdziwe słowo o rodzinie. Sam nie mam rodziny, więc nie będę udawał, że wiem, co doradzić innym. Wolę posłuchać kogoś, kto żyje słowem Bożym na co dzień w rodzinie. Oczywiście jako dominikanin nie rezygnuję przecież całkiem z siebie na kazaniu, więc dopowiem też coś od siebie.

Dawid: Dobrze jest razem czytać Słowo, nawet jeśli robimy to przez Internet, bo nie ma innej opcji.

Grzegorz: Zgadza się, bo gdy podczas pandemii w 2020 roku organizowaliśmy takie dzielenie Słowem, to choć nie było to spotkanie twarzą w twarz – które zawsze jest lepsze – miało ono dobre skutki.

Dawid: Inspirując się praktyką naszych klasztorów, w których bracia umawiają się na przykład w piątek na 20:00, można

zaplanować sobie stały punkt tygodnia przeznaczony na dzielenie słowem Bożym. Albo czytać je samemu od początku tygodnia, jak o. Jan Andrzej.

Grzegorz: Pomysłów jest wiele i są one równoważne w tym sensie, że każdy znajdzie coś, co mu bardziej odpowiada. Jeden woli wieczorem, drugi rano, ktoś na początku tygodnia, a ktoś inny po całym tygodniu pracy. Ważne jest, by pójść za samą chęcią czytania, a sposób dostosować do możliwości i własnych upodobań. Niektórzy może wolą czytać sami, a innych bardziej będzie budować wspólna lektura. Ja jestem ekstrawertykiem i dla mnie naturalna jest sytuacja, gdy mam obok więcej osób – lubię, gdy są inni ludzie, ale to nie musi być regułą.

Dawid: A co jako biblista myślisz o dylemacie: lepiej używać elektronicznej wersji Biblii czy drukowanej?

Grzegorz: Dla mnie medium jest drugorzędne, ja zajmuję się bardziej treścią. Obydwa rozwiązania mają „plusy dodatnie” i „plusy ujemne”. Natomiast wydaje mi się, że w używaniu wersji papierowej jest coś dostojnego, przenoszącego nas w sferę *sacrum*. W telefonie masz wszystko i czytając Pismo, tu klikniesz ikonkę Facebooka, tu przyjdzie wiadomość, tam kupisz bilet – mnie łatwiej modli się, używając wersji papierowej.

Dwa podejścia panują też w temacie kreślenia po Piśmie Świętym; jestem z tych, co nie boją się pisać i zaznaczać, bo to jest żywe Słowo.

Dawid: I ja lubię notatki! Ważne jest dla mnie to, że one zostają i potem mogę do nich wrócić. W ogóle poza notkami w Biblii mam też oddzielny zeszyt, gdzie spisuję swoje uwagi i spostrzeżenia. Bardzo potrzebuję tego zapisywania, stąd moje Pismo Święte jest podkreślone.

Gdy spotykam się z innymi na wspólnym czytaniu słowa Bożego, to myślę o tym jako o realnym czasie modlitwy. Dobrze więc i na takie spotkanie znaleźć w miarę cichą przestrzeń; można też zapalić świeczkę, by stworzyć klimat modlitewny, i wyłączyć telefony, by rzeczywiście dać się poprowadzić Słowu. Niektórzy też przed czytaniem słowa Bożego modlą się do Ducha Świętego, prosząc, żeby ich oświecił, poprowadził i pozwolił lepiej je zrozumieć.

Grzegorz: W temacie cichej przestrzeni na modlitwę przypominają mi się czasy pobytu w klasztorze w Krakowie, w którym kaplica braci ma dwa górne okna wychodzące na głośną ulicę Stolarską. Latem w kaplicy jest bardzo duszno, więc te okienka muszą być uchylone, a wtedy zgiełk ulicy wpada do środka. Pamiętam, jak pewnego dnia próbowałem się tam modlić i strasznie denerwował mnie ten hałas. Myślałem: „No nie mogę! Tu ma być cisza, a jest okropny gwar”. I wtedy przyszła mi do głowy myśl – sądzę, że od Ducha Świętego – która mnie uspokoiła. Wyobraziłem sobie, że przecież w podobnej sytuacji znajdowali się Żydzi na wygnaniu w Babilonie. Gdy próbowali szukać Boga, brali święte teksty i też zamykali się w swoich domach, mimo że z zewnątrz dochodził zgiełk miasta. Przez to poczucie wspólnoty z wygnańcami w Babilonie uspokoiłem się i nawet polubiłem ten

hałas dobiegający ze Stolarskiej. Myślałem sobie: „Teraz ja jestem z narodu wybranego i w tym gwarze szukam Boga”.

Jeżeli więc ktoś, próbując się modlić, nie jest w stanie pewnych rzeczy „wyłączyć”, to może poprosić Ducha Świętego o inspirację, jak tę przeszkodę pozytywnie wykorzystać. Pobożność połączona z wyobraźnią naprawdę może pomóc poradzić sobie z trudnościami, których nie da się łatwo przeskoczyć – podobnie jak nie dało się zlikwidować hałasu Krakowa. Co mogłem zrobić w tej sytuacji? Wybiec na ulicę i zacząć krzyczeć, by wszyscy byli cicho? To raczej mnie by zamknęli.

Dawid: Każdy więc musi znaleźć swoją drogę czytania Słowa – również pod kątem przygotowania do dzielenia. Bo znów istnieją dwie szkoły: jedni, zanim przyjdą na takie spotkanie, naczytają się wszystkich komentarzy, przeanalizują je i przemyślą na wszystkie strony, a inni przychodzą z tym, co w danej chwili przeżywają – wręcz chcą, by tekst ich zaskoczył, i dzielą się tym, co aktualnie przychodzi im do głowy. Co o tym sądzisz? Z jednej strony dobrze mieć *background* do czytania Słowa, ale z drugiej strony dzielenie nim to nie studium.

Grzegorz: Jestem za korzystaniem z komentarzy teologicznych, sam chętnie je czytam, ale robię to raczej po dzieleniu się Słowem. Kiedyś, jak zabierałem się do pisania pracy magisterskiej, mój promotor doradził mi, bym najpierw poczytał ten tekst i samemu próbował się z nim uporać, zderzyć, a dopiero potem sięgnął po komentarze – bo jeśli zacznę od czytania opracowań, one

zamkną moje myślenie, narzucają mi swoją interpretację. Od tamtego czasu przyjmuję taką kolejność czytania.

Jeśli chodzi o „naczytanie” się komentarzy i różnych publikacji, by mieć podstawę do rozumienia Słowa, to mnie osobiście pomogły nie tyle same komentarze, ile książki okółobiblijne, opowiadające o kulturze, historii, zwyczajach ludzi tamtych czasów. Dzięki takim lekturom można zrozumieć szczegóły dla nas nieintuicyjne – na przykład jak ten, dlaczego Jezus mówi w przypowieści o godzeniu się z przeciwnikiem: „Gdy idziesz do urzędu ze swym przeciwnikiem, staraj się w drodze dojść z nim do zgody, by cię nie pociągnął do sędziego; a sędzia przekazałby cię dozorczy, dozorca zaś wtrąciłby cię do więzienia. Powiadam ci, nie wyjdziesz stamtąd, póki nie oddasz ostatniego pieniążka” (Łk 12,58–59). Jak ktoś, będąc w więzieniu, może oddać ostatni grosz? Okazuje się, że choć w naszym myśleniu to absurdalne, w starożytności było to normą. W więzieniu przebywało się wtedy tylko nocą, a w ciągu dnia skazani normalnie szli do pracy. Po niej nie wracali do domu, nie mogli być z żoną i dziećmi, tylko trafiali do więzienia. Mogli zajmować się polem czy pracą zarobkową, ale wszystko, co zarobili, oddawali temu, u którego mieli dług. Jezus w przypowieści odwołuje się do tej praktyki, która ówczesnym była znana, a z biegiem czasu i reformą więziennictwa zanikła.

Komentarze teologiczne nam tego nie wyjaśniają, ale książki o kontekście historycznym i kulturowym – już tak. Zresztą, gdy przeczytam wcześniej opracowanie teologiczne tekstu, potem odnoszę wrażenie, że sam nie mam już nic do dodania, bo komentarz wszystko za mnie powiedział.

Dawid: U mnie to wygląda inaczej: to, co czytam, powoduje, że mam coraz więcej do powiedzenia. Myślę, że przy lekturze Pisma Świętego dobrze też sięgać po jego różne tłumaczenia – nie używać cały czas tego samego wydania, tylko sprawdzać, jak coś zostało wyrażone przez innych tłumaczy. Różne przekłady są oczywiście dostępne w Internecie*.

Przejdźmy teraz do praktyki, czyli przeczytajmy Ewangelię i podzielmy się nią. Proponuję, by był to fragment z trzeciego rozdziału Ewangelii według św. Marka**.

Grzegorz: Najpierw się pomódlmy.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Amen. Duchu Święty, prosimy Cię, byś przyszedł do nas i oświecił nas swoją łaską, żebyśmy w tym Słowie, z którym się spotykamy, widzieli Twoje działanie, prowadzenie. Daj nam usłyszeć i dojrzeć coś dla naszego życia, tak by było dla nas pomocą. Prosimy Cię o łaskę pamięci, byśmy wracali do tego Słowa, do tego, o czym będziemy czytać, by szczególnie w chwilach próby – jeśli taka jest Twoja wola – było dla nas pomocą. Amen.

Dawid: Z Ewangelii według świętego Marka.

Potem [Jezus] przyszedł [z uczniami swoimi] do domu, a tłum znów się zbierał, tak, że nawet posilić się nie mogli. Gdy to posłyszeli Jego

* Por. *Interaktywna Biblia online*: <https://www.biblia.info.pl/biblia.html>.

** Wybrany fragment Ewangelii to jedno z czytań niedzielnych z 9 czerwca 2024 roku – czyli z niedzieli, przed którą rozmówcy spotkali się, by nagrać podcast będący bazą treściową tego rozdziału – przyp. red.

bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: „Odszedł od zmysłów”.

Natomiast uczeni w Piśmie, którzy przyszli z Jerozolimy, mówili: „Ma Belzebuba i przez władcę złych duchów wyrzuca złe duchy”.

Wtedy przywołał ich do siebie i mówił im w przypowieściach: „Jak może szatan wyrzucać szatana? Jeśli jakieś królestwo wewnętrznie jest skłócone, takie królestwo nie może się ostać. I jeśli dom wewnętrznie jest skłócony, to taki dom nie będzie mógł się ostać. Jeśli więc szatan powstał przeciw sobie i wewnętrznie jest skłócony, to nie może się ostać, lecz koniec z nim. Nikt nie może wejść do domu mocarza i sprzęt mu zagrabić, jeśli mocarza wpierw nie zwiąże, i wtedy dom jego ograbi. Zaprawdę, powiadam wam: wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone. Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia, lecz winien jest grzechu wiecznego”. Mówili bowiem: „Ma ducha nieczystego”.

Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać. Właśnie tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu powiedzieli: „Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie”. Odpowiedział im: „Któż jest moją matką i [którzy] są braćmi?”. I spoglądając na siedzących dookoła Niego, rzekł: „Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten Mi jest bratem, siostrą i matką” (Mk 3,20–35).

[c h w i ł a c i s z y]

Dawid: Pierwszą rzeczą, która zwraca moją uwagę w tym fragmencie, jest element podziału. Widać tutaj, że szatan jest tym, który tego podziału naprawdę chce. Gdy myślę o moim życiu i byciu w zakonie, to mam głębokie przekonanie, że tam, gdzie brakuje jedności – uczciwej, braterskiej jedności – poddajemy się działaniom Złego. Nie umiem się jeszcze zmierzyć z tym, jak mógłbym tę jedność budować, bo widzę, że sam często zawalam, ale to Słowo budzi we mnie pragnienie jedności pomiędzy – tak to czytam w tym momencie – nami, braćmi.

Grzegorz: Mnie najpierw rzuca się w oczy błąd w tłumaczeniu. Zamiast: „Oto Twoja Matka i bracia na dworze...”, powinno być: „...na polu”. Pole, a nie dwór – wiadomo. Greka ładnie wybrnęła, bo tam jest po prostu έξω (wym. „ekso”), czyli „na zewnątrz”, ale tu mamy ewidentne potknięcie polskiego tłumacza.

Dawid: Mieszkańcy Warszawy się nie zgodzą – poprą cię ludzie z południa.

Grzegorz: A idąc dalej, widzę w tej Ewangelii próbę najścia Jezusa. Przychodzą do Niego z Jerozolimy uczeni w Piśmie i atakują Go: „Odszedł od zmysłów”, „Ma Belzebuba”. A Jezus i jednym, i drugim mówi, że grzeszą przeciwko Duchowi Świętemu – bo uważają, że On ma w sobie ducha nieczystego.

Myślę, że dla mnie ważne jest zauważanie tego momentu, w którym Jezus nazywa grzechem przeciwko Duchowi przypisywanie Bogu złych intencji: że jest On szalony, że odszedł od

zmysłów lub Jego działanie jest złe. Ten fragment przypomina mi czas, gdy byłem młodym chłopakiem – bodajże pod koniec podstawówki – i przeżywałem pierwszy poważny kryzys wiary. Doskonale znałem powtarzane za *Małym katechizmem* zdanie: „Pan Bóg jest sędzią, który za dobre wynagradza, a za złe karze”. To stwierdzenie było dla mnie trudne do przyjęcia, bo w szkole miałem kolegów, którzy nie byli najporządniejsi, ale się dobrze uczyli, więc na świadectwach mieli wzorowe zachowanie. Ja robiłem, co mogłem, ale nie miałem najwyższych ocen i czułem straszną niesprawiedliwość, że im wiele rzeczy idzie łatwo i uchodzi na sucho. Pamiętam taki dzień, gdy przeżywając tę niesprawiedliwą kumulację dobra, która nie należała się tamtym moim znajomym, szedłem sobie ulicą i pomyślałem: „Pan Bóg to jednak nie lubi przegranych. On lubi zwycięzców. W życiu więc trzeba być zwycięcą, bo gdy jesteś przegrany, Bóg cię nie lubi”.

Słowo, które rozważamy, przestrzega mnie przed próbą przypisywania Bogu złych intencji – myślenia, że On jest jakimś złośliwym nieobecny lub sprytnym manipulatorem, bo to wchodzenie na ścieżkę, na której trudno potem uwierzyć, że Bóg jest Zbawicielem. Lepiej się z Nim kłócić i szarpać niż bez walki stwierdzić: „Poradzę sobie, bo co Ty możesz, Boże? Popatrz, ile jest zła na świecie”. Pan Jezus mówi: „Nie wchodź na tę drogę. Kłóć się ze Mną, zmagaj!”. Pamiętam, że wtedy autentycznie tak myślałem o Bogu; poczułem zawód i zastanawiałem się, gdzie jest ten Bóg, który „za dobre wynagradza, a za złe karze”. To był mój pierwszy bunt młodzieżowy, który – patrząc z perspektywy czasu – stanowił początek zmagania się i szukania

Pana Boga. Dziś wiem, że to z Jego łaski było tamto wewnętrzne szarpanie się, ale wtedy naprawdę myślałem, że Pan Bóg nie lubi przegranych.

Dawid: Dla mnie trudne w tej Ewangelii jest to mocne stwierdzenie Jezusa, że Jego matką i braćmi są ci, którzy pełnią wolę Bożą. Jak On mógł się tak zwrócić do Maryi i swoich bliskich? Oczywiście rozumiem, że w tych słowach Bóg pokazuje, jak każdy z nas jest dla Niego ważny, ale mimo wszystko mam w głowie myśl: „Wiem, że chodzi o Kościół, nową rodzinę, ale Panie Jezu, ułóż to jednak w odpowiedniej hierarchii: najpierw masz Maryję, potem swoich kuzynów, a potem dopiero mnie małego”. Jest we mnie niezgoda na ten fragment.

Grzegorz: Trudno ci przyjąć, że Pan Bóg tak wysoko cię stawia?

Dawid: Tak albo raczej: że degraduje Maryję.

Grzegorz: Wiesz co, ja o tych słowach myślę w kontekście Zwiastowania. Maryja wtedy powiedziała: „Niech mi się stanie według Twego słowa” (Łk 1,38) i zgodziła się na wolę Bożą. Myślę, że gdy ona usłyszała te słowa, doskonale wiedziała, o co chodzi – że rzeczywiście spełnienie woli Bożej jest czymś, co tworzy więź z Bogiem, czyni z nas rodzinę z Jezusem. Ja tę scenę z Ewangelii Markowej wyobrażam sobie tak, że Maryja przybiega z tymi krewnymi, bo nie jest w stanie ich zatrzymać, a chce, by było dobrze – ale gdy słyszy te słowa, nie obraża się, nie próbuje interweniować,

tylko pokornie stoi. W sercu zaś przekonuje się, że misja, o której powiedział jej kiedyś anioł, rzeczywiście dała nowy początek nowym relacjom.

To jest w ogóle ciekawe, bo ja swoje „nawrócenie Maryjne” przeżyłem w Korbielowie u Matki Bożej Królowej Aniołów. Tam rzeczywiście zakochałem się w Maryi i ją zupełnie na nowo zrozumiałem. Zaczęło się od tego, że planowałem wygłosić rekolekcje o Maryi, które nosiły tytuł *Czy Maryja miała warkocz?* i miały być opowieścią o jej zwykłości, czyli coś w kluczu: „Przestańmy robić z niej taką królową. Oczywiście jest wyjątkowa, ale też nie zapominajmy o jej ludzkiej stronie”. Przygotowując się do tych rekolekcji, sięgnąłem po książkę Branta Pitre’a *Jezus i żydowskie korzenie Maryi*. Zaczynałem czytać ją, by zdobyć materiały na konferencje, a kończyłem już na kolanach w kaplicy (taki dominikański typ nawrócenia przez rozum i lekturę). Właśnie wtedy zrozumiałem, co znaczy, że Maryja była normalna, ale przez to niezwykła. Jej zwyczajność tak mnie ujęła, że uświadomiłem sobie, jak wcześniej byłem naiwny. I wygłosiłem rekolekcje pod tym samym tytułem, ale zupełnie inaczej zachwycając się tym warkoczem, który jest symbolem jej normalnego życia całkowicie przesiąkniętego Bogiem.

Wracając do Ewangelii – myślę, że ona też biegła do tego domu, gdzie był Jezus, ale biegła z ufnością, że On sobie z tym poradzi. Ona widziała ten nowy porządek, rozumiała go, choć jeszcze nikt poza nią tego nie dostrzegał. Dzięki temu wytrwała pod krzyżem – tam, gdzie wszyscy inni patrzą i gorszą się, ona stoi i kiwa głową, mówiąc: „Amen. Fiat”.

Dawid: Panie Boże, dziękujemy Ci za to, że mogliśmy stanąć przed Twoim Słowem i się nim podzielić. Bądź uwielbiony w naszych myślach, słowach i czynach. Bo Ty żyjesz i królujesz przez wszystkie wieki wieków. Amen.

GRZEGORZ KURAŚ OP – dominikanin, rekolekcjonista, duszpasterz. Od 2022 roku mieszka w Lublinie i studiuje w Instytucie Nauk Biblijnych KUL. Interesuje się Biblią, językami obcymi oraz turystyką górską.

CZĘŚĆ II

MORALE

8. WIARA I MAGIA

Z RADOŚLAWEM BRONÍKIEM OP
O ZABOBONACH, POPKULTURZE I ŻYWEJ WIERZE

Dawid Kołodziejczyk OP: Kto z nas nigdy nie przeczytał horoskopu, nie powróżył z kart albo nie lał wosku w andrzejkowy wieczór? Kto nigdy nie obejrzał żadnego filmu lub bajki, w których tajemne magiczne moce były atrybutami głównych bohaterów? Niby nic wielkiego, bo są bardziej niebezpieczne okultystyczne praktyki, ale Kościół wyraźnie przestrzega ludzi wierzących przed wszystkim, co ma jakiegokolwiek konotacje z magicznymi siłami. Stąd może zacząć od pytania o to, czym jest wiara, a czym magia. Jak je rozróżnić?

Radosław Broniek OP: To zależy, jak pojmujemy wiarę. Wiara – rozumiana jako cnota teologalna – to łaska, którą dostajemy od Pana Boga na chrzcie świętym. Jest ona darem. Odwołajmy się tutaj do pięknego dialogu w rycie chrztu, gdzie pojawia się pytanie: „O co prosicie Kościół Boży?”. Zazwyczaj pada odpowiedź (wśród kilku innych możliwych): „O chrzest”, ale istnieje też opcja – a w starym rycie tylko ona była możliwa – „O wiarę”. Bóg na chrzcie daje łaskę wiary, o którą człowiek Go prosi. Wiara uzdalnia nas do budowania relacji z Nim, bo jesteśmy w Niego

wszczepieni. Wiemy też, że wiara jest również decyzją – postawą, która nas kieruje ku Bogu (czasem oczywiście możemy się zgubić lub ją wypaczyć). W wierze zwracamy się ku Niemu, poddajemy się Mu i prosimy o różne rzeczy. Trochę podobnie jest w magii, w tym sensie, że tu również potrzeba jakiegoś rodzaju wiary (ale nie teologalnej!), aby zwrócić się do tajemnych sił czy demonów – w zależności od tego, z jakim rodzajem magii mamy do czynienia.

Czy dostrzegasz magię w dzisiejszej popkulturze? Bo chyba jednak trochę odchodzimy od łączenia magii z jakimiś afrykańskimi magami...

Afrykańscy magowie cały czas istnieją.

Ale czy w kulturze masowej magia zanika czy jest mocno obecna?

Zanim odpowiem na twoje pytanie, zauważmy najpierw, że magia nie zanika w świecie współczesnym. Choć mówi się dziś o sekularyzacji, o tym, że religia jest w odwrocie, to socjologowie niuansują opis tego zjawiska, ukazując, że na przykład w Europie Zachodniej zanika chrześcijaństwo, ale pojawiają się nowe formy religijne, będące często nawiązaniem do pogańskich wierzeń. Gdy zaś popatrzymy na religie na innych kontynentach, to widzimy, że mają się bardzo dobrze, szybko się rozwijają. I nieco podobna jest sytuacja z magią. Ktoś by powiedział, że skoro świat staje się coraz bardziej nowoczesny i stechnicyzowany, to takie

przesady jak magia czy wiara w różne siły przestają mieć znaczenie – otóż nie! Na przykład włoski badacz Massimo Introvigne mówi o powrocie magii do świata kultury zachodniej – jest ona obecna, tylko w nowych formach. Dawniej magia była raczej praktykowana indywidualnie, a dziś mamy nowe ruchy religijne i ruchy magiczne.

Także gdy patrzymy na popkulturę, widzimy, że magia rzeczywiście jest w niej silnie obecna. Stanowi ona dobry nośnik dla treści z obszaru ezoteryzmu. Powstaje sporo produkcji np. filmowych czy różnego rodzaju gier, które odwołują się do magii, okultyzmu, wróżbiarstwa. Bardzo popularne są strony i aplikacje związane z astrologią, co szczególnie dostrzegalne było podczas pandemii, gdy ludzie właśnie w ten sposób szukali wyjaśnienia tego, co się działo. Magia więc wraca i na pewno jest obecna zarówno w kulturze, jak i w popkulturze.

Czy magia koliduje z wiarą? A jeśli tak, to dlaczego?

Na pewno koliduje z religią. Oczywiście trzeba dodać, że niektórzy naukowcy, antropolodzy czy etnologowie nie widzą różnicy między religią a magią. Jednak z perspektywy teologicznej ta różnica jest fundamentalna. Możemy mieć do czynienia z sytuacją, w której magia wkracza w przestrzeń religii, wiary, i w tym widziałbym pewne niebezpieczeństwo. Chcąc żyć z Panem Jezusem, nieświadomie możemy czasem podchodzić do wiary w sposób magiczny, zabobonny – na przykład skupiając się tylko na jej zewnętrznym wymiarze, na jakichś „rytuałach” typu odmówienie modlitwy,

zapominając, co stanowi jej istotę. A tym, co najważniejsze, jest relacja z Panem Bogiem i życie w łasce. I tutaj upatrywałbym szczególnie tę kolizję, o którą pytasz. Magia, a ściślej: myślenie magiczne może wkroczyć do religii, do naszej wiary i ją wypaczyć.

Zauważyłem, że przesunąłeś pojęcia w moim pytaniu – z wiary nakierowałeś mnie na religię. Czy to oznacza, że właśnie religię powinno zestawiać się z magią, a nie wiarę?

To zależy, jak na ten problem popatrzymy. Najpierw warto przypomnieć różnicę między religią a magią. W religii poddajemy się Bogu, w magii manipulujemy różnymi siłami. Mag ostatecznie zawsze chce wpływać na całość świata, w tym też nawet na Boga. To dążenie dobrze oddają słowa słynnego protoplasty wszystkich współczesnych okultystów Aleistera Crowley’ a, który mówił: „Czyni swoją Wolę, niech to będzie całym Prawem”. Chodziło mu o wolę pisaną przez duże „W”, która nie chce być niczym ograniczana. Jeśli natomiast chodzi o wiarę, to musimy zadać pytanie, o jakiej wierze myślimy – bo w magii, jak wcześniej wspomniałem, też mamy pewną postać wiary. Jeżeli ktoś praktykuje jakieś rytuały i odwołuje się do konkretnych sił, jest to rodzaj wiary. W chrześcijaństwie zaś, zwłaszcza w teologii katolickiej, mówimy o wierze najpierw jako o pewnej cnocie teologalnej, którą – jak powiedzieliśmy – otrzymujemy na chrzcie świętym. Zestawiając religię z magią, trzeba podkreślić istotną różnicę pomiędzy nimi; polega ona na dwóch kwestiach. Po pierwsze, na sposobie zwracania się ku przedmiotowi wiary. W religii jest ufna prośba,

w magii natomiast rozkaz, wyrażający się często poprzez jakiś obrzęd (choć nie zawsze). Po drugie, w religii (mam tutaj na myśli szczególnie chrześcijaństwo) wiara kieruje nas ku Bogu, który istnieje. W magii zaś zwracamy się do jakichś nieosobowych sił, które nie wiemy, czy w ogóle istnieją – a niekiedy czarownik zwraca się wprost do złych duchów. W tej ostatniej sytuacji najlepiej chyba widać tę różnicę.

Powiedziałeś, że mag próbuje użyć siły wyższej do uzyskania jakiegoś celu. A czy z chrześcijańską modlitwą o cuda lub z sakramentami nie jest podobnie? Myślę, że ktoś obserwujący z boku katolickie liturgie mógłby powiedzieć, że to są jakieś magiczne działania.

Niektórzy rzeczywiście tak mówią, patrząc zupełnie z zewnątrz. Dla nich nie ma różnicy między afrykańskim amuletem a wodą z Lourdes. Ja jednak broniłbym tego rozróżnienia, które jest dostrzegalne dopiero, gdy uświadomimy sobie, że widzimy to, co na zewnątrz, a nie wiemy, jak (w jaki sposób) i do kogo ktoś się zwraca. Dostrzegamy sam efekt lub wykonywane czynności, ale żeby zrozumieć, potrzebujemy perspektywy wewnętrznej. Chrześcijanin kieruje się do Pana Boga, czyli konkretnej Osoby, a nie do tajemnych sił czy jakichś demonów. My wiemy, kim jest Pan Bóg, i to do Niego się zwracamy, prosząc Go z ufnością i wierząc w Jego dobroć.

W tym kontekście ważne jest też zagadnienie skuteczności takiej modlitwy. Mag powiedziałby: „Jeśli rytuał zostanie

wykonany odpowiednio, czyli według określonych instrukcji, to niezależnie, w jakim stanie duchowym jestem, powinien dać on określony efekt”. W naszej wierze jest trochę inaczej – panuje mądra zasada *ex opere operato* (łac. „przez sam fakt spełnienia czynności”, „mocą samego aktu”), która wyraża wiarę w to, że sakramenty działają same w sobie. To znaczy, że jeśli przychodzę do kościoła, jest tam ważnie wyświęcony i nieposiadający żadnych kar kościelnych ksiądz, odprawia on mszę świętą tak, jak trzeba, to – mocą samego aktu sprawowania świętych czynności – chleb i wino stają się Ciałem i Krwią Pana Jezusa. Zatem w przypadku sakramentów rytuał (i towarzysząca mu modlitwa) są zawsze skuteczne.

Ale czy mimo wszystko te dwa rytuały nie są podobne? I tu, i tu przecież wykonuje się gesty i wypowiada konkretne słowa.

W tym sensie istnieje pewne podobieństwo – jak powiedzieliśmy – zewnętrzne. Mamy kapłana i jakiegoś maga, mamy też gest, słowo i odwołanie się do pewnej siły, jednak różnica polega na tym, że mag czy czarodziej apeluje do jakichś nieznanych sił, demonów lub bóstw, i wierzy, że sprawią one określony skutek. My w chrześcijaństwie odwołujemy się konkretnie do Pana Boga, którego sposób działania jest nam znany. Co więcej, Pan Bóg przez Kościół ustanawia sakramenty jako znaki Jego łaski i my wiemy, że pochodzą one od Niego. Natomiast w przypadku praktyk magicznych znaki, gesty, symbole często są tworzone przez samego maga; nie wiemy, czy (ani jak) one działają.

Przy tej okazji warto dopowiedzieć jeszcze jedną ważną rzecz: w chrześcijaństwie, gdy sprawujemy sakramenty, zgodnie ze wspomnianą zasadą *ex opere operato* one zawsze działają, czyli są skuteczne, ale – co istotne – nie zawsze są owocne dla człowieka, ponieważ człowiek musi być zdolny, żeby przyjąć łaskę. I to jest kluczowe. Czarownik by powiedział: „Niezależnie od czyjejś dyspozycji wewnętrznej wykonanie pewnego rytuału przyniesie określony skutek w jego życiu”, natomiast chrześcijanin powie: „Podczas sprawowania sakramentu rzeczywiście chleb i wino stają się Ciałem i Krwią Pana Jezusa, ale żeby mnie to przemieniło, żebym przyjął tę łaskę, muszę mieć relację z Panem Bogiem – wtedy pojawi się owoc”. Potrzeba odpowiedniej dyspozycji wewnętrznej człowieka, aby przyjąć łaskę Bożą.

Myślę, że jednak są ludzie, którzy chrześcijaństwo traktują w sposób magiczny. Woda z Lourdes, wino z Gidel, różne oleje i maści od świętych... a wszystko po to, by ktoś wyzdrowiał.

Może tak się zdarzyć, że czasami nasza wiara staje się zabobonna, tzn. zaczyna przypominać myślenie magiczne. Katechizm tłumaczy jasno, czym jest zabobon:

Zabobon jest wypaczeniem postawy religijnej oraz praktyk, jakie ona nakłada. Może on także dotyczyć kultu, który oddajemy prawdziwemu Bogu, na przykład, gdy przypisuje się jakieś magiczne znaczenie pewnym praktykom, nawet uprawnionym lub koniecznym. Popaść w zabobon oznacza wiązać skuteczność modlitw lub znaków

sakramentalnych jedynie z ich wymiarem materialnym, z pominięciem dyspozycji wewnętrznych, jakich one wymagają (KKK 2111).

Przykładem myślenia magicznego będzie sytuacja, gdy ktoś nie ma relacji z Panem Bogiem, nie żyje w łasce uświęcającej, ale uważa, że jeśli zawiesi sobie jakiś święty przedmiot lub obrazek w domu, to na pewno ochroni go to od zła lub przyniesie mu zdrowie. Podobnie jest z odmawianiem jakiejś modlitwy wiele razy jako gwarancji zbawienia. Nie na tym polega wiara. Oczywiście modlitwa sama w sobie jest ważna, ale nie powoduje ona z automatu określonych skutków. Istotne w niej jest poddanie się Bogu, budowanie z Nim relacji przez ufność, że będzie działał i prowadził mnie do zbawienia.

Pracujesz na co dzień w Dominikańskim Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach. Jakie są twoje duszpasterskie doświadczenia związane z ludzką fascynacją magią? Często spotykasz takie osoby?

Na pewno nie codziennie, ale jednak spotykam. Problem fascynacji ezoteryką faktycznie istnieje. Po 1989 roku nastąpił wykwit neoszamanów i bioenergoterapeutów; wtedy to był modny, nośny temat. Potem pojawiło się pojęcie zagrożeń duchowych i ci, którzy o tym mówili, zaczęli ich intensywnie szukać – patrzyli i oceniali, jaka bajka, zabawka czy praktyka ma znamiona okultyzmu, który wiązano wówczas (i dalej się go wiąże) z działaniem złego ducha. Dziś ludzie wchodzi w tego typu praktyki,

a szkodliwość zależy od tego, jak głęboko się zaangażują. Znam przypadki, kiedy ktoś tylko przeczytał horoskop, nie do końca będąc świadomym, czym on jest, i nic wielkiego się wtedy nie stało. To raczej niegroźne, choć na pewno sprzeczne z wiarą i należy tego unikać – tym bardziej że nierzadko grzech zaczyna się niewinnie. Ale są też przypadki, kiedy ktoś świadomie praktykuje jakiś rodzaj magii albo wiązuje się z grupą o charakterze magicznym – to już dużo poważniejsze sytuacje i taki człowiek często potrzebuje czasu i pomocy, żeby do Pana Boga wrócić.

Korci mnie, by zapytać wprost: czy myślisz, że magia działa?

To jest bardzo ciekawe pytanie i wiele osób o to pyta. Nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Interesujące jest, że Kościół w swoim nauczaniu nie wypowiada się na ten temat, jakby chciał doradzić, że ciekawość dotycząca tego, czy magia lub przekleństwo działa, czy nie, powinna zostać zawieszona. Z drugiej strony Kościół od samego początku – zarówno w Piśmie Świętym, jak i w tradycji ojców Kościoła czy w nauczaniu Magisterium – jednoznacznie przestrzega przed uprawianiem magii, okultyzmu, czarów i tego typu praktyk, postrzegając je jako działania bałwochwalcze. Katechizm wyraźnie mówi o tym, że albo powierzamy się Bogu, albo zwracamy się do jakichś sił, które ubóstwiamy – i to jest bałwochwalstwo (por. KKK 2112–2113*).

* Katechizm podaje: „Pierwsze przykazanie potępia *politeizm*. Domaga się od człowieka, by nie wierzył w innych bogów poza Bogiem i nie oddawał czci innym bóstwom poza Jedynym Bogiem. Pismo święte nieustannie przypomina o odrzuceniu «bożków ze srebra i złota, uczynionych rękami ludzkimi», które «mają

Wydaje się, że nauka również nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Może nie potrafi jej dać, bo trudno jest zbadać narzędziami naukowymi, czy jakiś rytuał powoduje określony skutek. Mamy natomiast wiele ciekawych danych antropologicznych, chociażby z Afryki, które naprawdę dają dużo do myślenia, a przy tym sugerują, że czary – pod pewnymi warunkami – mogą działać.

W mojej książce *Magia. Pomiędzy zabobonem a zagrożeniem duchowym** wspominam o tym, że istnieją trzy podejścia do tematu możliwego wyjaśnienia skuteczności rytów magicznych. Pierwsza hipoteza – „naturalistyczna” – nazywa magię działania mi jakichś sił natury. Niektórzy mówią, że istnieją pewne siły psychiczne – ale skoro nie są one osobowe, to powstaje pytanie, jak się z nimi komunikować. Druga to hipoteza oszustwa. Mamy udokumentowaną pewną liczbę przypadków, które były sfingowane. W XIX wieku w Stanach Zjednoczonych działały słynne siostry Fox, które twierdziły, że komunikują się ze zmarłym

usta, ale nie mówią; oczy mają, ale nie widzą...». Te czcze bożki czynią człowieka pustym: «Do nich są podobni ci, którzy je robią, i każdy, który im ufa» (Ps 115,4–5.8). Bóg natomiast jest «Bogiem żywym» (Joz 3,10; Ps 42,3 i in.), który daje życie i działa w historii.

Bałwochwalstwo nie dotyczy tylko fałszywych kultów pogańskich. Pozostaje stałą pokusą wiary. Polega na ubóstwianiu tego, co nie jest Bogiem. Ma ono miejsce wtedy, gdy człowiek czci i wielbi stworzenie zamiast Boga, bez względu na to, czy chodzi o innych bogów czy o demony (na przykład satanizm), o władzę, przyjemność, rasę, przodków, państwo, pieniądze itd. «Nie możecie służyć Bogu i Mamonie» – mówi Jezus (Mt 6,24). Wielu męczenników poniosło śmierć za to, że nie oddawało czci «Bestii», odmawiając nawet udawania kultu. Bałwochwalstwo odrzuca jedyne panowanie Boga; jest nie do pogodzenia z Boską komunią» (KKK 2112–2113).

* Por. R. Broniek OP, *Magia. Pomiędzy zabobonem a zagrożeniem duchowym*, Poznań 2024.

duchem. Odprawiały „spotkania” przy stoliku, podczas których stukwały, a duch im odpowiadał. W końcu jednak przyznały, że to było oszustwo. Istnieje iluzjonizm czy prestidigitatorstwo, polegające na zręcznym chowaniu rzeczy czy wyciąganiu królika z kapelusza. W tym także jest jakiś fałsz. Mamy wreszcie też trzecią hipotezę, która jest mi najbliższa, chociaż nie mam na nią dowodu. Nie pozostaje ona w sprzeczności z tym, co mówi teologia i tradycja chrześcijańska – w tym ojcowie Kościoła, tacy jak św. Augustyn czy św. Tomasz z Akwinu. Według niej, jeśli magia działa, to być może dzieje się to za sprawą demonów, które w tych praktykach magicznych mogą uczestniczyć. Św. Tomasz z Akwinu, charakteryzując magię, twierdził, że jest to dawanie znaków demonom i otrzymywanie od nich odpowiedzi, a największe zło magii upatrywał w tym, że człowiek, zwracając się do demonów, wchodzi z nimi w swoiste przymierze, brata się z nimi.

Co mógłbyś powiedzieć o czarnej i białej magii?

Różnie definiuje się te pojęcia, choć z perspektywy teologicznej ta różnica jest nieco dyskusyjna. O magii białej mówi się czasem „magia naturalna” i często przedstawia się ją jako taką jej odmianę, którą praktykujący ją nazywają „dobrą”, ponieważ służy ona człowiekowi (przykładem na to mogą być np. znane w Polsce szeptuchy). Od razu jednak powstaje pytanie: jak działa biała magia? Do jakich sił się odwołuje? Jeśli Pan Bóg nie ustanowił takich praktyk i Kościół nic na ich temat nie mówi, to powstaje tu duży znak zapytania, czy to w ogóle działa. Co ważne, według

przywołanego już Katechizmu Kościoła katolickiego takie praktyki są zakazane wierzącym – nawet wtedy, kiedy ich celem jest zdrowie człowieka – ponieważ, choć może przyświeca temu dobry cel, biała magia zawsze jest manipulacją jakimiś siłami, czyli odwróceniem się od Pana Boga.

Natomiast czarna magia to magia niszczycielska, której celem jest zły efekt i zniszczenie; odwołuje się ona często wprost do demonów. Podam przykład: istniała kiedyś firma, która za pieniądze oferowała rzucenie na kogoś klątwy. Jeśli ktoś miał problem z jakimś człowiekiem, po prostu zamawiał taką klątwę za kilkaset złotych, a po uiszczeniu opłaty klątwa była rzucana. W czarnej magii zły jest zarówno cel, jak i środek.

W Piśmie Świętym również czytamy o magii. W Starym Testamencie mamy na przykład Saula wywołującego ducha Samuela u jakiejś wróżbitki (której zresztą jako król zakazał wróżyć w swoim królestwie). Jak patrzysz na Biblię pod tym kątem?

W Piśmie Świętym rzeczywiście jest wiele fragmentów nawiązujących do magii, ale trzeba popatrzeć na ten temat całościowo. W Starym Testamencie, szczególnie w Pięcioksięgu, wiele czytamy o tym, że magia jest zakazana. Możemy tutaj przywołać sporo fragmentów, np. z Księgi Kapłańskiej: „Nie będziecie uprawiać wróżbiarstwa. Nie będziecie uprawiać czarów [...] Nie będziecie się zwracać do wywołujących duchy ani do wróżbitów. Nie będziecie zasięgać ich rady, aby nie splugawić się przez nich. Ja jestem Pan, Bóg wasz!” (Kpł 19,26.31). W Biblii Hebrajskiej

mocno wybrzmiewa to, że tego rodzaju praktyki są przejawami bałwochwalstwa. Podobnie w Nowym Testamencie – w listach Pawła i w Apokalipsie – praktyki magiczne są przedstawione jako coś złego. Przykładowo w Apokalipsie św. Jana czary są piętnowane i zestawiane obok tak ciężkich grzechów jak zabójstwo, nierząd i kradzież (zob. Ap 22,15; 21,8). Ciekawe fragmenty znajdziemy też w Dziejach Apostolskich – choćby opowieść o Szymonie Magu (por. Dz 8,9–24), który miał wielką siłę, jednak w spotkaniu z głosicielami Ewangelii był bez szans, bo moc Ewangelii jest większa. Podobne przesłanie słyszymy w Starym Testamencie, gdy Mojżesz spotkał się u faraona z czarownikami egipskimi (por. Wj 7,6–13). Nie wiemy, czy robili sztuczki, czy naprawdę potrafili zamieniać laski w węże, ale ostatecznie to, co czynił Mojżesz, okazało się silniejsze – moc Boga była większa. Pismo Święte jednym głosem mówi, że magia jest czymś złym i zakazanym, bo po prostu sprzeciwia się wierze w Pana Boga.

Współcześnie w popkulturze wiele jest praktyk ezoterycznych, wróżbiarstwa czy horoskopów. Jak osoba wierząca powinna się wobec nich zachowywać? Kategorycznie unikać? I dlaczego?

Okultyzm jako wiedza tajemna ma różne dziedziny: magię, medycynę okultystyczną, różne odmiany wróżenia, ale też astrologię czy właśnie horoskopy. Wobec tego typu praktyk nauczanie Kościoła i katechizm są bardzo konkretne – mamy ich zdecydowanie unikać! Na czym polega astrologia? Czym są horoskopy?

Wynikają z chęci poznania przyszłości bez odwołania się do Pana Boga, tylko przez zestawienia dat czy jakichś liczb. Tak naprawdę więc wszystkie odmiany wróżbiarstwa są pewnego rodzaju determinizmem. Astrologia zakłada, że wszystko jest już ustalone, zapisane i jedynie należy to odczytać. A my – chrześcijanie – wierzymy, że człowiek ma jednak wolną wolę, że to my kształtujemy teraźniejszość i przyszłość przez podejmowanie decyzji. Ostatecznie astrologia jawi się jako coś sprzecznego z zaufaniem Bożej Opatrzności. Co więcej, tego rodzaju sztuka odczytywania losu człowieka z gwiazd jest tak naprawdę postacią wiary – wierząc bowiem w gwiazdy, przestajemy wierzyć Bogu.

Jeśli dobrze pamiętam wykłady na studiach teologicznych, to Pan Bóg jest wieczny, a aniołowie są wiekuiści, co oznacza, że nie podlegają czasowi. Pan Bóg zna przyszłość i nasze wybory, ponieważ obejmuje cały czas. Podobnie jest z aniołami, prawda? Skoro więc magia to wchodzenie w kontakty z demonami – upadłymi duchami, które żyją w wiekiowości i teoretycznie mogą znać przyszłość – to i bez teorii deterministycznych można obronić nakaz unikania okultyzmu.

Przed wszystkim – jakby powiedział św. Tomasz z Akwinu – złem (grzechem) jest wchodzenie z demonami w jakikolwiek kontakt, przymierze, bo to nas odwraca od Pana Boga. Natomiast teologia nie wypowiada się jednoznacznie co do tego, czy one znają przyszłość, czy nie. Poza tym szatan może człowieka zwodzić, okłamywać. Zły duch ma na pewno większą wiedzę od

człowieka, ale zdobywa ją na podstawie tego, co robimy. On doskonale potrafi wyluskiwać, interpretować i przewidywać pewne rzeczy. Złem przede wszystkim jest to, że – podkreślmy raz jeszcze – w różnego rodzaju praktykach okultystycznych nie zwracamy się ku Bogu, tylko w inną stronę: w tym przypadku ku złym duchom.

Są osoby, które wykorzystują złego ducha do osiągnięcia swoich celów, np. medycznych, a potem zwracają się do Pana Boga...

Cały czas trzeba przypominać sobie o tym, że jeśli wierzymy w Pana Jezusa, to chcemy budować z Nim relację, powierzać Mu całe swoje życie i też prosić Go w różnych sprawach. Mimo że wiemy, iż modlitwa nie działa automatycznie, to jeśli ufamy Panu Bogu, wierzymy, że się nami opiekuje i że nawet trudne momenty, które dopuszcza, służą naszemu dobru. Człowiek jednak nie zawsze to przyjmuje. Niekiedy, np. w chorobie szuka pomocy w każdym możliwym miejscu, trafiając choćby na coś, co moglibyśmy nazwać „medycyną okultystyczną”, czyli odwołującą się do jakichś tajemnych mocy czy energii. Przykładem na to może być praktyka reiki*. Niemniej chciałbym podkreślić jedno: nie każda odmiana magii musi być związana ze zwróceniem się wprost do złych duchów, ale tak czy inaczej

* Reiki to technika uzdrawiania wynaleziona w Japonii pod koniec XIX wieku przez Mikao Usui. Odwołuje się ona do „uniwersalnej energii życiowej”, do której uzyskuje się dostęp poprzez inicjację przez mistrza reiki.

jest to decyzja odwrócenia się od Boga. I to odwrócenie jest istotą grzechu okultyzmu – niezależnie od tego, w jakich konkretnie formach się przejawia. Można to odnieść do przypowieści o synu marnotrawnym, który zrywa więź z ojcem. Jego odejście jest tutaj największym grzechem, a to, co potem robi on w swoim życiu (przepuszcza majątek, prowadzi się niemoralnie), jest już konsekwencją tego odwrócenia się od kochającego ojca. Zatem to, czy zwracamy się do jakichś tajemnych sił, czy wprost do złych duchów, innych bogów (którzy przecież, jak wierzymy, nie istnieją) – to już rzecz wtórna, w tym sensie, że czymś podstawowym jest nasze bycie z Bogiem, kierowanie się ku Niemu. Jeśli tę relację zrywamy, to wszystko inne stanowi już konsekwencję tego wyboru. W życiu najważniejsze jest, by za wszelką cenę pielęgnować relację z Panem Bogiem jako kochającym Ojcem i to w Nim szukać pomocy.

Czy w Kościele katolickim aktualnie dyskutowane są jakieś tematy związane z magią?

Wydaje mi się, że magia nie jest obecnie mocno dyskutowana w Kościele, choć omawiane przez nas tematy z pewnością są żywe w świadomości niektórych wierzących – zwłaszcza tych, którzy się z tym osobiście zetknęli. To, co najważniejsze na temat magii, mówi zwięźle katechizm. Samo pojawienie się w katechizmie, w kontekście pierwszego przykazania Dekalogu, stwierdzenia o tym, że magia jest wypaczeniem relacji z Panem Bogiem – bo polega na oddawaniu czci nie Jemu, tylko innym siłom – oznacza,

że Kościół rozpoznaje w niej zagrożenie czegoś bardzo podstawowego (por. KKK 2112–2113).

Istnieje także bardzo dobry dokument biskupów toskańskich na temat magii* – lokalny dokument przetłumaczony na język polski. Kilkanaście lat temu w tamtym rejonie Włoch praktyki magiczne były nabrzmiałym problemem i dlatego biskupi postanowili napisać notę oceniającą te działania i przekazującą konkretne wskazówki wiernym.

Wydaje mi się, że obecnie tematy związane z magią nie są mocno dyskutowane przez teologów, którzy – jak wiemy – powinni zajmować się przede wszystkim Bogiem i nauczać autentycznej wiary Kościoła. Jednak na marginesie tej misji są oni także powołani do rozpoznawania tego, co tej wierze zagraża. Wskażmy na jeszcze jedno zjawisko. Współcześnie pojawia się na przykład istotny problem przededefiniowania pojęć z dziedziny duchowości, ezoteryzmu, który ma miejsce w popkulturze, sztuce, literaturze czy filmie. Kiedyś byłem w kinie na disneyowskim filmie *Diabolina* opowiadającym w baśniowej stylistyce o pewnej królowej. Według mnie ta produkcja pokazuje, jak popkultura rozkodowuje pewne pojęcia. W klasycznej bajce wiadomo, że istnieje dobro i zło, charakter postaci jest dość jednoznacznie określony, natomiast podczas oglądania tego filmu wciąż zadawałem sobie pytanie: „Czy ona (ta królowa) jest dobra czy zła?”. Magia zatem nie tylko wchodzi w przestrzeń popkulturową czy nawet w obszar wiary, ale także wpływa na nasze postrzeganie rzeczywistości

* Por. *Nota duszpasterska Konferencji Biskupów Toskanii na temat magii i demonologii*, [w:] A. Posacki, *Okultyzm, magia, demonologia*, Kraków 1998.

i rozumienie konkretnych pojęć, a co za tym idzie – określonych wartości. Tutaj widzę pewne zagrożenie, które może na nas czyhać, i dlatego warto być świadomym tego, czym jest religia, wiara, a czym magia, i dlaczego są one nie do pogodzenia, a także – jakie wartości za nimi stoją.

Czy mógłbyś podpowiedzieć rodzicom, jak rozmawiać ze swoimi dziećmi o symbolach magicznych w grach, bajkach, popkulturze?

Myszę, że istotne jest towarzyszenie dzieciom, rozmawianie z nimi i wyjaśnianie. Jeśli mamy jakąś książkę czy film, w którym pojawiają się wątki magiczne, to prawdopodobnie kategoryczny zakaz nie będzie najlepszym rozwiązaniem. Choć oczywiście zabronienie czegoś jest prawem rodziców i są takie przypadki, gdy trzeba to zrobić – szczególnie jeśli rodzic widzi, że występuje tam przemoc, gwałt czy zło. Natomiast wiadomo, że im dzieci są większe, tym trudniej jest je ochronić przed tym, co oglądają i czytają. Ważna wydaje się więc edukacja. Dobrze jest rozmawiać i pokazywać dzieciom, czym jest wiara, jak działają sakramenty, jaki system wartości jest związany z chrześcijaństwem i dopiero na tym tle ukazywać także, czym jest magia i dlaczego nie da się jej pogodzić z naszą wiarą.

Obecnie to już nieco przebrzmiały temat, ale swego czasu toczyły się niekończące polemiki na temat książek o Harrym Potterze – można czy nie można czytać? On jest zły czy dobry? Tego typu dzieła często podlegają dyskusji. Tutaj apeluję, aby podczas

takich rozmów używać argumentów, umieć uzasadnić swoje stanowisko. Określenie jakiegoś dzieła samą etykietą „zagrożeń duchowych” niewiele wyjaśnia.

Myszę, że wiele osób ma gdzieś w domu jakiś talizman, maskę, medalik, coś przywiezionego z zagranicy, co w swojej genezie odwołuje się do wierzeń magicznych. Czy takie przedmioty mogą na nas wpływać? Czy samo posiadanie tego jest czymś złym?

Sądzę, że tu nie ma konieczności rozwijania jakiejś wielkiej teorii doktrynalno-duchowej, tylko wystarczy pomyśleć o prostej analogii. Jeśli ktoś ogląda i nasycy się pornografią czy filmami, w których jest przemoc, to zwyczajnie to na niego wpływa. Tak samo, jeśli ktoś cały czas czyta lub ogląda produkcje z magią na pierwszym planie. Uważam jednak, że zawsze trzeba patrzeć na konkretny przypadek, bo ludzie są różni, inaczej się angażują i z wieloma rzeczami się stykają. Treści z filmów o takiej tematyce mogą po kimś spływać jak po kaczce, a na innego wpłyną mocniej. Oczywiście osobnym przypadkiem są dzieci, które nie mają jeszcze silnie wykształconego światopoglądu i mechanizmów obronnych – tu byłbym bardziej ostrożny.

Jeśli chodzi o talizmany, słoniki i amulety, to powiem tak: nikomu nie polecam przywożenia sobie na przykład maski, która w Afryce służyła do praktykowania czarnej magii, a tym bardziej wieszania jej nad stołem w jadalni. To moim zdaniem jest głupie i nieroztropne, nawet jeśli nie mamy pewności, czy dany przedmiot może nam jakoś zaszkodzić. W naszym ośrodku mamy taką praktykę, że jeśli

otrzymujemy od różnych osób magiczne przedmioty, to je święcimy. Można tak zrobić, a potem najlepiej je np. spalić lub zniszczyć w taki sposób, aby nikt inny nie miał już do nich dostępu.

Mamy stronić od magii, Kościół przed nią przestrzega, stąd nie warto wieszać sobie jakichś masek czy amuletów w domu – jeśli wierzę w Pana Jezusa, to zawieszę sobie krzyż. Warto być roztropnym. Z drugiej strony nie można też przesadzać, czyli jeżeli mamy jakąś ozdobę lub przedmiot, który ktoś nam podarował lub który kupiliśmy na wycieczce, to gdy święcimy mieszkanie, święcimy też ten przedmiot. Nie sądzę więc, żeby automatycznie wyrządził on nam jakąś krzywdę. Podkreślmy to mocno: dla nas istotny jest fakt, że należymy do Pana Jezusa. I tak jak mówił jeden z naszych braci, musimy zachować „mentalność zwycięzców”. Jeśli należymy do Tego, kto zwyciężył zło i szatana, kto jest Panem „wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych”, jeżeli naprawdę żyjemy w bliskości z Nim, w łasce uświęcającej, to nie powinniśmy się obawiać tego typu zjawisk. Nie możemy również popadać w skrajność lub panikować i przez to unikać wszystkich orientalnych restauracji czy jakichkolwiek filmów, gdzie choćby na moment pojawia się tematyka czarów, bo tam może czaić się zło. Natomiast bądźmy roztropni i gdy coś kupujemy, przyjmujemy, czytamy, starajmy się patrzeć, czym to jest i ku czemu nas to prowadzi.

I ostatnie pytanie: czym dla ciebie jest wiara?

Mówiąc najprościej, relacją z Panem Bogiem, który mnie stworzył i który mnie kocha. W związku z tym wiem, że o tę relację

i wiarę mam zabiegać. Przyjąłem chrzest, więc łaska wiary we mnie trwa, ale chcę też być roztropny i nie wchodzić w to, co wierze szkodzi, wykrzywia ją i zaburza, tylko szukać tego, co ją buduje.

RADOSŁAW BRONIEK OP – dominikanin, teolog, duszpa-
sterz, do 2023 roku dyrektor, a obecnie wicedyrektor Domini-
kańskiego Centrum Informacji o Sektach i Nowych Ruchach
Religijnych, wykładowca w Kolegium Filozoficzno-Teologicz-
nym Polskiej Prowincji Dominikanów w Krakowie.

Autor książek i artykułów poświęconych tematyce zagrożeń
duchowych, okultyzmu i sekt, m.in. *Duchowe bezdroża. Prze-
wodnik po wierze zmutowanej* oraz *Magia. Pomiędzy zabobonem
a zagrożeniem duchowym*.

9. CZY MEDYTACJI NALEŻY SIĘ BAĆ?

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Wiem, że pod względem strategicznym nie będzie to logiczne, ale na początku znów chciałbym odpowiedzieć na tytułowe pytanie – nie, medytacji nie należy się bać. Ale warto ją dobrze zrozumieć. Abyśmy mogli sobie dobrze poukładać wiedzę na jej temat, moje refleksje podzielę na części odpowiadające na konkretne pytania.

Skąd pochodzi medytacja? Wielu z nas kojarzy się ona ze wschodnimi, szczególnie buddyjskimi technikami modlitwy i rzeczywiście ta forma pojawia się w wielu religiach – zwłaszcza tych „starych”. Także w chrześcijaństwie, a zatem i katolicyzmie używamy tej techniki do modlitwy. I choć wielu uważa, że to dość nowy trend w naszej wierze, nieco nawiązujący do wschodnich technik wyciszania się, to okazuje się, że jest inaczej.

Medytacja została w chrześcijaństwie na nowo „odkryta” – jeśli w ogóle można tak powiedzieć – przez Johna Maina (1926–1982), który w 1954 roku pracował na Malajach i tam spotkał buddyjskiego mnicha. Dzięki niemu Main zafascynował się medytacją. W 1959 roku wstąpił do benedyktyńskiego opactwa Ealing w Londynie i zaczął studiować teologię, przyglądając się medytacji w kontekście chrześcijańskim. Co ciekawe, na początku jego przełożeni zabraniali mu medytować, ale on wszczął poszukiwania w historii Kościoła dla uzasadnienia swoich intuicji. I tym sposobem odkrył,

że w naszej wierze medytacja nie jest niczym nowym – praktykowali ją od pierwszych wieków ojcowie pustyni. Modlił się w ten sposób na przykład św. Jan Kasjan, żyjący w latach 360–435. John Main przez pewien czas był też w zakonie benedyktynów magistrem nowicjatu, czyli opiekunem nowo wstępujących braci. Jednym z jego uczniów był Laurence Freeman*, który do dziś jest zaangażowanym propagatorem medytacji chrześcijańskiej.

Jak widać, medytacja chrześcijańska ma swoje korzenie w początkach naszej wiary i wynika bezpośrednio z pytania o to, jak możemy spotkać się z Bogiem. Bo czym jest modlitwa? Co to znaczy „modlić się”? Pewnie wielu z nas pojawiają się w głowie hasła: msza, uwielbienie, czytanie Pisma Świętego, różaniec, spowiedź, spontaniczne wypowiadanie prośb itd. W naszej zachodniej kulturze modlitwa często kojarzy nam się z działaniami wymagającymi aktywności umysłowej. I choć to wszystko dobre i potrzebne praktyki, warto jednak uświadomić sobie, że to różne sposoby spotkania z Bogiem. Modlitwa zaś to – tylko i aż – wzniesienie ku Niemu naszego serca.

A może ktoś zapyta: jak wznieść serce do Boga? No właśnie – aby to zrobić, trzeba zrezygnować z kontrolowania wszystkiego umysłem, by stanąć przed Panem Bogiem w całkowitej prostocie. Medytacja jako jedna z form modlitwy odwołuje się do tej prawdy chrześcijańskiej, że ciało każdego i każdej z nas jest świątynią Ducha Świętego (por. 1 Kor 3,16). W modlitwie możemy więc po prostu zatrzymać się i być z Bogiem. Wydaje nam się czasem,

* Bardzo polecam książkę Laurence’a Freemana OSB pt. *Medytacja chrześcijańska. Twoja codzienna praktyka* (Tyniec 2011).

że podczas modlitwy powinniśmy ciągle coś mówić, opowiadać Bogu, co się u nas dzieje, jakie mamy potrzeby, albo Go uwielbiać. Tymczasem modlitwa to też moment spotkania, który wcale nie musi być gadaniem, tylko trwaniem przy Bogu. Nie potrzebuję słów: wystarczy zatrzymać się, uspokoić i nie poszukiwać niczego na zewnątrz – taka jest idea kontemplacji. Gdy skupiamy się tylko na tym, co dzieje się w naszej głowie, to umysł zwykle ucieka do tego, co przed nami, lub do tego, co za nami – planów na przyszłość lub przeszłości. Natomiast modlitwa serca, którą jest medytacja, to modlitwa teraźniejszością, skupienie się na tym, co tu i teraz, uważność na doświadczenie spotkania z Bogiem mieszkającym w moim sercu i na chwili, która właśnie trwa.

Jak modlić się medytacją? Zaczniemy od kwestii duchowych, potem przejdziemy do technicznych. Na początek dobrze uświadomić sobie, że podstawą tej formy modlitwy jest obecność. Jestem, a we mnie mieszka i modli się Duch Święty (por. Rz 8,26). Przez sam fakt bycia z Bogiem dokonuje się w nas modlitwa. Stąd kluczem do niej jest prostota – nie wymaga ona zarysowania w umyśle specjalnego konceptu ani wdrożenia jakichś założeń; potrzeba tylko stworzyć przestrzeń na takie nieskomplikowane spotkanie z Bogiem. Medytacja przypomina spotkanie dwojga kochających się osób, które potrafią być w tym samym miejscu i nie rozmawiać, a w tym cichym byciu obok odnajdywać coś ważnego dla ich relacji. Jeśli ktoś nie ma doświadczenia tak intymnych więzi, to niełatwo będzie mu wytrwać w milczeniu na modlitwie; medytacja będzie dla niego czymś trudnym i wymagającym.

Podstawą medytacji jest więc moja obecność i przekonanie, że Duch Święty modli się we mnie do Ojca – niczego więcej nie potrzeba. Co ciekawe, ta modlitwa wymaga wiele pokory. Dlaczego? Gdy modłę się w tradycyjny sposób, czyli proszę Boga o coś lub używam jakiejś formuły modlitwy, to trochę narzucam Panu Bogu, jak ma wyglądać nasze spotkanie. W medytacji zakładam, że On wie, czego mi potrzeba, czego chce we mnie dotknąć podczas tej modlitwy, czym mnie poruszyć, więc zostawiam Mu przestrzeń, a swoje pomysły odkładam na bok. Nierobienie niczego i pozwolenie Bogu, by On działał, wymaga pokory i zaufania.

Medytacja chrześcijańska tym różni się od innych podobnych jej medytacji, że pierwsza i najważniejsza jest w niej świadomość Bożej obecności. Jej celem nie będzie więc ani spotkanie ze sobą, ani doznanie jakiejś ekstazy, ani doświadczenie konkretnych stanów lub uczuć, ani też nawet samo wyciszenie. Chrześcijanin wchodzi w medytację, by spotkać Boga, który modli się w nim. Stąd oprócz uświadomienia sobie, że Bóg jest, warto też przed medytacją uporządkować swoje myśli, by nie wybiegały w przyszłość lub też nie cofały się do minionych wydarzeń, ale zatrzymały się na tym, co tu i teraz, delektowały się ciszą. Wejście w ciszę to też akceptacja i ufność, że nie potrzeba żadnych słów, bo Bóg nas poprowadzi i będzie wiedział, jak zaaranżować tę modlitwę.

Przechodząc płynnie do kwestii technicznych – aby odkryć ciszę, która jest w nas, najpierw trzeba zadbać o wyciszenie zewnętrzne, czyli znalezienie miejsca wolnego od hałasu czy innych bodźców, takich jak telewizor czy dzwoniący telefon. Im lepsze warunki zewnętrzne sobie stworzymy, tym łatwiej będzie nam

osiągnąć wewnętrzne wyciszenie – wiem to z własnego doświadczenia. Są ludzie, którzy potrafią medytować, gdy wokół nich jest huk i rozgardiasz, ale nie ma ich wielu – ja do nich na przykład nie należę i osobiście polecam raczej szukać cichej przestrzeni niż wystawiać się na podobne wyzwania.

Jak i kiedy stworzyć sobie taką przestrzeń? Jestem zwolennikiem medytowania o poranku, zanim dzień nabierze swojego rozpędu, a sprawy zaczną się mnożyć. Dzięki temu nie muszę uspokajać mojego umysłu lub podejmować wysiłku odkładania na bok kotłujących się myśli. Ale także niepóźny wieczór jest dobrą porą do medytacji. W ogóle ci, którzy na co dzień uczą innych tej formy, zalecają, by modlić się dwa razy dziennie – rano i wieczorem; pod pojęciem „wieczór” rozumieją zaś czas przed kolacją i ogarnianiem spraw przed snem, czyli koło godziny 18:00–19:00. Połączenie porannej i wieczornej medytacji z pewnością pomaga jeszcze bardziej zbliżyć się do Boga i przynosi wiele dobrych owoców w życiu. Mnie nie udaje się medytować dwa razy dziennie, a czasem i ten jeden raz „wypada” z powodu różnych okoliczności. Cieszę się jednak z tego, co mi się udaje – zachęcam, byś i ty modlił się tak, jak umiesz i możesz.

Jak długo medytować? Według mnie minimum, które należy sobie zarezerwować, to dwadzieścia minut; optymalnym czasem jest pół godziny. Jak to zrobić? Po uporządkowaniu zewnętrznego i wewnętrznego hałasu trzeba wejść w bezruch ciała – jego wyciszenie. Owo milczenie ciała to przede wszystkim nieaktywność fizyczna, która po prostu polega na przyjęciu jednej statycznej pozycji. Aby dobrze wyciszyć swoje ciało, kręgosłup musi być

wyprostowany. W postawie skulonej raczej nie wytrzymamy bez większych trudności wspomnianych trzydziestu minut – a chodzi o to, by ciało mogło być przez ten czas spokojne. Można usiąść na krześle, ławce lub podłodze; łóżka nie polecam, bo istnieje zbyt duże ryzyko wejścia w nabożeństwo do „świętej kimy”. Ważne, by pozycja była wygodna, niepowodująca napięć ciała, a co za tym idzie – dość naturalna, niepochłaniająca naszej energii. Ja praktykuję modlitwę na miękkiej macie i poduszce do jogi, które można kupić w prawie każdym większym sklepie ze sprzętem sportowym. Rozkładałam na podłodze matę, na niej poduszkę i siadałam w pozycji przypominającej klęczenie. Kręgosłup mam wyprostowany, a ręce położone na ziemi lub na nogach. Taka postawa pozwala mi się skoncentrować.

Gdy mamy już komfortową i dobrą do skupienia pozycję ciała, kolejnym krokiem jest wybranie jednej prostej formuły słownej, która poprowadzi nas w medytacji. Tym wezwaniem może być słowo z Pisma Świętego. Często używa się na przykład frazy: *Marana tha* (1 Kor 16,22), czyli „Przyjdź, Panie!”, i powtarza się ją w kółko, dostosowując te słowa do rytmu oddechu. Niektórzy modlą się też tak zwaną modlitwą Jezusową: „Panie Jezu, Synu Boga Żywego” (na wdechu), „zmiłuj się nade mną, grzesznikiem” (na wydechu). Oczywiście słów tych nie wypowiadamy głośno, tylko powtarzamy je w myślach, co ma nam pomóc wejść w medytację, ale też skupić się na Bożym słowie.

Kolejna kwestia: budzik. Dobrze ustawić sobie alarm na moment zakończenia modlitwy. Pozwala to uniknąć ciągłego zerkania na zegarek i rozpraszania się. Konieczność kontrolowania

czasu zakłóca modlitwę, lepiej więc po prostu ustawić sobie budzik i skupić się na spotkaniu z Bogiem. Pewnie, że prawdopodobnie pojawią się też inne rozpraszacze, szczególnie powracające myśli czy sprawy; wtedy lepiej nie walczyć z nimi, nie koncentrować się na ich odrzucaniu, tylko pozwolić im przepłynąć, a samemu wrócić do słowa Bożego. Im bardziej walczymy z myślami, tym silniej się narzucają – a jeśli kierujemy się ku słowu Bożemu i je powtarzamy, myśli same będą odchodzić. Oczywiście trzeba też pamiętać, że uczenie się medytacji jest procesem: trudnym i wymagającym zaangażowania, więc potrzeba z naszej strony cierpliwości i wierności.

Co nam daje medytacja? Po pierwsze, dzięki niej – co już padło, ale chcę to podkreślić raz jeszcze – możemy spotkać Boga. W Księdze Wyjścia czytamy, że Bóg przedstawił się Mojżeszowi imieniem „Jestem, który jestem” (por. Wj 3,14), czyli: „Jestem, który jestem obecny tu i teraz”. To wchodzenie w teraźniejszość w świadomości bliskości Boga uczy nas uważności, a co za tym idzie – też zafascynowania się życiem, chwilą obecną. Ponadto uczy nas przyjmować słowo Boże jako aktualne i żywe w nas, a także stawać wobec Boga w pokorze, bez oczekiwań, bez narzucania Mu niczego, zalewania Go potokiem słów czy negocjowania. W medytacji możemy doświadczyć, że Duch Święty modli się w nas, a nasze ciało naprawdę jest Jego świątynią. Jednym słowem – medytacja to szansa na realne spotkanie z Bogiem, uniesienie do Niego swego serca.

Medytacja przynosi też oczywiście inne niż tylko duchowe korzyści; ta praktyka na przykład pozytywnie wpływa na pracę

naszych struktur mózgowych. Jak widać, modlitwa dobrze działa nie tylko na naszego ducha, ale i ciało oraz psychikę – w medytacji te trzy elementy naszego człowieczeństwa są aktywne i współpracują ze sobą. Co więcej, dzięki tej formie spotkania z Bogiem uczymy się też cierpliwości. Medytując od lat, widzę, że na co dzień staję się spokojniejszy, mniej agresywny, a tym samym mam w sobie więcej dobroci dla innych i potrafię lepiej zauważać ich potrzeby. W większym stopniu doceniam też to, co dzieje się tu i teraz: rozmowę, spotkanie, prostą codzienność. Bardziej jestem – a o to przecież w życiu chodzi.

10. MORALNA WRAŻLIWOŚĆ

Z DOMINIKIEM JARCZEWSKIM OP
O GRANICACH WOLNOŚCI I RACJONALNYM SUMIENIU

Dawid Kołodziejczyk OP: Zacznę od historii, którą usłyszałem na konferencji głoszonej przez pewnego księdza. Młody chłopak pyta, jak długo może się całować z dziewczyną w pokoju, żeby nie było grzechu; po chwili ciszy ksiądz odpowiada: „Tak długo, jak mama nie wchodzi do pokoju”. A ty co byś odpowiedział?

Dominik Jarczewski OP: Tego typu pytań moralnych jest wiele. W tym przypadku chodzi o wyznaczenie jakiejś granicy. Gdy ktoś mnie pyta: „Proszę księdza, jest grzech czy nie ma grzechu?”, z reguły nie odpowiadam na takie pytania. Dlaczego? Bo chcę uszanować, że przychodzi do mnie osoba, a nie program komputerowy albo wiertarka. Ta osoba ma sumienie, rozum, rozsądek. Pan Bóg stworzył nas z sumieniem do rozeznawania, do odkrywania, co jest dobre. Mogę więc dać komuś pewne drogowskazy, natomiast nie istnieje jakiś skrypt, scenariusz czy algorytm, który w każdej sytuacji byłby w stanie znaleźć odpowiednie rozstrzygnięcie. Nie ma uniwersalnych rozwiązań.

Oczywiście mamy absolutne zakazy moralne, na przykład: „Nie zabijaj” czy: „Nie kradnij”. Ale już nawet przy tych dwóch

widzimy, że sytuacja może się skomplikować przez okoliczności – inaczej „Nie zabijaj” realizujemy na wojnie, a w sytuacji życia i śmierci na przykład kradzież chleba nie będzie grzechem. Albo weźmy przykazanie: „Nie mów fałszywego świadectwa”. Czy to znaczy, że zawsze mam wszystko mówić? A co, jeżeli danej osobie taka informacja się nie należy? Albo gdy powiedzenie prawdy wyrządzi komuś krzywdę? Tak więc nawet w przypadku absolutnych zakazów pojawia się dużo pytań, jak je aplikować w poszczególnych sytuacjach.

W historii myśli moralnej były próby katalogowania grzechów, wyznaczania twardych ram. Myślę, że takie działania są niewychowawcze i tak naprawdę degradujące człowieka, bo infantylizują go, udzielniają. Poza tym, pewnie obydwaj mamy takie doświadczenie, że nawet gdy udzielimy odpowiedzi na zadane nam pytanie moralne, zawsze pojawia się jakieś „ale” ze strony pytającego.

Wspomniałeś o tym, że każdy z nas jest związany swoim sumieniem – mógłbyś rozwinąć tę myśl?

Tak, jesteśmy związani tym, co mówi nasze sumienie. Tylko że to sumienie trzeba też odpowiednio rozumieć. W dość popularnym ujęciu robienie czegoś zgodnie z sumieniem oznacza życie w zgodzie ze sobą – „Mnie się tak wydaje i tak powinno być”. To jest zaś tylko część prawdy. Sumienie to nie kwestia odczucia ani tego, co dla mnie wygodne. Choć jest subiektywne w tym sensie, że stanowi moją świadomość moralną, domyślnie ta świadomość celuje w to, co obiektywnie złe lub dobre. W szczególności sumienie nie jest

nieracjonalne, ale wprost związane z rozumem. Tomasz z Akwinu napisze na przykład, że sumienie to akt rozumu praktycznego.

Każdy z nas rodzi się z rozumem. Mamy rozum teoretyczny (związany z odkrywaniem prawdy) i rozum praktyczny, czyli ten, który odpowiada na pytanie, co jest dobre, jak być powinno, jakie w praktyce podejmować decyzje co do działania. I tak jak musimy rozwijać nasz rozum teoretyczny, zarówno przez przyswajanie treści, jak i ćwiczenie naszego sposobu myślenia – bo przecież nie o to chodzi, by pożreć encyklopedię, ale by łączyć fakty i myśleć krytycznie – tak też powinniśmy kształtować rozum praktyczny. Mamy ćwiczyć nasze sumienie w tym, żeby ono coraz lepiej rozpoznawało dobro i zło.

Myślę, że jeżeli rzeczywiście bierzemy odpowiedzialność za swoje życie, rozwijamy się, dążymy ku dobru, to widzimy, że z każdym rokiem czy dekadą życia wrażliwość moralna w nas rośnie. Na przykład kiedyś coś nie było dla nas problemem, a teraz widzimy, że czasem trzeba przyjąć inny punkt widzenia, tak w perspektywie osobistej, jak i społecznej.

Gdy myślę o moralności, wraca jednak do mnie wspomniana wcześniej granica, za którą jest grzech, a w obrębie której – jeśli wciskam się w jej ramy – moje życie będzie akceptowane przez Pana Boga, Kościół, społeczeństwo. Gdzie leży taka granica? Czy da się ją zdefiniować?

W tym kontekście trzeba postawić zasadnicze pytanie: co jest celem w moim życiu moralnym – unikanie zła czy wybieranie

dobra? Oczywiście te cele są ze sobą w jakiś sposób powiązane, ale nie są tożsame.

Aby to wyjaśnić, przywołam pewien obraz. Dzielę się nim z ludźmi, którzy mierzą się z powracającymi grzechami i przez to czują się jak w ślepym zaułku. Przygotowując się do kolejnej spowiedzi, patrzą przede wszystkim na to, co zrobić, żeby nie zgrzeszyć. Mówię im: „Spójrz, celem ogrodnictwa nie jest wypłenienie wszystkich chwastów i skopanie pola. Ta praca ma sens o tyle, o ile później coś na tym polu zasadzisz, zasiejesz. Walczymy z chwastami czy szkodnikami nie dlatego, że to jest naszym celem, ale ponieważ ich obecność sprawia, że jakaś dobra roślina nie może wyrosnąć ani wydać owoców. Jeśli wypłenisz całe pole, to pozostanie ono puste – nie to jednak jest głównym celem ogrodnictwa, tylko te rośliny, na których nam zależy.

Podobnie możemy myśleć o moralności. Zamiast skupiać się na tym, by się powstrzymywać i nie grzeszyć, może lepiej zapytać, jakie owoce wydaje twoje życie. Zawsze jakiś grzech się do nas przypałą, natomiast w nawróceniu czy w postanowieniu poprawy, które jest częścią spowiedzi, zawsze warto zwrócić uwagę na hojność w czynieniu dobra. Sensem nawrócenia nie jest to, od czego się odwracam, ale ku Komu.

Podczas liturgii wigilii paschalnej jest taki moment, gdy wyrzekamy się zła i wybieramy Chrystusa. W starożytności, gdy w tę noc katechumeni składali przed chrztem wyznanie wiary, to wyrzekając się zła, odwracali się na zachód – który symbolizował zło i utożsamiany był z zepsuciem, po czym kierowali się na

wschód – ku słońcu, ku Chrystusowi. Podobnie starożytne baptysteria, czyli budynki z basenami, w których zanurzano katechumenów podczas chrztu (a nie tylko polewano wodą), też były zorientowane: wchodziło się od zachodu, od ciemności i grzechu, a wychodziło ku wschodowi. Także Izraelici, gdy wychodzili z Egiptu, kierowali się z zachodu na wschód.

W naszym życiu chrześcijańskim czasem tak bardzo koncentrujemy się na tym, czego mamy nie robić, od czego się odwrócić, że tracimy z oczu, ku Komu mamy się kierować – ku Temu, który jest miłością. Myślę, że jeżeli chcielibyśmy zmierzyć nawrócenie (choć to chyba niemożliwe), to jednostką nawrócenia nie powinny być grzechy, jakie porzucamy, ale miłość, której robimy więcej miejsca w naszym życiu.

Czyli w nawróceniu mamy skupiać się na dobru?

Tak. I warto zadawać sobie pytanie o to, co generuje we mnie więcej dobra. Oczywiście często te cele nie są natychmiastowe, wiele rzeczy nie da się zrobić z dnia na dzień, ale mogę w siebie zainwestować, planując coś w dłuższej perspektywie.

Skierowanie ku dobru – w odróżnieniu od pytania o granice grzechu – pozwala też spojrzeć na mnie jako na całość, również z moją historią i przyszłością. Natomiast pytanie: „Grzech czy nie grzech?” nie koncentruje się tak naprawdę na mnie, tylko na jakimś pojedynczym wydarzeniu, epizodzie. Oczywiście to, kim jesteśmy, buduje wiele wyborów, ale tu znów trzeba uświadomić sobie, że nie działamy tylko *ad hoc*, ale raczej powinniśmy

nastawić się na bardziej długofalowy rozwój, by stawać się silniejszymi i wzmacniać dobro w nas.

Czyli tak naprawdę moglibyśmy odwrócić tę wspomnianą granicę grzechu i po prostu czerpać z życia, szukając dobra?

Dokładnie, bo dobro jest też od tego, żeby czerpać z niego radość, szczęście. Ponadto czasem warto pomyśleć o grzechach jako o złe ulokowanym dobru albo podróbce dobra. Zawsze gdy ktoś dzieli się ze mną dylematem, że co prawda widzi lub czuje, iż coś jest złe, ale za bardzo nie wie, co innego mogłoby to zastąpić, mówię: „Popatrz, grzechy są odpowiedziami na jakieś pytania, potrzeby, pragnienia. Dana sytuacja zadaje mi jakieś pytanie. Mamy akcję, a po akcji jest reakcja. Grzech jest złą odpowiedzią, więc jakie pytanie zostało ci postawione?”. To pytanie jest faktem, a z faktami się nie dyskutuje. Często chcielibyśmy wyrwać te pytania, pominąć je, ale nie da się zmienić odpowiedzi, jeśli nie skonfrontujemy się z pytaniem.

Grzechy to podróbki dobra. Jeżeli stać mnie na kupno oryginalnego telefonu czy oprogramowania, to przecież nie będę wydawał pieniędzy na podróbki. Pomijając kwestie moralne i skupiając się tylko na czysto pragmatycznych, po co decydować się na półśrodki, skoro stać mnie na oryginał? Po co wybierać grzech, skoro mogę zdobyć się na dobro? A jeśli to dobro wydaje się dla mnie na dziś nieosiągalne, to może jestem w stanie choć pomyśleć, czym ono mogłoby być, w co mam celować. W języku hebrajskim grzech określa się słowem, którego używa się też, gdy

chcemy powiedzieć, że ktoś strzelił, ale nie trafił do celu. Grzech to właśnie taki chybiony strzał.

Spróbujmy przenieść to na konkrety. Wyobraźmy sobie, że zmagam się z ogromną potrzebą seksualną. Doradź mi, co z tym zrobić.

Wiesz co, po pierwsze jako ksiądz, filozof czy teolog mam ograniczone kompetencje, bo w wielu wypadkach raczej trzeba by poprosić o pomoc seksuologa czy psychologa. Natomiast wróciłbym do innego pytania – związanego z tym, co opowiadałeś na początku o dziewczynie, chłopaku i całowaniu. Gdybym ja miał im doradzić, zapytałbym ich o to, co buduje ich relację miłości lub jakie rozwiązanie pomoże im być dojrzałszymi w kochaniu się.

W temacie potrzeb seksualnych też nie ma jednoznacznych, sprawdzających się u każdego odpowiedzi. Nie jesteśmy tacy sami, a ekspresja seksualna wiąże się z różnymi napięciami, które przeżywamy – również ze stresem. W tej kwestii nie chodzi jednak przede wszystkim o to, by się nie skalać, nie zanieczyścić grzechem, ale by nie potraktować siebie lub kogoś innego przedmiotowo. Bo na przykład ktoś może mieć pewną potrzebę, przeżywać coś trudnego, więc postanowi sobie ulżyć, wykorzystując siebie lub drugą osobę. W niektórych wypadkach to zadziała – ta osoba skutecznie rozładuje napięcie. Natomiast moralność powie, że to dobro (bo ulga jest jakimś dobrem) zostało kupione za zbyt dużą cenę. Więcej: zaszkodziłem komuś – potraktowałem osobę

jak rzecz, środek, a nie cel. Dlatego powinienem cofnąć się do sytuacji wyjściowej – ona, jak mówiłem, jest dana i z nią nie polemizujemy – i zapytać: co innego mogę zrobić, gdy pojawiają się we mnie silne pragnienia? Jak na siebie popatrzeć? Czyli poszukać zrozumienia, dlaczego i skąd to pragnienie czy pokusa się pojawia. I nie po to ją zobaczyć, by się jej wyrzucić albo udawać, że jej nie ma – negowanie czegoś często powoduje, że to wybija jeszcze silniej i skutkuje większą liczbą ofiar wokół mnie – ale żeby zrozumieć, gdzie jest ukryte dobro.

Nie ma więc jednoznacznych odpowiedzi na takie pytania; u każdego z nas będzie to wyglądało inaczej – a nawet u tej samej osoby w różnych sytuacjach może to być powiązane z czymś zupełnie odmiennym, więc i odpowiedź będzie inna. Jesteśmy bytami biologicznymi, mamy swoją fizjologię, psychologię, a to też ma swoje konsekwencje. Dawniej mówiono: „Weź zimny prysznic” – pewnie w wielu przypadkach to zadziała, ale chyba jednak jesteśmy trochę bardziej skomplikowani, niż wynikałoby to z takiej uproszczonej fizjologii.

A jak znajdować w tych potrzebach dobro? Jak przekuć pożądanie na coś, co wzmocni we mnie dobro i rozwinie moją osobę?

Tym, bez czego nie wyobrażam sobie znalezienia odpowiedzi na to pytanie, jest poznanie siebie. A raczej: poznawanie siebie, bo to inwestycja na całe życie i proces, który nigdy się nie kończy – niemalże w każdej sytuacji mogę odkryć w sobie coś nowego.

Poznanie siebie to warunek konieczny, by dowiedzieć się, co jest dobrem dla mnie i jakie dobro grzech we mnie zagłusza.

Natomiast skoro mówimy o inwestycjach – poznanie siebie to zaangażowanie długoterminowe; dopiero po czasie widać, że się opłaca. W związku z tym nie muszę dziś znać odpowiedzi na wszystkie pytania o to, co mam robić i jak się zachowywać, ale na przykład jestem w stanie podjąć coś, co w dalszej perspektywie przybliży mnie do tych odpowiedzi. Oczywiście może być też tak, że pewne grzechy zostaną przy nas na całe życie.

No właśnie – bo przecież spowiedź jest miejscem, do którego wracamy i wracamy, niekoniecznie z nowymi rzeczami. Czasem przez wiele lat wyznajemy te same grzechy.

W tym kontekście przypomina mi się książka naszego brata Krzysztofa Popławskiego (byłego prowincjała) pod tytułem *Oczko**. To zbiór opowiadań o księżach, napisany praktycznie bez cenzury – to znaczy chyba jeden z braci przejrzał i niektóre wątki jednak trochę ugładził – więc to nie są laurki, ale narracje o dramatach i trudnościach, które przeżywają różni duchowni. Myślę, że wiele z tych historii jest autentycznych, a Krzysztof pięknie je opisuje, bo skrywa w nich głęboki humanizm, każdemu z bohaterów zostawiający cień szansy – choć większość to istne kreatury. W tej książce pojawia się biskup, który przechodzi na emeryturę, a jego ambicją jest wydanie księgi pamiątkowej będącej

* Por. Krzysztof Popławski OP, *Oczko. Miniatury (anty)klerykalne*, Poznań 2015.

zbiorem jego kazań czy konferencji (nawiasem mówiąc, nigdy nie rozumiałem takich ambicji – czy w ogóle ktoś to czyta, czy raczej rozdaje się ludziom na prezenty, a potem leży to na półce i się kurzy). Biskup powierza przygotowanie tej książki księdzu, który ma duże problemy alkoholowe. Ostatecznie więc książka nie powstaje i można powiedzieć, że biskup wiele traci, ale jednocześnie ocala tego księdza, bo z pieniędzy przeznaczonych na publikację udziela mu wsparcia. Ta historia przypomina mi, że w życiu chodziłoby nie tyle o to, by zająć pierwsze miejsce w kategorii „najmniej popełnionych grzechów”, ile by ktoś mógł się nakarmić przy moim stole. Mimo że jestem bezradny wobec wielu grzechów i widzę, że sporo rzeczy we mnie realnie nie działa, to mój dom, moje ręce są otwarte dla drugiego człowieka. Bo czy my dążymy do świętości, która jest wypolerowana, nietykalna, krystaliczna, i od której bije chłód jak od Królowej Śniegu? Co z tego typu niepokalaności wypływa?

Dla mnie to nie jest świętość. Ona nie jest równoznaczna z bezgrzesznością.

Czasem ulegamy takim karykaturalnym wyobrażeniom o świętości. Jeżeli więc moim głównym celem w życiu moralnym, duchowym, stanie się niegrzeszenie, to będę zmierzał ku takiej wypolerowanej „świętości” – im mniej grzechów, tym większy ze mnie święty. Ale jeżeli przyjmiemy, że za cel obieramy czynienie dobra, a miarą nawrócenia nie jest brak grzechów, tylko siła miłości, to wzorem wielu świętych będę dawał coraz więcej miejsca miłości

w moim życiu. Warto robić sobie taki prosty rachunek sumienia, zadając sobie pytanie o to, jaka miłość i jakie dobro wypływa z mojego nawrócenia. Oczywiście trzeba też walczyć z wadami – ale po co? Bo wokół mnie są ich konkretne ofiary. Gdy jestem nerwowo i zawsze mówię o jedno słowo za dużo, to ktoś to słyszy i odczuwa na sobie skutki moich wad. Gdy nie odpisuję na maile, to muszę mieć świadomość, że ktoś na danego maila czeka i może coś w jego życiu od tego zależeć.

Ale czy nieodpisywanie na maile to grzech?

To zależy od wagi tych maili. Na pewno jest to zaniedbanie. Jeśli sprawa należy do poważnych, to i konsekwencje są znaczące. Tu znów trzeba wrócić do sumienia i przyjrzeć się, co w tej sytuacji może być wskazówką dla rozumu praktycznego. Warto też zadać pytanie, czy chodzi o sporadyczne wypadki, czy jednak jakąś stałą tendencję w moim zachowaniu, czyli wady, które się do mnie przykleiły. Bo wady, które są stałymi postawami w nas, prowokują grzechy czy raczej sprzyjają im. Przeciwnie zaś cnoty, które są stałymi umiejętnościami, powtarzalnymi i prowadzącymi nas do dobra. Praktykowanie tych cech zwiększa szanse na dobro w naszym życiu, a posiadanie wad zwiększa szanse na zło. Jeżeli więc chcę się poprawiać ze swoich wad, pragnę unikać zła, to mam to robić nie dlatego, żeby nie popsuć sobie własnej niepokalaności czy w celu poprawienia samooceny, ale dlatego, że tam po drugiej stronie jest konkretna osoba, która staje się ofiarą popełnianego przeze mnie zła.

To ważne, co mówisz o grzechu. Czasem myślimy, że grzechy dotyczą tylko nas samych, naszego wnętrza, a tymczasem ich skutki sięgają znacznie dalej. Chciałbym w tym kontekście zapytać jeszcze o wady i cnoty – dlaczego ten rozwój w dobru jest tak istotny?

Oczywiście na początku trzeba zaznaczyć, że żadna cnota nie gwarantuje dobra, tak samo jak żadna wada nie zapewnia zła. Warto sięgnąć do filozofów starożytnych – na przykład do Arystotelesa – którzy sporo pisali właśnie o cnotach i wadach. Często porównywali ten obszar pracy nad sobą do sportu; tak jak z bieganiem czy robieniem ćwiczeń, z czasem – wraz z praktyką – przychodzi mi to łatwiej. Albo jeśli rozpoczynam jakąś dietę, to początkowy tydzień lub dwa są najtrudniejsze. Natomiast to nie oznacza, że potem to w ogóle nie kosztuje – poprzeczka się podwyższa, więc cały czas potrzeba wysiłku.

Gdy mówimy o rozwoju osobistym, to często traktujemy go jako coś obcego etyce (w niektórych środowiskach anglosaskich to już się zmienia, ale ogólna tendencja jest raczej tego typu). Etyka kojarzy nam się z „wolno – nie wolno”, „grzech – nie grzech” i silnie łączymy ją z prawem. Rozwój natomiast wiążemy raczej z psychologią i realizacją siebie, traktujemy go jako coś bardzo „wsobnego”: „abym się lepiej czuł ze sobą”. A spojrzenie starożytne wiązało etykę z rozwojem. Według Arystotelesa człowiek rozwija się wtedy, kiedy kształtuje się też moralnie, czyli jest bardziej wytrwały, mężny, umiarkowany, powściągliwy, pokorny (nawiasem mówiąc, pokora to cnota, którą do tego szeregu dołączyło chrześcijaństwo – dla

Arystotelesa była to wada). Gdy będę starał się być najdoskonalszą wersją siebie, moje życie będzie owocowało, bo dla Arystotelesa szczęście jest efektem dobrego życia. Ono nie sprowadza się do samozadowolenia, ale do spełnienia, które nie jest dobrym samopoczuciem, ale realizacją coraz lepszej wersji siebie samego.

Słowo „cnota” wydaje się dziś trochę archaiczne, a do tego nabrało nieco negatywnego zabarwienia. Lubię czytać współczesną literaturę związaną z zarządzaniem i coachingiem, a tam wiele pisze się o nawykach, rutynie, powtarzalnych czynnościach – przecież to jest cnota we współczesnym wydaniu! Czyż nie?

Filozoficznie trzeba byłoby zrobić pewne rozróżnienie między tymi pojęciami. Zgadzam się z tym, że konotacje cnoty z „cnotką”, sięgające XIX wieku i purytanizmu anglosaskiego, a także katolickiego wychowania w gorsecie na pensji dla dobrych panien, skompromitowały to pojęcie. Cnotliwość kojarzy się z czymś słabym, obłym, tymczasem w starożytności był to synonim męstwa i siły polegającej na nieuleganiu popędom – nie zachowuję się tak, jak wiatr zawieje, tylko silnie trwam, stawiając czoła okolicznościom. Cnota, owszem, to jakaś sprawność, nawyk, ale myślę, że to też coś więcej, bo wiąże się z pewną motywacją. Ona nie jest automatycznym mechanizmem; praktykując ją, nie przestajemy używać rozumu czy sumienia.

Ale czy nie jest tak, że im więcej dbamy o tę sprawność, tym nasze dobre działania stają się bardziej rutynowe?

W sensie zdrowej rutyny tak, ale jednocześnie nie działamy jak automaty.

A jak rozróżnić zdrową i niezdrową rutynę?

Zdrowa znaczy rozumna.

Podsumowując – czy zgodzisz się ze mną, że święci to ci, którzy w swoim ogrodzie umieli pielęgnować różne gatunki roślin, a mimo chwastów ich ogród się rozwijał?

Tak, a przy tym świętość nie jest czymś, co my osiągamy. Ona zawsze jest darem od Pana Boga. Nie jesteśmy w stanie jej wypracować. Nawet jeśliśmy jakimś cudem całkowicie unikali grzechów i pomnażali dobra w naszym życiu, to i tak ostatecznie świętość jest darem, bo ona przekracza nasze zdolności.

Kiedyś, chyba jeszcze w nowicjacie, odkryłem definicję świętości – pewnie nie jedyną możliwą, ale dla mnie inspirującą i ważną. Według niej święty to człowiek, który widzi siebie i prosi Boga o miłosierdzie, a potem się tego miłosierdzia chwytą i w nim żyje. Bo Boże miłosierdzie nie jest czymś niepewnym ani jakimś suspense, czymś, co okaże się na końcu życia – ale stanowi punkt wyjściowy. Już od początku, od chrztu mamy tę łaskę: zbawienia, odkupienia. Nasze życie ma polegać na korzystaniu z tego daru, bo to jest kapitał, który dostaliśmy, aby go dobrze spożytkować.

Czasem, gdy w konfesjonale spotykam człowieka, który po długim czasie przychodzi do spowiedzi, mówi: „Popatrz, mamy

siedem uprzywilejowanych momentów – sakramentów, w których Pan Bóg w specjalny sposób jest obecny i daje nam łaskę. Jedną taką okazją do spotkania z Nim jest grzech. Bóg przychodzi do tego, co najbardziej nie-Boże w świecie, czyli do grzechu. On tam chce przyjść i cię uzdrowić”. Postanowienie poprawy powinno więc wypływać z uświadomienia sobie, że ta łaska zbawienia została już mi udzielona. Nie: dostanę ją dopiero, gdy się poprawię, ale: zanim cokolwiek zmienię, Bóg udziela mi rozgrzeszenia. Łaska jest mi dana – tylko co ja z nią dalej zrobić?

Trochę przypomina to też system dotacji. Gdy ktoś dostaje subwencję na jakiś cel – dofinansowanie unijne czy inne – to musi mieć wkład własny, a przynajmniej biznesplan, by dostać te środki. Otrzymuje je z zewnątrz, ale żeby dalej je wykorzystać, potrzeba osobistej pracy. Dobrze po każdej spowiedzi choć na chwilę zatrzymać się i zastanowić, jak wielki skarb dostałem. Nie po to, by próbować się odwdziaczyć – bo to niemożliwe – ale żeby nie zmarnować go, tylko zainwestować. Warto zastanowić się, jak zrobić ten jeden krok, by ktoś się przy mnie ogrzał – aby Miłość bez granic, której doświadczyłem, sprawiła, że ja komuś drugiemu tej miłości też nie odmówię.

Na koniec zapytam: czym dla ciebie jest wiara? Tak osobiście, nie definicyjnie.

Nie wiem, czy to moja ostateczna odpowiedź, ale od dłuższego czasu wyraźne jest dla mnie, że wiara to życie wobec Boga. Życie wobec Boga, czyli co? Kiedy cierpię i kiedy obfituję, gdy się

frustruję i gdy jestem czymś zachwycony, kiedy robię wiele dobra i jak grzeszę w jakimś ciemnym kącie, to w tym wszystkim nie pozostaję sam, ale jestem wobec Boga. Z Nim się liczę; On jest kimś bardzo, bardzo konkretnym. W wielu sytuacjach czuję, że nie dorastam, widzę swoje ograniczenia na różnym poziomie, ale wiem, że On tutaj jest. Stąd, kiedy grzeszę albo znajduję się na skraju grzechu, to wiem, że nie sprowadza się to jedynie do przekroczenia jakiejś normy, nie chodzi tylko o mnie i o tę osobę, która może zapłacić cenę za moje pójście na skróty, ale też w tym wszystkim jest jeszcze On, którego zaufanie właśnie nadwyrażam. Wiara to zatem według mnie bycie w obecności Boga.

DOMINIK JARCZEWSKI OP – dominikanin, duszpasterz, re-kolekcjonista, doktor filozofii Uniwersytetu Paris 1 Panthéon-Sorbonne, wykładowca Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Polskiej Prowincji Dominikanów, stały współpracownik miesięcznika „W drodze”.

Jest autorem m.in. zbioru rozmów z polskimi biblistami *Bierz i czytaj*, książki *Nerw święty. Rozmowy o liturgii* napisanej z Dominikiem Jurczakiem OP oraz współredaktorem i współautorem książki *Quodlibet [co się podoba]. Studia dominikańskie*.

11. CHRZEŚCJAŃSTWO A MIT

Z GAWŁEM WŁODARCZYKIEM OP O STORYTELLINGU,
DEKONSTRUKCJI I MITACH STAJĄCYCH SIĘ FAKTEM

Dawid Kołodziejczyk OP: Współcześnie mówi się, że najlepszym sposobem przekazywania treści jest storytelling, czyli po prostu opowiadanie. Zanim jednak o tym porozmawiamy i ustalimy, jak to się ma do chrześcijaństwa, chciałbym zapytać o podstawy: czym jest mit? Mógłbyś to wyjaśnić w dwóch, trzech zdaniach?

Gawł Włodarczyk OP: Trudno wytłumaczyć to w kilku zdaniach, ale mówiąc syntetycznie, mit jest opowieścią ahistoryczną, która została wytworzona w danej społeczności, i w sposób symboliczny mówi o najważniejszych dla niej sprawach. Mit pochyla się nad najistotniejszymi dla danej kultury intuicjami czy zagadnieniami, takimi jak pytanie o szczęście, cel życia, pochodzenie świata, źródła naszych smutków czy radości.

Są trzy różne sposoby postrzegania mitu. Pierwszy z nich to spojrzenie negatywne, które wkłada mit między bajki – a bajka więcej zasłania, niż odsłania. Tu jako przykłady można przywołać powstałe w różnych kulturach mity o stworzeniu świata, w których mowa o tym, że jacyś bogowie się bili, połała się krew i tak powstał człowiek, albo odbyła się jakaś orgia i z tego wyłonił się

świat. Tego typu mity odnoszą się zwykle do walki lub seksualności. Dziś skomentujemy to krótko: „Tak świat nie powstał, to są mity”. Takie negatywne postrzeganie mitu ma swój początek w filozofii. W kulturze europejskiej to Sokrates stał się figurą filozofa, który próbuje wyjaśniać świat, pytając o sprawy najistotniejsze. Zadaje pytania filozoficzne, a nie powtarza mitycznych historii. Platon w swoim *Państwie** przeciwstawia mądrość Homera i mądrość filozofii – poeci to ci, którzy opowiadają bajki i mity, a filozofia pozwala osadzić poznanie na solidnych racjonalnych fundamentach.

Czyli filozofia i mit to rzeczy przeciwstawne?

Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem, ale jest w nim jakaś racja. Zresztą sama figura Sokratesa jako redukcyjnego racjonalisty, dla którego poznanie wiąże się tylko z eksperymentem – z tym, co mogę poznać, zbadać, zobaczyć na własne oczy albo czego mogę dowiedzieć matematycznie czy analitycznie – to według mnie nieprawdziwy obraz Sokratesa. Taka wizja to – o ironio – mit Oświecenia. Jest taka książka Marka McPherrana pt. *Religia Sokratesa*, która ukazuje, że był on jednak religijnym człowiekiem. Mimo że został skazany za bezbożność i gorszenie młodzieży, to robienie z niego współczesnego ateisty stanowi duże uproszczenie. Myślę jednak, że w intuicji zakładającej, iż mit to wiedza nieprecyzyjna, jest sporo racji. W mitach są przekazywane jakieś istotne prawdy,

* Por. Platon, *Państwo*, księga X.

ale w przeciwieństwie do filozofii – szczególnie analitycznej – ten przekaz wydaje się niejasny.

Czyli pierwsze, negatywne patrzenie na mit to postrzeganie go jako bajki.

Bajki w sensie: po prostu nieprawdy. Szukając jakichś pozytywnych stron tego spojrzenia, można powiedzieć, że wydobywa ono mieszanie się w micie treści prawdziwych z nieprawdziwymi. Tu przypomina mi się słynna, często opowiadana w kościołach anegdota o przycinaniu pieczeni.

Tak, to historia o tym, że pewna kobieta zawsze, gdy piekła szynkę, przycinała jej końcówki. Kiedy mąż ją zapytał, dlaczego je odkrawa, odpowiedziała: „Nie wiem, ale moja mama zawsze tak robiła”. Postanowili zapytać mamy i ta na to samo pytanie odpowiedziała: „No, moja mama tak robiła, nie wiem dlaczego”. Babcia jeszcze żyła, więc poszły obie zapytać, a babcia na to: „Nie wiem, dlaczego wy tak robicie, ale mi się po prostu do garnka nie mieściła”.

No właśnie – a gdyby przenieść to na większą zbiorowość, to choć na początku ktoś miał jakieś racje w danej praktyce czy opowieści (odkrawaniu boków szynki), to dalsze powtarzanie tej praktyki polega na reprodukowaniu nieracjonalnego kłamstwa. Takie podejście to dość pesymistyczne patrzenie na tradycję opowieści w danej kulturze, ale coś jest na rzeczy. I tak jak powiedziałem,

nie należę do zwolenników pierwszego podejścia do mitu, ale staram się oceniać je uczciwie.

Jaka jest zatem druga opcja patrzenia na mit?

Afirmująca, pozytywna, podkreślająca to, że mit jest nagromadzoną mądrością. Tak też można myśleć o tradycji, w której zbierają się doświadczenia poszczególnych pokoleń. Każde pokolenie coś dokłada do tej zbiorowej mądrości, stąd można zauważyć, że mity w wielu kulturach się nie tyle całkowicie zmieniają, ile przekształcają. Te opowieści niosą daną wspólnotę, spajając ją i wyjaśniając pewne kwestie. Jednocześnie te przekazy są modyfikowane i finalnie ostaje się to, co niesie jakąś uniwersalną prawdę, bo wytrzymało próbę zmieniających się epok, postęp technologiczny, zmianę warunków społecznych czy ekonomicznych. Jeśli mimo suszy, wojny, powodzi, głodu my nadal coś opowiadamy, to znaczy, że u rdzenia tej opowieści jest coś uniwersalnego, ważnego, co staramy się sobie przekazać.

Potrzebuję dopowiedzenia. Gdy słyszę słowo „mit”, to od razu przypomina mi się mitologia grecka czy rzymska. Ale – jak rozumiem – przesuwasz to pojęcie w inne rejony, myślisz o micie jako o pewnej opowieści funkcjonującej w społeczeństwie, tak?

Chyba nie ma kultury bez mitów. Największe narracje, które sobie opowiadamy w danej kulturze, stają się mitami. I dlatego

właśnie mity greckie trwają – bo je sobie przekazujemy. Przecież moglibyśmy powiedzieć komuś: „Człowiek jest ograniczony, ma swoją naturę i nie powinien robić rzeczy, które go przekraczają, bo się sparzy”, ale możemy też opowiedzieć mit o Dedalu i Ikarze, czyli snuć opowieść o człowieku, który buduje skrzydła, bo wydaje mu się, że może latać blisko słońca, lecz gdy wznosi się zbyt wysoko, ginie. Ten mit przekazuje uniwersalną prawdę o pysze, która niszczy człowieka.

Oczywiście są też opowieści na mniejszą skalę. Potocznie mówimy na przykład o micie Solidarności. Zaczęło się od faktu pojawienia się w latach osiemdziesiątych związku zawodowego, który zamienił się w ruch społeczny. Gdy więc opowiadamy o tym ruchu, mówimy o jego historii, niejako tworzymy mit. Dzisiaj niemalże wszyscy twierdzą, że byli w Solidarności, choć to nieprawda. Jak widać, ów mit kształtuje myślenie naszej społeczności, stąd pojawia się pytanie o to, co bardziej na nas wpływa – mit czy fakt?

Czyli mit jest odłączony od faktów?

On może być pierwotnie związany z konkretnymi faktami, ale rzeczywiście stopniowo się od nich odłącza i staje się ahistoryczną opowieścią zasadzoną na jakimś wydarzeniu historycznym. Przykładem tego są polskie opowieści epoki romantyzmu o cierpiącym narodzie, a potem mit Jana Pawła II. Co ważne, jego osoba i mit o nim to nie to samo, bo mit bardziej mówi o nas, o społeczności; mit Jana Pawła II to opowieść o niemalże „królu

Polski”, czyli kimś, kto coś aksjologicznie proponuje i nas w tym prowadzi.

Myślę, że nawet małe społeczności – rodziny, klasztory – opowiadają sobie pewne historie, które z faktami historycznymi nie mają już wiele wspólnego, ale mimo to bardzo nas kształtują. One meblują naszą wyobraźnię i do nich się odwołujemy, bo spajają nas jako społeczność, dokąds prowadzą, coś wyjaśniają.

A trzeci rodzaj patrzenia na mit?

To byłoby podejście dekonstrukcyjne, które mówi, że mit jest prawdziwy, ale nie w pierwszym jego sensie, o którym opowiada, tylko w tym, że skrywa jakąś prawdę. Pokażę to na przykładzie.

Nierzadko władza była uzasadniana mitycznie – jakiś faraon, cesarz czy inny król pochodził od bóstw lub jego poprzednik został przebóstwioną jednostką. Można powiedzieć, że te opowieści uprawomocniają dany porządek społeczny i polityczny, a nawet jeśli nie są prawdziwe w sensie faktycznym, to mają w sobie mityczną prawdę spajającą społeczność. Świetnie było to widać przy okazji pogrzebu królowej Elżbiety II, bo współcześnie też istnieje sakralizacja władzy porządkująca to, jak dana społeczność funkcjonuje – istnieje pewien majestat władzy, którego nie można naruszać. W dekonstrukcyjnym podejściu ten sens mitu uznaje się za nieprawdziwy, ale jednocześnie będzie się wydobywało inny, ukryty sens – że taki porządek władzy istnieje, by uciskać słabszych. Po to ubóstwiliśmy władcę, żeby uzasadnić ucisk klasowy – to jest prawdziwy sens mitu w spojrzeniu dekonstrukcyjnym.

Czyli to podejście zakłada poszukiwanie „drugiej strony” mitów, znaczenia *à rebours*.

Czy na każdy mit da się spojrzeć w sposób dekonstrukcyjny?

Można kombinować. Na przykład weźmy dość znany mit o puszcze Pandory, w którym kobieta otwiera ten pojemnik, a przez to na świat wylatują różne nieszczęścia i cierpienia, ale na końcu – niemalże pod spodem – ukrywa się nadzieja. Nadrzędnym przesłaniem tego mitu jest myśl, że gdzieś za wszystkimi cierpieniami i trudnościami tli się nadzieja. Ale podejrzliwy dekonstrukcjonista zapyta: „A dlaczego tę puszkę otwiera kobieta?” – według niego cała opowieść będzie miała na celu poniżenie kobiet i ukazanie, że są gorsze.

Szukając pozytywów w tym podejściu do mitu, myślę, że ono wydobywa prawdę, iż zwykle opowieści mają jakieś drugie dno. Rzeczywiście nasze historie często skrywają niedostrzegalne dla nas znaczenie, a wielkie opowieści posiadają też swój ukryty „koszt”.

Czyli dekonstrukcyjne spojrzenie to taki radar ustawiony na drugie dno, który na przykład w opowieści o szynce widzi ukryte przekonanie, że według Kościoła katolickiego w domu kobieta gotuje, a faceta tam nie ma.

Dokładnie, choć trudno mi znaleźć pozytywną treść w tej opowieści o szynce – no chyba że chodzi o mądrość pokoleń dotyczącą

lepszego wytapiania się tłuszczu po bokach. W podejściu negatywnym (tym pierwszym) uznalibyśmy, że cała opowieść to nieprawda, a w dekonstrukcyjnym – tak jak powiedziałeś – szukalibyśmy drugiego dna, czyli na przykład tego, że kuchnię zajmują się kobiety. W tym spojrzeniu marginalna treść staje się fundamentalnym nośnikiem, który ukrywa prawdy o stosunkach społecznych.

Dekonstruowanie opowieści i mitów to w ogóle ulubione zajęcie kultury od lat sześćdziesiątych. I obecnie dochodzimy do ściany, bo mało co jeszcze można zdekonstruować. Oczywiście głównym problemem tego podejścia jest właśnie czynienie zasady z rzeczy marginalnej. Aby wytworzyć mit, który stanowi rodzaj tradycyjnej opowieści, trzeba było wiele czasu – ktoś musiał się sparzyć, ktoś zginać, ileś osób namyślić, by wytworzyła się pewna mądrość. Bardzo łatwo wyrzucić ją do kosza, ale doświadczenie jednostkowe pokazuje, że jednak nie starczy nam życia, by nabrać wszelkiej mądrości. Jeżeli więc nie posłucham historii o tym, że pycha mnie zgubi, to ona mnie po prostu zgubi i spalę się w słońcu. A jeśli skorzystam z nagromadzonej w opowieściach mądrości, to jest szansa, że uniknę takich dramatów.

Teraz chyba mogę w końcu zapytać o storytelling, od którego zaczęliśmy rozmowę. Dlaczego opowiadamy sobie historie? Dokąd ma to nas zaprowadzić?

To jest rzeczywiście fascynujące, że większość prawd przekazujemy sobie w opowieściach. Jeśli chcemy coś powiedzieć o prawdzie,

sprawiedliwości, stosunkach politycznych, relacjach damsko-męskich, to zamiast opisać coś technicznie, zaczynamy snuć jakąś opowieść. Widać to nawet w codziennych, rodzinnych sytuacjach, gdy zamiast powiedzieć dziecku, że nie wolno się spóźniać, rodzice opowiadają historię, jak to tata dziesięć lat temu zagadał się z kimś, nie zdążył na pociąg i spóźnił się na ważne spotkanie.

Najlepsze jest to, że te same historie mogą mieć różne przesłania. Bo ktoś inny powie, że spóźnił się na pociąg i dzięki temu spotkał swoją przyszłą żonę – stąd wniosek, że nie trzeba się w życiu spieszyć.

Tak, te minispołeczności czy kultury mają część mitów zbieżnych, a część rozbieżnych, ponieważ ich doświadczenia się różnią.

Mit powinniśmy więc traktować jako opowieść mądrościową – zgodziłbyś się z tym?

Bardzo ciekawie pisze o tym C.S. Lewis w eseju zatytułowanym *Mit, który stał się faktem**. Mówi w nim, jak odróżnić prawdę od rzeczywistości. Gdy siedzę i rozważam jakąś prawdę, to nie uczestniczę w opisywanej przez nią rzeczywistości. Nie da się jednocześnie rozważać tematu zakochania i być w momencie rozkoszy i zakochania. Jeśli tańczę z dziewczyną, a w tym czasie liczę kroki i tłumaczę, jak się tańczy, to już nie jest taniec, tylko

* Por. C.S. Lewis, *Mit stał się faktem*, [w:] tegoż, *Bóg na ławie oskarżonych*, Warszawa 2002, s. 41–47.

nauka tańca. Istnieje więc napięcie między refleksją, czyli zastanawianiem się nad jakąś prawdą, a uczestniczeniem w danej rzeczywistości. Mit według Lewisa miałby być pomostem między tymi dwoma – prawdą a rzeczywistością, refleksją a uczestnictwem. Przez opowieść w zapośredniczony sposób wchodzimy w rzeczywistość. Gdy słuchamy opowieści, jesteśmy między jednym a drugim.

Dość naturalnie rodzi się więc pytanie o to, jak odnieść mit do chrześcijaństwa. Znamy z historii różne nurty myślenia, które traktują chrześcijaństwo jako mit. Zresztą w Biblii, która zawiera teksty należące do różnych gatunków literackich, także znajdziemy opowieści ahistoryczne.

Rzeczywiście, jeśli antropolog kultury popatrzy na Biblię, pewnie będzie ją badał jako kolejny z mitów. Oczywiście można się kłócić z tym podejściem, bo jednak część wydarzeń biblijnych jest historyczna, na co istnieją dowody naukowe – ale generalnie Biblia jako całość to dla badacza mit chrześcijański.

Słyszysz się czasem taki zarzut wobec chrześcijaństwa – w świecie naukowym był on mocno dyskutowany w XIX wieku, dziś pojawia się raczej na forach internetowych – że przecież istnieją mity o boginiach, które zostały poczęte w sposób dziewiczy, albo opowieści o półbogach, którzy stali się bogami, lub też mit o bóstwie, które umarło i znowu się odradza jak Feniks, więc chrześcijaństwo to prawie to samo. Często będzie to nawet połączone z życzliwym podejściem do chrześcijaństwa, ukazującym je jako

religię zbierającą ważne, mądre opowieści, ale istotowo nieróżniącą się od mitów greckich czy pochodzących z innych kultur. Amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt, choć sam jest niewierzący, powie nawet, że dla niego najbardziej interesujące są opowieści tych religii, które „wygrały wyścig ewolucyjny”, czyli przetrwały najdłużej i są najbardziej ekspansywne – chodzi mu o chrześcijaństwo i islam. Interesuje się nimi, bo według niego muszą one jakoś odpowiadać na realne ludzkie potrzeby, odbijając pewną prawdę o naturze ludzkiej.

Czyli ktoś mógłby stwierdzić, że chrześcijaństwo jest pouczającym mitem, niosącym pewną mądrość, i w związku z tym warto się nim kierować?

Oczywiście jako wierzący ludzie nie zgodzimy się z tym – trzeba zatem obrać jakąś inną strategię. Jedną z nich jest podejście, które zrodziło się w kręgach teologii liberalnej, zakładające demitologizację chrześcijaństwa, czyli zdzieranie z niego całej warstwy mitycznej, która wydaje się nieracjonalna i dziwna. Przyjmując ten klucz myślenia, będziemy opowiadali o Jezusie jako nauczycielu, który przynosi rewolucję społeczną i etyczną – a cuda? No bez przesady, żyjemy w XXI wieku, więc nie będziemy o nich opowiadać. Ktoś zdeterminowany w tym podejściu będzie demitologizował kolejne warstwy, z których pierwsze na spalenie pójdzie dziewicze poczęcie, a potem zmartwychwstanie – Jezus umarł, ale powstał nie cieleśnie, tylko w naszych sercach. Jak wiadać, jest to nieortodoksyjne podejście.

Ortodoksyjne wydają mi się dwa inne poglądy. Pierwszy uznaje chrześcijaństwo za antymit. Chrześcijaństwo przynosi prawdę wbrew mitom, które inne kultury stworzyły na temat śmierci, człowieka, początku świata i Boga. Wydawało się, że światem rządzą gwiazdy, a chrześcijaństwo mówi – wbrew temu spojrzeniu – że ciała niebieskie zostały stworzone przez Boga. Oczywiście w samej Biblii są różne gatunki literackie, także mity: na przykład o wieży Babel czy o stworzeniu świata (bo przecież nie mamy wątpliwości, że pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju nie są literalnym zapisem powstania świata i człowieka; znajdziemy tam dwie różne opowieści o stworzeniu, przywołane jedna po drugiej, co jest znakiem tego, że autor księgi niejako zbierał opowieści, które się uzupełniają, a nie wykluczają).

Podobnie z potopem. Niektóre źródła historyczne podają, że na tym obszarze były jakieś podtopienia czy powodzie, więc mamy tu pewne nawiązanie do faktów, ale arka, osiem osób w niej, wszystkie zwierzęta w środku – to już wykracza poza historyczną opowieść.

Rzeczywiście, może pojawić się zbieżność faktograficzna i podobne opowieści w mitach ludów ościennych. Co ciekawe, w Biblii są też mity polemiczne. Na przykład mniej więcej w tym samym czasie, co opowieść o tym, że Bóg stwarza człowieka z mułu ziemi, w sąsiedniej kulturze Babilonu istnieje mit o bogu Marduku, który stworzył człowieka z ziemi zmieszanej z krwią przekłętego Kingu. Opowieści te są bardzo podobne,

pochodzą z podobnego kręgu kulturowego, co więcej – możliwe, że Żydzi na wygnaniu słyszeli tę historię, jednak postanowili opowiedzieć coś podobnego, ale z zupełnie innym przekazem: mit o tym, że u zarania dziejów człowieka nie ma przeklętej krwi Kingu, tylko jest Bóg stwarzający człowieka. Mamy więc treść mitologiczną, ale jednocześnie polemiczną wobec innych kultur. Jedna i druga opowieść wskazuje, że człowiek stanowi część świata, ekosystemu, gdyż pochodzi z ziemi, ale w biblińskiej wersji w istocie człowieczeństwa jest coś przeklętego, a w wizji chrześcijańskiej – element duchowy, tchnienie samego Boga.

Mamy więc w Biblii mity, ale i też cudowne opowieści, co do których chrześcijanie będą się upierać, że mitami nie są.

Dokładnie – tak jest na przykład z dziewiczym poczęciem Chrystusa. O tym czytamy u Justyna Męczennika w *Dialogu z Żydem Tryfonem*. Tryfon mówi (parafrazuję): „Zrezygnujcie z tego dziewiczego poczęcia, bo mądrzy ludzie się z tego śmieją. To brzmi jak bajki Greków”. W Biblii są więc pewne opowieści mityczne, ale istnieją też takie historie, przy których chrześcijanie od samego początku upierają się, że mówią o faktach – tak jest ze zmartwychwstaniem i dziewiczym poczęciem. Jezus objawia Boga jako Ojca, który nie chciał, żeby Syn Boży miał ojca ziemskiego, i choć to PR-owo słabe, to chrześcijanie będą się przy tym upierać, bo twierdzą, że to po prostu fakt – a przed faktami się co najwyżej czapkę ściąga.

Z marketingiem zmartwychwstania też nam się nie udało, bo przecież lepiej mieć szczątki proroka w grobie niż pusty grób.

René Girard całą swoją koncepcję antropologiczną opierał na badaniach mitów założycielskich różnych kultur. Stwierdzał, że zasadniczo są one do siebie podobne, bo zawsze występuje w nich jakiś mord na kimś, kto staje się kozłem ofiarnym danej społeczności. Tylko zwykle w tych opowieściach ów fakt przemocy jest ukrywany, a akcent przenosi się na kiczowatą jedność – kiczowatą, bo uzyskaną kosztem kogoś. Jezusa spotyka więc dokładnie ten sam mechanizm psychologiczny i antropologiczny, czyli złość społeczności skupia się na jednym, co doprowadza do Jego śmierci. Natomiast opowieść biblijna bardzo eksponuje tę przemoc, pokazując tym samym całą dramatyczną prawdę o człowieku. Jezus jest prawdziwym Bogiem, nie ukrywa swej śmierci. I co ciekawe, potem nie następuje żadne kiczowate pojednanie z tymi, którzy Go zabili. Pozostaje tylko garstka uczniów, którzy głoszą zmartwychwstanie wbrew swojej społeczności. To kompletnie różni chrześcijaństwo od mitów założycielskich innych kultur, które badał Girard. On zresztą podobno nawrócił się w trakcie swoich badań antropologicznych, bo dostrzegł, że tu jest coś kompletnie innego.

Czyli podsumowując, drugie po demitologizacji spojrzenie na chrześcijaństwo zakłada, że jest ono antymitem przeciwstawiającym się...

...nieprawdziwym opowieściom. Wreszcie Bóg objawił siebie i swoją wolę. Czasem na różnych spotkaniach modlitewnych

słyszysz się: „Panie Boże, odsłoń nam swoją wolę”, ale przecież całe przesłanie mamy zawarte w Ewangelii. Logos objawia Ojca, mówi, kim jest Bóg, a kim człowiek, i jak mają się oni ze sobą komunikować. To jest dobra nowina w przeciwieństwie na przykład do greckich mitów, w których rządzi fatum. Cokolwiek byś zrobił – jak w opowieści o Edypie – los cię dorwie i stłamsi w podstępny sposób. W chrześcijaństwie jest odwrotnie: Jezus jest Logosem, czyli porządkiem, i o tym porządku opowiada, i daje do niego dostęp.

A powiedz, jak podejść do tego napięcia między historycznością a mitycznością w Biblii?

Dzięki różnym zarzutom wobec chrześcijaństwa rozwijają się badania historyczne wokół Biblii. Zresztą już od samego początku ojcowie Kościoła, badając Pismo Święte, widzieli w nim różne sensy. Dzięki pracom naukowym, wzmożonym od XIX wieku, potrafimy odróżnić w Biblii gatunki literackie czy określić poziom historyczności danych treści. Wiemy, że Ewangelie pisane są z czterech różnych perspektyw, żadna nie jest kroniką, a także mamy świadomość, że pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju mają wymiar mityczny; historia zaczyna się od Abrahama, wcześniej jest prehistoria.

Mamy jeszcze trzeci sposób patrzenia na chrześcijaństwo...

Tak, pisał o tym choćby wspomniany C.S. Lewis. Okazuje się bowiem, że w podejściu antymitycznym coś jednak tracimy. Jeśli

mity są nagromadzonymi opowieściami danej społeczności albo – jakby to powiedział C.G. Jung – wyrazem nieświadomości danej kultury, to niosą one wiele mądrych, ważnych treści, których chrześcijaństwo nie jest prostym przeciwstawieniem, ale wypełnieniem.

Tutaj więc warto sięgnąć do koncepcji o rozsianym Logosie, wymyślonej przez Justyna Męczennika. Jezus, jak mówi prolog Ewangelii św. Jana, jest Logosem, czyli zasadą, porządkiem, słowem, mądrością. Ale zanim On się objawił, w świecie była mądrość, było dobro, piękno, które są właśnie tymi okruciami Logosu. Bóg stworzył mądry, dobry świat i poznając go, jakoś po omacku, przez doświadczanie rzeczywistości, ludzie w różnym stopniu dotykali samego Boga. Na tej koncepcji opiera się dziś na przykład cała teologia dialogu międzyreligijnego.

Podobnie będzie więc z mitami. Skoro są to opowieści, które poruszają najważniejsze tęsknoty i prawdy, a przy tym niosą wiele mądrości, to Chrystus – przyjmując przez wcielenie wszystko, co ludzkie – przyjmuje też ten sposób myślenia człowieka, który wyraża się przez opowieści, storytelling. Jeśli więc w różnych kulturach powracał obraz przebóstwionego człowieka, to w swoim przyjściu Jezus Chrystus mówi: „Ta tęsknota, którą nosiliście w sobie, już się zrealizowała, bo Ja stałem się człowiekiem, żebyście wy mogli być dziećmi Bożymi”. I oczywiście – tak jak mówiliśmy – mity niosły prawdę i nieprawdę, więc ta opowieść musi być ociosana, ale tęsknota, będąca ważnym jej elementem, została wypełniona.

Idąc dalej, wobec promyka nadziei obecnego w zbiorowej nieświadomości – nadziei, że to, co święte, cyklicznie powstaje ze śmierci do życia i tym samym ją przekracza – Jezus mówi: „To Ja jestem wypełnieniem tej nadziei”. On odpowiada również i na tę tęsknotę niesioną w różnych kulturach. Właściwie można powiedzieć, że Jezus jest „mitem, który stał się faktem”.

Jezus wchodzący w ludzki mit?

Tak, C.S. Lewis nie będzie bał się tego powiedzieć. Gdyby się nad tym zastanowić, to większym problemem byłoby, jeśli nie istniałyby mity, które Jezus wypełnił – bo pojawiłby się Bóg, ale nie wiadomo skąd. A Jezus stał się prawdziwym człowiekiem, więc przyjął język, kulturę, uczucia, ciało, całe człowieczeństwo z całym naszym kontekstem, a my przecież żyjemy w świecie mitów.

Mimo że jestem chrześcijaninem, to nie muszę odrzucać dziedzictwa mitów antycznych. Wybrzmiewa we mnie opowieść o Odyseuszu przekonująca o tym, że życie jest tułaczką. Jeśli chcę być dojrzały, to nie mogę siedzieć na kanapie i przyglądać się światu z dystansu, nie chcąc popełnić błędu, tylko muszę wyruszyć – pobłądź i wróć do domu, stając się po drodze dojrzałym człowiekiem. I choć oczywiście jako chrześcijanin nie wierzę w żadne mityczne stwory, to jednak wyciągam z tej opowieści mądrość, którą ona przekazuje. Jezus wchodzi w te historie i pokazuje, że to, za czym w nich

tęskniliśmy i o czym sobie przez nie opowiadaliśmy, jakby trochę ukradkiem, On w sobie wypełnia. Ostatecznie Odyseusz nie odnajduje spokoju w swoim domu, więc ta opowieść jest otwarta na prawdę, że na tym świecie nie znajdę w pełni bezpiecznej przystani. To Chrystus jest dopowiedzeniem tej historii – wypełnienie tęsknoty za domem znajdę dopiero u Ojca w niebie.

A co ty, tak osobiście, myślisz o mitach w kontekście chrześcijaństwa?

Ostatnia z przedstawionych koncepcji jest mi bliska. Myślę, że ona współgra z wrażliwością katolicką i duchowością dominikańską, według których natura i łaska są czymś innym, ale warto ich nie przeciwstawiać, tylko pokazywać ich harmonię. Podobnie z wiarą i rozumem, wiarą i człowieczeństwem wyrażonym w kulturze – nie tyle widzieć różnice, ile ich jedność, to, że nawzajem się budują.

Oczywiście, gdy czytamy chrześcijaństwo w kontekście mitu, pojawiają się różnego rodzaju ryzyka. Widać to na przykładzie rozmaitych strategii ewangelizacyjnych. Załóżmy, że przyjeżdżamy do jakiegoś ludu, który ma swój święty gaj i – przyjmując, że Chrystus jest antymitem – stwierdzamy: „Kosimy!”, po czym uruchamiamy kosiarki, a na miejscu gaju stawiamy kościół, ogłaszając: „Wierzyliście w głupoty, tutaj jest prawdziwy Bóg – Jezus Chrystus”. Ale można też inaczej – wybudować kościół w samym środku świętego gaju i powiedzieć:

„Wy wierzyliście w pana natury, a to jest prawdziwy Pan natury. Coś o Nim wiedzieliście, czegoś o Nim nie wiedzieliście, ale teraz już wiecie”. Takie podejście korzysta z naturalnej religijności, zaprzęgając ją do rozwoju wiary, ale niesie ryzyko wprowadzenia elementów pogaństwa lub synkretyzmu, w którym na przykład święci stają się panteonem bóstw.

Mimo wszystko myślę, że wysiłek ciosania w naturalnej religijności jest lepszy niż próba wyrzeknięcia się tego, co naturalne. Bo czy nie przypomina to chociażby naszych zmagania z uczuciowością? Możemy próbować się spinać i izolować nasze uczucia od sfery wiary, by przypadkiem nie przejęły nad nami władzy – ale czy nie lepiej je po prostu jakoś wychowywać i zaprzęgać do wiary? Podobnie z ciałem i całym naszym człowieczeństwem, na które składa się też kultura, to, jak budujemy domy, jak śpiewamy, jak opowiadamy historie.

**Na koniec osobiste pytanie: czym dla ciebie jest wiara?
Nie definicyjnie – jak z perspektywy serca patrzysz na tę
rzeczywistość?**

Dla mnie wiara jest czymś bardzo intymnym. Mimo że głoszę kazania, bo jestem kaznodzieją, to często nie mam łatwości w dzieleniu się najbardziej osobistymi wymiarami wiary. Jak ją rozumiem? Staram się ją przeżywać jako odniesienie całego mojego życia, wszystkiego, co mnie stanowi, do Boga. Moich myśli, pragnień, tęsknot, uczuć, tego, co robię, czym się zajmuję, i tego, czego mi brakuje – wszystkich poziomów mojego człowieczeństwa

przeżywanych wobec Niego. By być z Bogiem nie tylko w tym, z czego jestem dumny lub w czym jestem silny, ale i tam, gdzie sobie nie radzę ze słabością czy grzechem. Wszystko przeżywać w odniesieniu do Boga.

GAWEL WŁODARCZYK OP – dominikanin, magister prawa UW i teologii UPJPII, duszpasterz.

12. WŁASNA DUCHOWOŚĆ

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Co ci przychodzi do głowy, gdy słyszysz słowo „duchowość”? Jak ją definiujesz w kontekście swojego życia? Może zacznijmy od ustalenia, czym ona jest, a czym nie jest, by potem zająć się tym, jak odkryć swoją własną, unikatową duchowość.

Przygotowując te refleksje, sięgnąłem do tekstów teologicznych, katechizmu i tradycji Kościoła. Jak się jednak okazało, definiowanie duchowości na podstawie tych źródeł wcale nie było takie proste. Postanowiłem więc wrzucić niektóre ze znalezionych tekstów do czatu GPT – niestety to, co wysłał mi jako odpowiedź, było kompletną bzdurą i totalnym bełkotem.

Dlaczego to takie trudne? Intuicyjnie przecież wiemy, czym jest duchowość, ale jednocześnie wymyka się ona sztywnym ramom słów czy pojęć. Na pewno postrzegamy ją jako coś przeciwnego materii; mówimy, że dotyczy wszystkiego, co w nas niematerialne. Mamy ciało, a także jesteśmy (mniej lub bardziej) świadomi swojej psychiki, duchowość zaś mieści się gdzieś na styku psychiki i ducha – to coś większego niż nasza świadomość psychiczna, bo dotyka nienamacalnego, ale czym dokładnie jest? Nie tak łatwo powiedzieć.

Wobec tych nie do końca satysfakcjonujących poszukiwań postanowiłem zebrać to, co powtarza się w różnych, potwierdzonych

tradycją źródeł – wspólne intuicje i przekonania. W ten sposób o duchowości można – po pierwsze – powiedzieć, że jest ona czymś niezwykle osobistym, związanym z tym, kim jestem, co lubię, jak przeżywam i odbieram świat, jakie mam doświadczenia i jaka jest moja historia życia. Duchowość to coś głęboko wewnętrznego – dotyczy mojego jestestwa, serca (w znaczeniu biblijnym, a nie biologicznym). Ona wpływa na moją wiarę i kształtuje jej przeżywanie, co oczywiście też oddziałuje na to, jak buduję relację z Bogiem i (w przypadku chrześcijan) w jakim stopniu podążam za naukami Chrystusa. Duchowość to wyraz tego, co wewnętrzne, uwidoczniony na zewnątrz; to wiara wychodząca ku życiu.

Po drugie, z duchowością ściśle łączy się serce, które według Pisma Świętego jest centrum człowieka, siedzibą tego, co w nas najistotniejsze, ośrodkiem woli i sumienia, rdzeniem tożsamości. To w sercu człowiek spotyka Pana Boga. Można więc powiedzieć, że duchowość wypływa z serca. Tu jest jej źródło, stąd duchowość każdego człowieka będzie nieco inna, bo każdy z nas ma własną historię i kształtujące go życiowe doświadczenia, a co za tym idzie – odmienny sposób czytania Biblii, modlitwy, doświadczenia Boga.

Po trzecie, duchowość łączy się też z tradycją, z której wyrosliśmy lub w jakiej wzrastamy. Pamiętam, jak kiedyś mój współbrat po jednym z pierwszych wygłoszonych kazań wyznał: „Po święceniach, po wielu latach formacji zakonnej i życia w świecie dominikańskim wychodzę na ambonę, zaczynam mówić kazanie i słyszę... swojego proboszcza z rodzinnej parafii”. Przeraził się

tym, że tak silnie jest w nim zakorzeniony rys tego miejsca, które oddziaływało na niego w dzieciństwie, i że nie potrafił z tego zrezygnować. Nasze parafie, instytucje zakonne, wspólnoty, grupy religijne, ale też teksty, które czytamy, słuchane kazania czy konferencje, spotkani ludzie – kształtują nas silniej, niż nam się wydaje. A to wszystko wpływa na naszą duchowość.

Widać więc, że duchowość nie jest czymś oderwanym od codzienności, jak niektórzy chcieliby sądzić, wyobrażając sobie człowieka duchowego jako kogoś unoszącego się kilka centymetrów nad ziemią i z głową w niebie. Duchowość jest zatem – pozwarte – ściśle związana z tym, co konkretne, codzienne, bo świat, kultura i ludzie, z którymi żyjemy, też ją kształtują. Co więcej, to działa również w drugą stronę, bo nasza duchowość wpływa na obrany sposób postępowania, a zatem też bycie w świecie i budowanie relacji z innymi. Przykład? Są osoby, które za ważny element swojej duchowości uznają ubóstwo na wzór Jezusa, stąd świadomie rezygnują z posiadania jakichś dóbr.

Co ciekawe, ten sam element duchowości może u różnych ludzi wyrażać się inaczej. Na przykład – trzymając się wspomnianego ubóstwa – czym innym będzie ubóstwo dla franciszkanina, a czym innym dla dominikanina, choć obydwa ślubują je jako sposób na życie. W duchowości dominikańskiej ubóstwo od samego początku naszego zakonu było środkiem do głoszenia Ewangelii i pomocą w nim, ponieważ my powstaliśmy dla kaznodziejstwa. U franciszkanów ubóstwo to styl życia, sposób spotkania Boga. Różnicę widać więc jak na dłoni, choć i tu, i tu ubóstwo jest elementem duchowości.

Co więcej, duchowość – wyrażając się w codzienności – będzie kształtowała na przykład naszą modlitwę, a także sposób przeżywania liturgii. Stąd czasem nie pasuje nam, jak jeden kapłan odprawia mszę, ale podoba nam się, jak robi to inny. Oczywiście nie chodzi o to, by nie korzystać z sakramentów, gdy nie odpowiada nam sposób ich sprawowania, ale aby mieć świadomość, że czasem potrzebujemy innej wspólnoty, by móc wzrastać. Między innymi w wyniku tej potrzeby świadomego i zgodnego ze swoją duchowością przeżywania wiary na przestrzeni wieków zrodziły się w Kościele różne nurty. Mówi się nie tylko o duchowości dominikańskiej, franciszkańskiej, ale i benedyktyńskiej czy karmelitańskiej. Są one niczym różne drogi do jednego celu: Pana Boga. Inaczej realizują swoje misje i na czym innym się skupiają. Na przykład benedyktyni ze swoim *ora et labora* – łac. „módl się i pracuj” – widzą swoje powołanie w ciągłej modlitwie połączonej z pracą. Franciszkanie, zainspirowani życiem swojego założyciela, będą z kolei kładli akcent na ubóstwo, pokorę, ale i miłość do całego stworzenia. Nawiasem mówiąc, myślę, że franciszkanie mają też w swojej duchowości gościnność. Ilekroć jestem za granicą i mam możliwość nocowania we franciszkańskim klasztorze, zawsze jestem przyjmowany z otwartym sercem i miłością. Z kolei w dominikańskich klasztorach... cóż powiedzieć, bywało różnie. A skoro już mowa o duchowości dominikańskiej, to aby wydobyć jej istotę, trzeba sięgnąć do samych początków – św. Dominika. Był on człowiekiem gorliwej modlitwy i ten rys jest w naszej duchowości silnie obecny. Ponadto Dominik był wrażliwy na innych ludzi i pragnął

zbawienia wszystkich, stąd jest w nas chęć poświęcania czasu innym, otwartość na człowieka. Inny aspekt naszej duchowości to jedność z Kościołem i posłuszeństwo wobec niego – nie wiem, na ile potrafimy go realizować, ale na pewno to ważny element naszego powołania.

Poza duchowościami „zakonnymi” istnieją też inne elementy przeżywania wiary, które można określić jako duchowość charyzmatyczną czy biblijną. Ta pierwsza charakteryzuje się akcentowaniem działania Ducha Świętego przez modlitwę uwielbienia lub wstawienniczą, czy też korzystania z różnych darów duchowych. W duchowości biblijnej chodzi o znaczenie modlitwy słowem Bożym w życiu danej osoby – choć niektórzy twierdzą, że każda duchowość powinna odnosić się do Pisma Świętego i nie uznają jej za indywidualną cechę. Myślę jednak, że duchowość biblijna może też akcentować mocne przywiązanie do jakichś postaci biblijnych, ich historii czy misji, co dana osoba przeżywa także jako swój rys wewnętrzny.

Skoro już udało się nam częściowo określić, czym jest duchowość, na koniec trzeba zadać sobie pytanie (każdy osobiście): jaka jest moja duchowość? Może warto wziąć kartkę i długopis i zapisać sobie to, co przychodzi mi do głowy, gdy słyszę to pytanie. Świadomość własnej duchowości bardzo pomaga w rozwoju wiary. Aby łatwiej było ją określić, wymyśliłem cztery punkty. Szczera odpowiedź na nie może według mnie wydobyć to, co charakterystyczne dla każdego z nas:

W jaki sposób moja duchowość wyraża się na zewnątrz, czyli: jak moją duchowość można zaobserwować w życiu codziennym?

Jak się modlę? Jak odnoszę się do innych ludzi albo zachowuję względem nich?

Z czego czerpie moja duchowość? Jakie książki czytam? Jakie tradycje mnie kształtują? Czy któraś z zakonnych tradycji jest mi bliska? Jaki wpływ ma na mnie moja parafia rodzinna czy obecna? Czym się karmię? Co mi daje siłę w budowaniu relacji z Bogiem? A może moja duchowość jest „ziemią pustynną”, która aktualnie z niczego nie czerpie „wody”, więc usycha, umiera?

Do czego prowadzi mnie moja duchowość? Jakie konkretne działania z niej wynikają? Czy w ogóle wpływa ona na to, jak żyję? Czy przejawia się na zewnątrz? Co robię z moją duchowością? A może nie pozwalam jej „wyjść” ze mnie, tylko zamykam ją niczym zakopany w ziemi talent?

Gdzie w mojej duchowości dostrzegam problemy? Bo często, aby zobaczyć coś dobrego, trzeba przyjrzeć się temu, co nie działa, i znaleźć przyczynę. Takim sygnałem mówiącym wiele o naszej duchowości może być na przykład skrupulanctwo lub trudności w rozeznawaniu, podejmowaniu decyzji. Znalezienie problemu pozwala lepiej uchwycić to, co nas pociąga i daje wzrost.

13. KTO PÓJDZIE Z TOBĄ?

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Na początek chciałbym wyznać, że nie jestem entuzjastą określenia „kierownik duchowy”. Kojarzy się ono z kimś, kto kogoś prowadzi, narzucając mu coś, albo kto mówi innym, co mają robić i jak postępować – nie tyle doradza, ile nakazuje. Według mnie zupełnie nie na tym powinno polegać kierownictwo duchowe; chodzi w nim raczej o to, by po prostu być z tą drugą osobą, iść obok niej. Tak, używam tego pojęcia, bo na tyle silnie zapisało się już w języku, że trudno używać innego, ale według mnie należy mówić raczej o „towarzyszeniu” lub „braterstwie”. Będę więc dalej używał określenia „kierownik duchowy”, ale za każdym razem będzie chodziło bardziej o towarzyszenie niż prowadzenie.

Fragment Ewangelii, który według mnie (choć przyznaję, nie jest to moja oryginalna myśl) najlepiej oddaje to, kim jest kierownik duchowy, to opis spotkania dwóch uczniów z Jezusem Zmartwychwstałym w drodze do Emaus (por. Łk 24, 13–35). Ci dwaj wędrowali z Jerozolimy, w której dopiero co miały miejsce męka i śmierć Jezusa, do Emaus, czyli do jakiejś zabitej dechami wsi. Z centrum życia religijnego szli na totalne peryferia. Po co? Nie wiadomo, czemu zmierzali w zupełnie odwrotnym kierunku, niż powinni iść. Jednak właśnie wtedy dołączył się do nich Jezus i nie mówił im: „Hej, idziecie w złą stronę, wracajcie!”, tylko szedł

razem z nimi i delikatnie, spokojnie wyjaśniał im Pisma, których oni nie rozumieli.

Opowieść o drodze do Emaus jest dla mnie jako kierownika duchowego wyjaśnieniem, na czym polega moje zadanie. Mam towarzyszyć osobie, która jest w drodze – nawet jeśli idzie nie tam, gdzie powinna, nawet jeśli wektor tej drogi jest błędny. Mimo że czasem chciałoby się powiedzieć: „Hej, zawróć! Tam znajdziesz Pana Boga, tamta droga jest lepsza”, zadaniem kierownika duchowego jest przyłączenie się i wędrówka razem z drugą osobą, czyli wspólne poszukiwanie prawdy, wyjaśnianie słowa Bożego, pokazywanie sposobów pogłębienia relacji z Bogiem, odkrywanie sensu Jego nakazów.

Co ważne, trzeba dostrzec też różnicę między kierownikiem duchowym a spowiednikiem – bo to dwie różne role. Stały spowiednik to kapłan katolicki, do którego regularnie przychodzimy, aby przed Bogiem wyznać nasze grzechy i w imię Jezusa Chrystusa za jego pośrednictwem uzyskać ich przebaczenie. Podczas spowiedzi nie musi wydarzyć się element pouczenia czy rady; naukę można w tym sakramencie pominąć. Natomiast kiedy mówimy o kierownictwie duchowym, to chodzi właśnie o towarzyszenie też przez rozmowę połączoną z wyjaśnianiem, czasami radą. Niekiedy jakiś ksiądz jest jednocześnie czyimś kierownikiem i spowiednikiem i ma to swoje dobre skutki, ale spokojnie można też te funkcje rozdzielić – co zresztą sugeruję. Kierownik duchowy nie musi być kapłanem; może to być zakonnik, zakonnica, osoba świecka, ktoś, kto pomaga wsłuchać się w Ducha Świętego działającego w życiu danej osoby. I czasem rzeczywiście tak jest,

że osoby świeckie czy siostry zakonne mają o wiele lepszą wrażliwość na Ducha Świętego i głębsze zrozumienie Ewangelii niż niektórzy kapłani.

W kierownictwie duchowym istotne są różne osie relacji: między osobą prowadzoną a Panem Bogiem, między osobą prowadzoną a prowadzącą oraz między osobą prowadzącą a Panem Bogiem. Mamy więc dwie osie poziome i dwie pionowe. Ważne, by „stykało” na wszystkich tych liniach. Bo przecież jeśli między prowadzącym a prowadzonym istnieje jakieś nieporozumienie, to wspólna droga będzie bardzo utrudniona. Jeżeli na przykład ich duchowości są na dwóch biegunach i jednemu bliżej do mistycznych uniesień, a drugi twardo stąpa po ziemi i szuka Boga w konkretach, to po jakimś czasie okaże się, że towarzyszenie nie rozwija, ale wręcz oddala od Boga, lub – co najgorsze – zaczyna być próbą złamania osoby prowadzonej i ukształtowania na wzór kierownika, w obcej jej duchowości.

Niestety niektórzy popełniają ten kardynalny błąd, że patrzą na kogoś, kto imponuje im bliskością relacji z Bogiem, fascynują się czyjąś duchowością lub tym, jak ta osoba przeżywa swoją wiarę, i chcą całkowicie ją w tym naśladować, rezygnując ze swojej indywidualnej duchowości. Co więcej, niektórzy ten zachwyt uznają za właściwe kryterium wyboru kierownika duchowego – to też fundamentalna pomyłka. Nie jest dobrze poprosić o kierownictwo kogoś, kto ma radykalnie inną duchowość. Moja duchowość powinna być zbliżona do duchowości mojego towarzysza, by nie zgrzytało między nami na poziomie rozumienia modlitwy czy postrzegania działania Pana Boga. Oczywiście

nigdy nie będzie tu idealnego dopasowania – wystarczy podobieństwo w tym, co najważniejsze.

W szukaniu dobrego kierownika duchowego trzeba też wziąć pod uwagę coś, co nazywamy potocznie „chemią”. Chodzi o taką sytuację, w której spotykasz człowieka i od razu czujesz, że się zgrywacie – coś ci w nim pasuje, rozumiesz jego słowa, gdy go słuchasz, dostrzegasz, że podobnie przeżywasz świat. „Chemia” to poczucie, że po ludzku nam do siebie blisko i że rozumiemy się na poziomie różnych spraw. Jeśli więc mamy z kimś w tym względzie zupełny rozjazd, całkowite niezrozumienie, nie pasujemy do siebie, to rzecz jasna nie ma sensu, by był on naszym kierownikiem duchowym, z którym będziemy dzielić się najintymniejszymi doświadczeniami wiary. Nawet jeśli to najwspanialszy człowiek na świecie, a nam nie jest ze sobą po drodze – czyli na przykład w moim przypadku nie ma on w sobie odpowiedniej dozy wolności, jest „sztywniakiem”, który nie potrafi znajdować wiary w różnych, często nieoczywistych aspektach życia codziennego, nie ma „luzu” i odpowiedniej dawki spontaniczności – to nie dogadamy się w kwestii towarzyszenia. Inną cechą, która dla mnie wyklucza kogoś z kierownictwa, jest niesłowność – jeśli ktoś w nieskończoność przekłada spotkania, zapomina o nich, to stanowi to realną przeszkodę, ale też psuje wspomnianą „chemię”.

Inną niezwykle ważną kwestią jest też umiejętność wspólnego wsluchiwania się w Ducha Świętego. Tak jak powiedziałem, kierownik powinien umieć działać w podwójnej relacji – słuchać zarówno Ducha, jak i osoby, z którą się spotyka. To jest w ogóle

jego główne zadanie: słuchać i rozeznawać, jak i dokąd Bóg prowadzi daną osobę. Stąd fundamentalnym przymiotem, który powinien posiadać kierownik duchowy, jest żywa relacja z Bogiem. Jeśli ktoś nie ma z Nim realnej bliskości, trudno, by prowadził ku Niemu kogoś innego i uczył wsłuchiwania się w Jego natchnienia. To konieczny wymóg względem kogoś, kto ma towarzyszyć! Idąc zaś dalej, tak jak ważna jest żywa więź kierownika duchowego z Bogiem, tak i relacja z osobą prowadzoną musi być szczerą i serdeczną.

Szukając dobrego kierownika duchowego, zwracałbym uwagę także na wiek. Sądzę, że zbyt młode osoby nie są dobrymi kandydatami. Oczywiście nie wykluczam tego definitywnie, choć na własnym przykładzie widzę, że lepiej zacząć robić to nieco później. Przez kilka początkowych lat mojego kapłaństwa miałem twardą zasadę, że zgadzam się na stałe spowiednictwo, nie na kierownictwo duchowe. Intuicyjnie (bo nie umiałem jeszcze wtedy tego nazwać) wyczuwałem, że jestem zbyt młody i mogę ulec przekonaniu, że wszystko wiem, przez co będę skłonny do narzucania swoich pomysłów i układania czyjegoś życia tak, jak mi się wydaje, że powinno ono wyglądać. Z upływem lat człowiek nabiera pokory, bo potknął się nieraz o swoje słabości i grzechy, pobijały go życiowe trudności, więc ma większą świadomość tego, że na wszystko potrzeba czasu, cierpliwego słuchania, wejścia w proces. Myślę więc, że wiek kierownika ma znaczenie – i choć dobrze nie wybierać najmłodszych, to też nie ma co przesadzać w drugą stronę i prosić o towarzyszenie mocno posuniętą w latach osobę, która ledwo ogarnia współczesny świat i realia życia.

Dobry kierownik to także ktoś świadomy tego, że drugi człowiek jest tajemnicą, której nie da się do końca zrozumieć. Uznanie zaś tej tajemnicy skutkuje szacunkiem i cierpliwością, przypominającymi gest Mojżesza zdejmującego sandały z nóg wobec świętości ziemi, po której stapał (por. Wj 3,5). Dobry kierownik nie wzbrania się przed chodzeniem z osobą prowadzoną po „błędnych” drogach, tak jak Jezus, który szedł z uczniami do Emaus, choć wiedział, że powinni wrócić do Jerozolimy. Kiedyś to nie było dla mnie oczywiste i pewnie gdybym kogoś wtedy prowadził, to próbowałbym zmieniać go od pierwszego spotkania. Dziś wiem (bo wielokrotnie tego doświadczyłem), że czasem najpierw trzeba iść razem szlakiem o przeciwnym wektorze. Teraz wiem i wiem, że jeżeli pozwalamy działać Duchowi Świętemu, to On nas poprowadzi, bo zna zarówno drogę, jak i serce człowieka. Zadaniem kierownika jest więc tylko nie zepsuć tej sytuacji i stworzyć przestrzeń do słuchania. Ja często posługuję się w kierownictwie Pismem Świętym, bo ono bardzo otwiera na Ducha Świętego.

Poza zbyt młodym wiekiem kierownika uważałbym też na skłonność do ingerowania w czyjąś wolność. W towarzystwie osoba prowadzona bardzo się odsłania przed drugim człowiekiem, a dawanie takiego dostępu do siebie może wiązać się z ryzykiem naruszenia wolności. Jeśli więc jakiś kierownik duchowy ma skłonność do jej łamania, do kategorycznych nakazów, mówienia, co masz robić, lub nieuwzględniających sprzeciwu rad, to jest to bardzo niepokojące – wręcz alarmujące. Kwestia wolności jest niezwykle ważna w kierownictwie, trzeba na nią zwracać

uwagę i jeśli w tej relacji zdarza się jej naruszenie, zdecydowanie trzeba to przerwać, odejść, zmienić kierownika.

Kim zatem nie jest kierownik duchowy? Kimś, kto podejmuje za mnie decyzje. Jeżeli ktoś mnie pyta, co ma zrobić lub jak rozsądzić, czy coś jest grzechem lub nie, to odpowiadam: „Masz swoje sumienie”. Zadaniem kierownika duchowego jest bycie obok, towarzyszenie, odkrywanie Ducha Świętego, wsłuchanie się w słowo Boga, pomoc w modlitwie, wsparcie w rozwoju moralnym, wspólne poszukiwanie i odkrywanie, co jest dobre, a gdy ktoś zмага się z trudnościami – wsparcie na poziomie ludzkiego przeżywania różnych spraw (nie chodzi o pomoc psychologiczną, ale o taką, jaką daje każda zdrowa, szczerą relacją). Dobry kierownik to ktoś, kto idzie krok za prowadzoną osobą. Nie mówi więc, dokąd idziemy, ale przygląda się drodze, okolicznościom, wylaniającemu się celowi. Stąd powinien być to człowiek godny zaufania. Szczególnie jeśli ktoś ma tendencje skrupulanckie i zbyt dużą wagę przywiązuje do nieistotnych szczegółów, powinien szukać kierownika, któremu ufa i który będzie potrafił pokazać mu dobre proporcje spraw. Oczywiście – co bardzo ważne! – zaufanie nigdy nie może oznaczać ślepego posłuszeństwa. Nikt nie ma obowiązku bezwarunkowo wykonywać nakazów kierownika duchowego; posłuszeństwo jesteśmy winni tylko Bogu. Spowiednik czy kierownik nie mogą powiedzieć: „Pójdź za mną” – to raczej oni powinni iść za, a może raczej obok człowieka, a „Pójdź za Mną” to słowa, które są uzasadnione tylko w ustach Jezusa.

Jaki jest cel kierownictwa duchowego? Wolność i pokora – odkrycie i ugruntowanie tych dwóch w osobie prowadzonej tak,

by potrafiła powiedzieć Bogu: „Panie, czyń we mnie, co chcesz”. Taka otwartość to pokorna zgoda na to, by Duch Święty w niej działał i nieustannie wyzwalał ją z więzów prawa, a wypisywał w jej sercu swoje prawo miłości.

A teraz może kilka uwag natury technicznej. Jak często widywać się z kierownikiem duchowym? Według mnie powinno to być przynajmniej raz w miesiącu – to minimum, by nie stracić dynamiki codzienności i nie rozmawiać o zbyt ogólnych lub za bardzo szczegółowych sprawach. Wiem, że niektórzy praktykują rzadsze spotkania, ale mi bliższa jest większa częstotliwość, bo to daje szansę na odkrywanie Ducha Świętego w życiu codziennym i towarzyszenie w rzeczach, które dzieją się na bieżąco.

Jaka powinna być długość spotkań? Tu nie ma reguły. Ja jestem zwolennikiem około trzydziestu minut, bo taki czas daje szansę na spokojną rozmowę. Uważam, że spotkanie nie powinno przekroczyć godziny, bo wtedy najczęściej traci swoją dynamikę. Sam umawiam się z ludźmi na pół godziny i, jak obserwuję, przynosi to dobre skutki – ale oczywiście każdy kierownik ma swój styl, więc może to wyglądać różnie. W każdym razie nie warto oczekiwać, że będą to nie wiadomo jak długie spotkania.

Czy tę relację kierownictwa duchowego trzeba mieć zawsze w ten sposób oficjalnie nazwaną? Myślę, że nie. Czasem bywa tak, że ktoś, będąc w duszpasterstwie, regularnie spotyka się ze swoim duszpasterzem i dzieli się życiem duchowym – nie nazywa tego kierownictwem duchowym, ale *de facto* w nim jest.

Na koniec pozostało jeszcze jedno, fundamentalne pytanie: czy każdy potrzebuje kierownika duchowego w swoim życiu? Nie,

nie jest to konieczne. Sądzę jednak, że są sytuacje albo okresy w życiu, gdy posiadanie takiego towarzysza jest bardzo pomocne – szczególnie, jeśli przeżywamy jakieś trudności w wierze lub po prostu chcemy silniej budować więź z Bogiem. Bycie w kierownictwie duchowym mobilizuje do wzrostu, działania, co może być szczególnie potrzebne w zabieganym trybie życia. Osobiście polecam taką praktykę, ale jeszcze bardziej zachęcam do zbadania, czego każdy z nas aktualnie najbardziej potrzebuje. Dopiero gdy dostrzegę, co jest w moim sercu, w zgodzie z własnym sumieniem mogę podjąć decyzję o poszukiwaniu lub nieposzukiwaniu kierownika duchowego.

CZEŚĆ III
PIENIĄDZE

14. WOLNY PIENIĄDZ

O PODEJŚCIE DO BOGACTWA I FINANSE W KOŚCIELE
PYTA PAWEŁ SURGA

Dawid Kołodziejczyk OP: W tej rozmowie role się odwrócą – ja będę odpowiadał, a Paweł będzie pytał o pieniądze, bo to jego żywioł i codzienność. Oddaję więc pałeczkę.

Paweł Surga: Na początek pytanie o twoje doświadczenie pieniądza. Czy pieniądze są czymś złym? W moim doświadczeniu to temat trudny; z reguły ludzie nie chcą o nim rozmawiać. Jak to u ciebie wygląda?

Ale jak to? Przecież jako pracownik banku musisz gadać o pieniądzach!

W pracy tak, ale z rodziną i w Kościele to nie takie łatwe, dlatego cię pytam.

Wiesz, do pieniędzy podchodzę jak do narzędzi. Są nam dane i ułatwiają nam życie. Patrząc wstecz, w dawnych czasach ludzie wymieniali się towarami – jeden przynosił owcę, inny zboże, kolejny chleb – i to było o wiele bardziej skomplikowane. Dziś posługujemy się pieniędzmi i to ułatwia nam

funkcjonowanie. A współcześnie nawet nie musimy ich mieć fizycznie, bo przecież obracamy nimi za pośrednictwem telefonów czy kart. Pieniądze dają nam szansę prościej wymieniać się różnymi towarami.

A troska o stan konta? Czy pieniądze mają dla ciebie jakąś wartość?

Jeśli pytasz mnie o to, czy pieniądze są dobre, to myślę sobie, że zależy, w czyich rękach się znajdują i czemu służą. Tak samo jak nóż może być czymś pomocnym do krojenia cebuli, ale jeśli ktoś wykorzysta go, by wyrządzić innemu krzywdę, to już zupełnie inna sprawa. Podobnie z pieniędzmi. Jeżeli umiesz zrobić z nich właściwy użytek, to one są dobre, bo służą dobru. Jeśli jednak nie umiesz z nich korzystać, to służą złu. Wszystko zależy więc od tego, kto tymi pieniędzmi zarządza.

Natomiast w kwestii konta – pytasz o moje prywatne czy kasę klasztorną? Bo jak wiesz, aktualnie jestem ekonomem klasztoru, w którym mieszkam*.

Oczywiście nie pytam o stan kasy klasztornej, tylko o podejście do gromadzenia pieniędzy. W Piśmie Świętym możemy przeczytać, że „korzeniem wszelkiego zła jest chciwość pieniędzy” (1 Tm 6,10). Zastanawiam się nad różnicą między

* Obecnie (2025 r.) o. Dawid nie mieszka już w Warszawie, stąd nie pełni też funkcji ekonoma klasztornego – przyp. red.

chciwością a chęcią posiadania, która chyba nie jest z gruntu zgubna, prawda?

Sam pieniądź jest neutralny – to, o czym mówisz, to kwestia serca człowieka. Stąd są ludzie, którzy zarabiają pieniądze, czasem nawet spore, mają je na koncie, ale jednocześnie zachowują wobec nich wolność. Ale są i tacy, którzy tracą wolność względem pieniędzy. Dzieje się to, gdy celem jest samo gromadzenie pieniędzy, ich posiadanie, a nie jakieś dobro, które można za nie uzyskać, na przykład: zadbanie o rodzinę, kupienie domu, inwestowanie w rozwój osobisty lub odpoczynek. Jeśli skupimy się tylko na tym, by mieć pieniądze, a nie nauczymy się ich wydawać na dobre rzeczy, one zaczną nami rządzić. Natomiast jeśli ktoś dużo zarabia i robi z tego godziwy użytek, to tylko się cieszyć i dziękować Bogu za bogactwo.

W Starym Testamencie bogactwo jest czymś pożądanym; przestrzega się je nawet jako przejaw błogosławieństwa Bożego. Jak byś to skomentował?

Tak, w Starym Przymierzu panowało przekonanie, że jeśli ktoś jest bogaty, ma dużo dzieci i obfite plony, to znaczy, że Bóg mu błogosławi, a jeśli jest biedny lub bezdzietny, to prawdopodobnie zgrzeszył i Bóg się od niego odwrócił. Tylko Hiob przełamuje ten koncept i na oskarżenia żony i przyjaciół, że pewnie ubliżył w czymś Bogu, skoro spotyka go takie nieszczęście, odpowiada: „Nie zgrzeszyłem. Pan Bóg wszystko mi zabrał, ale nie dlatego, że źle postępowałem” (por. Hi 10,7).

Słyszymy tam, że Bóg dał i Bóg zabrał. Czy On rzeczywiście zabiera?

„Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!” (Hi 1,21). Tych słów nie powinniśmy czytać literalnie, bo pogubimy się w ich rozumieniu. W tym stwierdzeniu chodzi o wyznanie wiary Hioba w to, że Bóg rządzi wszystkim, jakby chciał powiedzieć: „Bóg jest moim Panem. Jeżeli teraz mam żyć w takich okolicznościach, to przyjmuję to, poradzę sobie”.

A jak rozumieć słowa z Ewangelii o tym, że bogatym będzie trudno wejść do Królestwa Bożego (por. Łk 18,24)? Można się zbawić, będąc bogatym?

To, że trudno wejść, nie oznacza, iż nie jest to możliwe. Myślę, że Pan Bóg w tych słowach chce nas uwrażliwić na to, że pieniądze mogą stać się bożkiem w naszym życiu. Często się zdarza, że bardzo bogaci ludzie tracą z oczu inną niż tylko materialną perspektywę. Było to widoczne w czasach Jezusa, więc On o tym mówi. Ewangelia pokazuje jednak też kilku bogatych ludzi, którzy potrafili pójść za Panem Jezusem. Weźmy na przykład celnika Mateusza: Jezus go powołał, gdy mu się bardzo powodziło finansowo – kolaborował z Rzymem, zarabiał prawdopodobnie na przywłaszczaniu sobie cła. Przez innych Żydów był uważany za grzesznika, ale biedny nie był. Jezus go powołał, a on swoją odpowiedzią pokazał, że jego celem życiowym nie było bycie blisko pieniędzy. Albo Zacheusz, w którym Jezus dostrzegł ogromną

wiarę – to człowiek gotowy poczwórn timer wynagrodzić tym, których skrzywdził.

Kluczem jest więc odpowiedź na pytanie, czy posiadane przez nas pieniądze – niezależnie, czy mamy na koncie tysiąc, dziesięć tysięcy czy milion złotych – związują nasze serce. Naprawdę kwota nie ma znaczenia, bo można mieć serce przywiązane do pieniędzy, będąc zakonnikiem i posiadając kilkaset złotych na swoim koncie. A można mieć miliony na koncie i być wolnym od przywiązania do nich. Oczywiście, im więcej pieniędzy się posiada, tym trudniej o taką wolność.

U ojców pustyni czytamy, że pewnego dnia do jednego z nich, bodajże abba Pojmena, przyszedł diabeł i zaczął go kusić: „Abba, dam ci tysiąc złotych monet za twoją chatę. Wyprowadź się i wróc do miasta”. Abba na to: „Nie”. Diabeł kontynuował: „Dam ci pięć tysięcy złotych monet za twoją chatę” – „Nie”. „Dam ci sto tysięcy” – i wtedy abba poszedł za szafę, wyciągnął miotłę i przegonił diabła. Na co uczeń, który widział całą scenę, zapytał: „Abba, jak to jest? Gdy dawał tysiąc i pięć tysięcy, ty się nawet nie ruszyłeś, a gdy zaproponował sto tysięcy, nagle się oburzyłeś i przegoniłeś go”. Abba popatrzył na niego i rzekł: „Widzisz, on po prostu bardzo niebezpiecznie zbliżył się do mojej ceny”.

Myślę, że warto sobie uświadomić, iż są w nas jakieś granice wytrzymałości. Nie możemy być do końca pewni tego, jak coś na nas wpłynie – także pieniądze. Pewnie nikt z nas nie potrafi dokładnie ocenić, gdzie przebiega granica, za którą to pieniądze będą nami rządzić, a nie my pieniędzmi. O tym, że zapatrzenie

w pieniądze powoduje utratę czegoś bardzo ważnego, opowiada też znana powszechnie *Opowieść wigilijna* Dickensa.

A co powiesz na historię bogatego młodzieńca, który w swoim życiu spełniał wszystkie przykazania – można więc powiedzieć, że był blisko Królestwa – a gdy Jezus zaproponował mu, by cały majątek rozdał ubogim i poszedł za Nim, to nie był w stanie tego zrobić (por. Mt 19,16–22)?

Dla mnie to dość ekstremalny przykład, którego znów nie powinno się czytać zero-jedynkowo. Może Jezus dostrzegł, że serce tego chłopaka było związane bogactwem, dlatego mu to proponował. Pieniądze nie pozwalały mu być w gotowości na pójście za Bogiem. Ale oczywiście to nie jest zaproszenie dla każdego z nas. Jezus nie mówi nam, że jeśli nie wyzbędziemy się wszystkich pieniędzy i nie pójdziemy za Nim z entuzjazmem: „Alleluja i do przodu!”, to jesteśmy złymi chrześcijanami albo nie rozumiemy, o co chodzi w Ewangelii. Powołanie, do którego Jezus zaprosił tamtego młodzieńca, było powołaniem uczniowskim – na apostoła, czyli przenosząc na nasze czasy, powiedziałbym: czymś w stylu powołania do zakonu, w którym ślubuje się święte ubóstwo. To tak jakby dziś ktoś wstępujący do mniszego zakonu powiedział przełożonym: „Ale ja będę miał swoje konto, a na nim mój majątek, którym będę sam dysponował”. Oczywiście są ludzie, których Bóg powołuje do całkowitego ubóstwa – kimś takim był na przykład św. Antoni, który przechodząc obok kościoła, usłyszał właśnie tę Ewangelię o bogatym młodzieńcu

i zrobił to, na co tamten się nie zdecydował: wyrzucił się wszystkim i zaczął żyć ubogo.

Takie zaproszenie, jak się łatwo domyślić, nigdy nie będzie skierowane do męża i ojca, który ma na utrzymaniu rodzinę. Myślę, że w ogóle większości ludzi nie dotyczy takie powołanie do całkowitego ubóstwa.

Czyli prawdziwy katolik to nie musi być ktoś, kto właśnie rozdał cały majątek ubogim i teraz skupia się na pogłębianiu wiary – katolik może być człowiekiem zamożnym, tak?

Dla mnie katolik to ktoś, kto twardo stąpa po ziemi, ale głowę ma wyciągniętą ku górze – ku Panu Bogu. Jeżeli nie żyjesz na ziemi, tylko w chmurach, to coś jest nie tak z twoją wiarą. Naszym zadaniem jest korzystać z ziemi, czynić ją sobie poddaną (por. Rdz 1,28) i troszczyć się o bliźnich na tyle, na ile możemy. Obraz katolika jako kogoś, kto rozdał majątek, zaszył się w kościele i pozwala się traktować jak popychadło, jest nieprawdziwy.

Jak zatem zarządzać pieniędzmi? W tym kontekście chciałbym zapytać cię o przypowieść o talentach, w której czytamy, że trzech słudzy dostali kolejno pięć, trzy i jeden talent. Różnie poradzi sobie z zadaniem gospodarowania majątkiem. Ten sługa, który dostał najmniej, słabo wypełnił polecenie i właściciel go skarcił, mówiąc: „Powinieneś więc być oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrał swoją własność” (Mt 25,27), a potem padają

jeszcze słowa: „Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma” (Mt 25,29). Czy to jest w porządku? Bo jeśli przeczytamy to zdanie w kontekście ubogich ludzi, to dlaczego ma im być zabrane to niewiele, które posiadają?

Jak zarządzać pieniędzmi? No wiesz, to pytanie do ciebie – bankowca. Ale mówiąc serio, w przypowieści o talentach rzeczywiście pojawia się starożytna jednostka monetarna: talent. Strasznie niesprawiedliwe jednak byłoby przeczytanie jej tylko dosłownie. Myślę, że kluczem do właściwej interpretacji tej przypowieści jest słowo „pasywność”. Trzeci sługa niczego nie zarobił, bo schował talent na później. On nawet nie zadał sobie trudu, by pójść do bankierów i u nich przechować pieniądze, żeby był z tego choć mały procent. Zero aktywności, zero starania. A nie da się niczego zbudować, jeśli nie włożysz w to przynajmniej odrobiny energii. Podobnie nie da się być blisko Pana Boga, jeśli choć trochę się w to nie zaangażujesz. Pewnie znasz to ze swojej pracy, bo czy – założmy – mając pięćdziesięciu klientów, stwierdzasz, że nie trzeba w nich inwestować? A gdy dzwonią, nie odbierasz od nich telefonów?

To prawda, zaangażowanie jest ważną miarą sukcesu. Zresztą i pieniądze lubią zaangażowanie, pracę nad nimi.

Tak samo w innych dziedzinach naszego życia – w relacji z Bogiem, bliskimi, przyjaciółmi. Jesteście z Dorotą małżeństwem już

ponad dwadzieścia lat; wyznałeś jej przy ołtarzu, że ją kochasz. Czy to wystarczy? Przecież nie mówisz do niej, jak w tym dowcipie: „Powiedziałem raz, nie cofnąłem, więcej nie muszę powtarzać”. Potrzeba ciągłego zaangażowania w budowanie miłości – inaczej się nie da. Tak więc przesłanie tej przypowieści nie dotyczy zarządzania pieniędzmi, ale napięcia między pasywnością a zaangażowaniem.

Wspominałeś wcześniej o trosce o bliźnich. Kościół przykład do niej dużą wagę. Jednocześnie słyszy się wśród wierzących wiele dyskusji na temat dobrego gospodarowania pieniędzmi i rozsądnego ich wydawania – także przez Kościół. Jak to się ma do takich inwestycji, jak chociażby budowa bazyliki w Licheniu, która kosztowała dwieście milionów złotych, albo pomnika Chrystusa Króla w Świebodzinie za sześć milionów złotych*? Jak to uzasadnić? Co byś powiedział ludziom, którzy uważają, że te pieniądze można było lepiej spżytkować, na przykład na troskę o ubogich i potrzebujących?

Ten temat ma wiele aspektów. Jeśli pytasz mnie o to, czy pomnik w Świebodzinie lub bazylika w Licheniu są potrzebne, to uważam, że nie są. Podobnie jak kolejne pomniki Jana Pawła II. Co innego, jeśli ktoś mnie pyta o budowanie kościołów – jestem za,

* Por. M. Markowski, *Bazylika w Licheniu: magiczne miejsce czy szczyt kiczu?*, [online:] <https://www.whitemad.pl/bazylika-w-licheniu-magiczne-miejsce-czy-szczyt-kiczu/> [dostęp: 19.02.2025]; *Chrystus ze Świebodzina ma 7 lat. Zobacz, jak go budowano*, [online:] <https://tvn24.pl/poznan/chrystus-ze-swiebodzina-ma-7-lat-zobacz-jak-go-budowano-ra792001-ls2574527> [dostęp: 19.02.2025].

ale z zaznaczeniem, że powinny być piękne (w moim odczuciu estetyki – nie barokowe czy według okropnej stylistyki lat dwięćdziesiątych), by mogły służyć sprawowanej w niej liturgii.

Miliony wydane na wspomniane przez ciebie inwestycje według mnie mogły być o wiele lepiej spożytkowane. Jestem jednak w stanie wyobrazić sobie, że ktoś może mieć inne zdanie w tej kwestii i zarzucić mi, że się czepiam, bo na przykład te budynki czy pomniki powstały z dobrowolnych składek ludzi, którzy chcieli w to zainwestować. Dlaczego moje zdanie miałoby kogoś ograniczać w wydawaniu jego pieniędzy na ogromne pomniki czy bazyliki? Jeśli na przykład stwierdziłbyś, że chcesz złożyć wotum i oddać wszystkie swoje oszczędności na budowę kościoła czy kaplicy, to nie mam prawa cię powstrzymywać – to twoje pieniądze i twoja decyzja. Przyznam jednak, że sam nigdy nie przeznaczyłbym swoich pieniędzy na tego typu dzieła jak ogromne pomniki. Co więcej, nie byłbym też entuzjastą budowania kolejnego wielkiego kościoła w mieście, w którym i tak kościołów jest sporo – bo po co. Z drugiej strony uważam, że kościoły powinny być naprawdę piękne; może zatem powinno się ich budować mniej, ale za to niech będą one piękniejsze.

A jeśli chodzi o biednych, to nie unikniemy tego napięcia, na co powinniśmy wydawać nasze zarobione, zaoszczędzone pieniądze. Istnieje cały szereg różnych kwestii, które trzeba brać pod uwagę, podejmując takie decyzje. W tym kontekście chciałbym dodać, że jestem zwolennikiem totalnej przejrzystości finansów kościelnych. Powinno być klarownie udokumentowane, ile i na co się wydaje, a prowadzenie ewidencji w Kościele powinno

odbywać się analogicznie do tego, jak fundacje i stowarzyszenia co roku przygotowują sprawozdania. Sam byłem kiedyś ekonomem w klasztorze w Warszawie przy ul. Freta i gdy zrobiłem takie sprawozdanie w kościele, to ludzie byli poruszeni, bo pierwszy raz zobaczyli liczby na projektorze. Dlaczego nie mielibyśmy mówić osobom, które nas pytają, ile jako wspólnota braci wydajemy na jedzenie czy remonty? Kościół jest wspólnotą, więc każdy z nas zobowiązuje się do jej współtworzenia, co także powinno się wyrażać materialnie. Ogrzewanie w kościele czy prąd same się nie opłacą, więc jeśli ludzie dają nam na to pieniądze, to ich wydatkowanie powinno być przejrzyste i jasne dla wszystkich.

Spotkałem się z takim stwierdzeniem, że Pismo Święte może nie zabrania, ale odradza zaciąganie kredytu, bo to ogranicza naszą wolność. Jak ty do tego podchodzisz?

Po pierwsze oczywiście, że zaciągnięty kredyt ma wpływ na naszą wolność. Skoro wzięliśmy pożyczkę na dom czy mieszkanie, prędzej czy później musimy ją spłacić, a jeśli tego nie robimy, to musimy oddać mieszkanie – tak czy siak mamy więc ograniczone możliwości. Z drugiej strony, kto w dzisiejszym świecie jest w stanie nabyć mieszkanie bez kredytu? Dla większości to niemożliwe, bo trzeba mieć mnóstwo pieniędzy, by kupić mieszkanie za gotówkę. Kredyt rzeczywiście jest ograniczający i ryzykowny, bo przecież nikt z nas nie wie, co będzie się działo w przyszłości, ale zaciągamy go z nadzieją, że uda się nam go spłacić. Na chwilę zbacząc z wątku, dodam tylko, że kredyt kojarzy mi się trochę

z duchowością. Gdybyśmy na długie lata rozpisywali sobie – niczym raty kredytu – działania, które mają pogłębić naszą relację z Bogiem, to efekt mógłby być naprawdę świetny.

Natomiast wracając do tematu – czytałem kiedyś o biskupie Albrechcie Hohenzollernie, który zarządzał dwoma biskupstwami: Moguncją i Magdeburgiem. Ponieważ jedna z jego diecezji była zadłużona, to wymyślił, że spłaci jej dług, zaciągając pożyczki u bankierów w drugiej diecezji. Żeby pozbyć się tego długu, zdecydował, że na całym terenie przez niego zarządzanym będzie się za odpowiednią kwotę udzielać odpustów, by w ten sposób pozyskać potrzebne pieniądze. A żeby było śmieszniej (a raczej tragiczniej) ten biskup zaciągnął wspomniany dług nie na siebie, tylko na Stolicę Apostolską. Przytaczam ten przykład oczywiście nie po to, by promować handel odpustami, ale by pokazać pewien niebezpieczny mechanizm – uwikłanie w długi może prowadzić do wypaczenia postrzegania rzeczywistości duchowej. Jeśli więc mamy możliwość nie być zadłużonym, warto z niej skorzystać.

Dziś wielu ludzi bierze kredyty, by rozpocząć jakąś działalność, założyć start-up czy przeprowadzić projekt naukowy. Liczba osób, które chcą wziąć kredyt, rośnie, a to napędza rynek. Jednak każdy dług jest długiem i kiedyś trzeba będzie go spłacić.

Przygotowując się do naszej rozmowy, chodziłem po księgarniach katolickich i szukałem pozycji dotyczących finansów oraz kredytów. Co ciekawe, temat kredytu poruszany jest w zasadzie tylko w rozdziałach noszących tytuły: „Kłopoty”

lub „Wychodzenie z kredytów”. Niewiele można przeczytać o tym, jak planować finanse i jak podchodzić do pożyczek.

Według mnie kredyt to świetne narzędzie, jeśli umie się nim zarządzać i z niego korzystać. Co więcej, gdyby nie systemy bankowe i możliwość wzięcia kredytów, wielu ludzi nie miałoby gdzie mieszkać, a rozwój technologii byłby zdecydowanie spowolniony. Można więc powiedzieć, że jest to jakiś rodzaj błogosławieństwa. Oczywiście problem zaczyna się wtedy, gdy pojawiają się lichwiarskie procenty i pseudobanki, ale to już zupełnie inny temat.

Chciałem zapytać jeszcze o dziesięcinę. Czy należy ją płacić? Czy ona była tylko nakazem obowiązującym w Starym Testamencie? Jak podejść do „rozliczeń finansowych” z Panem Bogiem?

Mówiąc pół żartem, pół serio, przyjmę każdą dziesięcinę na *Puzzle Wiary* – co więcej, mam już plan, co z nią zrobię*. Natomiast sięgając do Pisma Świętego, należy pamiętać, że ludzie Starego Testamentu funkcjonowali w zupełnie innym systemie monetarnym i państwowym. To czasy plemienności, kiedy większość ludzi zajmowała się rolnictwem. Co ważne, w Piśmie Świętym czytamy, że dziesięcina nie dotyczyła wszystkich (por. Lb 18,20–32; Pwt 18,1–8). Pierwsze plony ziemi miały zostać przekazane lewitom, którzy nie mieli ziemi – świadomie nie została im

* Gdybyś, drogi Czytelniku, chciał wesprzeć rozwój *Puzzle Wiary*, zapraszam do darowizny: <https://puzzlewiary.pl/wspierampuzzle/>.

przydzielona podczas wejścia do Ziemi Obiecanej, więc nie mogli jej uprawiać, bo ich zadaniem było sprawowanie kultu w świątyni jerozolimskiej. Cały lud przekazywał dziesiątą część owoców swojej pracy na roli lewitom na ich utrzymanie. Lewici byli więc zdani na łaskę pozostałych plemion Izraela. W praktyce oznaczało to, że jeśli wszystkim w danym roku źle się żyło – bo była susza czy nieurodzaj – to adekwatnie do sytuacji kapłanom też żyło się gorzej.

Z biblijnej perspektywy dziesięcina to po pierwsze wyraz wdzięczności wobec Pana Boga za Jego dary: dary ziemi, naszej pracy. Jak byśmy nie patrzyli, to ostatecznie zarobki każdego z nas – a raczej: wszystko, co mamy – są darem Bożym. To On nas podtrzymuje w istnieniu. Z drugiej strony dziesięcina jest związana z utrzymaniem kultu Pana Boga. Czy zatem obowiązuje dziś? Nie. Absolutnie nikt z nas nie ma współcześnie obowiązku oddawania dziesięciu procent swoich zarobków duchownym. Kościół ma jednak swoje przykazanie mówiące o tym, że należy wspierać wspólnotę datkami, by mogła ona dobrze funkcjonować. Jeśli więc jakaś grupa wiernych modli się w danej świątyni czy parafii, to od czasu do czasu dobrze wesprzeć to miejsce finansowo, bo rachunki, remont czy sprzątanie też kosztują. Parafie są utrzymywane przez wiernych, więc tego typu wsparcie jest ich powinnością, obowiązkiem.

W Polsce mamy trudność w kwestii finansowego wspierania parafii, a co za tym idzie – posługujących tam księży, prawdopodobnie z powodu zaszłości historycznych. Dawniej księżom żyło się bardzo dobrze, może nawet za dobrze. Ślady tych czasów

widać w postaci różnych rezydencji biskupich, pałaców. W tym kontekście z podziwem patrzyłem na piękny gest papieża Franciszka, kiedy to przeprowadził się z pałaców watykańskich do Domu św. Marty, by pokazać, że chce żyć ubogo. Jednocześnie jako ekonom pomyślałem: „Piękny gest, który w realu jednak sporo kosztuje, bo przystosowanie nowego obiektu nie jest takie proste, a i pałac trzeba utrzymywać dla następców”. Jednak mimo wszystko dla mnie to ważny symbol tego, że Kościół powinien żyć skromnie.

W kwestii wspierania Kościoła myślę, że dobrze jest posłuchać własnego serca i w ten sposób ocenić, jak mogę się zaangażować, by z jednej strony nie być jak sługa, który zakopał talent, a z drugiej też dzielić się według swoich możliwości. Warto znaleźć miejsca w Kościele, instytucje, parafie czy wspólnoty, które są żywe, aktywne, mają podobne do nas podejście do finansów, by je wspierać w działaniach. Dobrze wybrać „bankierów”, którzy rozsądnie i odpowiedzialnie zarządzają powierzonym im dobrem, a nie zakopują otrzymane pieniądze.

Czyli dziesięcina w nowym wymiarze to rozliczenia, ale bez użycia kalkulatora, tylko raczej wrażliwość i otwartość na potrzeby.

Tak, ważna jest świadomość potrzeb. Przyznam, że nie potrafię dopominać się u ludzi o pieniądze, chodzić, żebrać i mówić, że potrzebuję, bo budżet mi się nie spina. Stąd mam umowę z bł. Czesławem i modłę się do niego, gdy potrzebuję. Póki co zawsze

wyciągał mnie z rozmaitych finansowych tarapatów, a jak wiesz, już od paru ładnych lat pracuję w tej sakrofinansowej branży. Jestem więc przekonany, że Pan Bóg zatroszczy się o swój Kościół – zresztą to powiedział: „Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro” (Mt 6,32.34a).

PAWEŁ SURGA – senior relationship manager w mWealth Management. Pracuje w finansach i pomaga klientom w wyborze najlepszych dla nich produktów, aby mogli podejmować świadome decyzje dotyczące swoich finansów. Prywatnie jest tatą pięciorga dzieci, co stanowi dla niego jednocześnie największą radość i największe wyzwanie.

15. JAŁMUŻNA CZY POMOC CHARYTATYWNA?

Z ANNA STADNICKĄ I MARZENĄ MICHAŁOWSKĄ
O POMOCY, UKRAINIE I DAWANIU PIENIĘDZY

Dawid Kołodziejczyk OP: Od wielu lat jesteście związane z naszym dominikańskim klasztorem w Warszawie przy ul. Freta poprzez zaangażowanie w dzieła charytatywne. Jak to czasem określicie: „robicie dobro”. Opowiedzcie na początek o najważniejszych projektach i programach Charytatywnych Freta.

Marzena: Naszym flagowym programem jest dożywianie dzieci w szkołach. Liczba dzieci, którym fundujemy ciepłe posiłki – czy to w szkołach, czy w świetlicach – zmieniała się przez lata, ale w szczytowym momencie było to nawet około 250 dzieciaków. Inne rodzaje pomocy, które organizujemy, to akcje paczkowe na Boże Narodzenie i Wielkanoc oraz różne spotkania typu ferie czy wakacje w mieście.

Anna: Dość niespodziewanym „projektem”, z którego osobiście jestem bardzo dumna, jest lista naszych charytatywnych przyjaciół: tych, którzy przychodzą na co dzień albo w niedzielę czy święta do kościoła i zostają z nami, wspierają nas. Przyjaźnimy się i możemy na nich liczyć w każdej sytuacji.

Charytatywni Freta to też zarządzanie ogromnym budżetem – około 300 000 złotych rocznie, nie licząc niemierzalnych dóbr, czyli różnych paczek, które do was trafiają na przykład przy okazji świąt.

Marzena: Tak, patrząc na nasz magazynek, czyli pomieszczenie charytatywne, które pieszczotliwie nazywany „grajdołkiem”, to w ciągu roku – szczególnie w okolicy Bożego Narodzenia, gdy mamy zbiórkę darów – jest tam mnóstwo rzeczy, sprzętu, którego używamy do organizowania naszych dzieł, takich jak comiesięczne charytatywne niedziele czy jarmarki.

Oprócz wymienionych przez was dzieł Charytatywni Freta to też konkretna praca wielu wolontariuszy, prawda?

Anna: Wszystkie te działania rozwijały się w czasie, co uświadamiam sobie mocniej za każdym razem, gdy mam okazję – tak jak podczas naszej rozmowy – opowiadać o tym, co robimy na co dzień. Wszystkie projekty, takie jak korepetycje, akcje „Pomagamy starszym” i „Nasza młodzież pomaga Ukrainie” czy projekty związane z pomocą psychologiczną dla dzieci, młodzieży i rodziców, wymagają zaangażowania wielu osób. Jest tego sporo – trudno to zebrać i o tym wszystkim opowiedzieć...

Może zatem zapytam konkretnie o wasze wyjazdy do Ukrainy, przyjacielskie relacje i pomoc, która miała miejsce jeszcze zanim wybuchła wojna.

Anna: Naszym zaprzyjaźnionym ośrodkiem, do którego kierujemy pomoc, jest Fastów. Działamy razem i nawet trochę się śmiejemy, że teraz jesteśmy raczej wolontariuszkami w Fastowie, oddział Warszawa.

Fastów – przypomnę – to miejscowość oddalona 70 kilometrów od Kijowa, gdzie nasi bracia dominikanie prowadzą duży ośrodek pomocowy.

Marzena: Dokładnie, nazywa się on Centrum św. Marcina de Porrès. Nie zapominajmy też, że obok nich żyją i działają od wielu lat w tej społeczności nasze siostry dominikanki z Zielonek. Siostry razem z ojcami pomagają tym, którzy tej pomocy potrzebują, m.in. dzieciom niepełnosprawnym i osobom wykluczonym. Prowadzą tam też dom dziecka i rehabilitację dla najuboższych. Ten ośrodek tętnił życiem od wielu lat, zanim w Ukrainie zapanała sytuacja wojenna. Co roku na turnusy przyjeżdżały dzieci z Ługańska i Doniecka. Obecnie, rzecz jasna, nikt nie przyjeżdża na dłużej, ale dzień w dzień docierają kolejne osoby, które później ewakuowane są do Polski*.

Wiem, że spędziłaś wiele czasu w Ukrainie, szczególnie w ostatnich miesiącach przed wojną. Czy możesz podzielić się doświadczeniem pracy i życia w tamtym miejscu?

* Ta rozmowa została wyemitowana 22 marca 2022 roku, stąd informacje dotyczą pomocy udzielanej miesiąc po wybuchu wojny w Ukrainie. W pierwszych miesiącach 2022 roku ewakuowano niemal 2000 kobiet z dziećmi [przyp. red.].

Marzena: W połowie stycznia 2022 roku wróciłam z Fastowa z trzymiesięcznego wolontariatu – trzymiesięcznego, ponieważ tylko na taki okres pozwoliło mi państwo ukraińskie. Wróciłam, żeby wyrobić roczną wizę. Odebrałam ją dzień przed wybuchem wojny, więc obecnie – jak to Ania przed chwilą nazwała – jestem na wolontariacie w Fastowie, ale w oddziale Warszawa.

To był niesamowity czas, w którym poznałam ośrodek z innej strony. Wcześniej jeździliśmy z Anią, z młodzieżą i też z tobą, Dawidzie, zawożąc dary. Jednak gdy się tam mieszka, żyje, pracuje, to odmiennie patrzy się na potrzeby, braki i możliwości pomocy. Dlatego postanowiłam tam wrócić i wciąż pomagać. Jak widać, dobry Bóg inaczej widzi tę sprawę, więc na razie jestem tutaj i staramy się pomagać, jak tylko możemy.

Wszystkie dzieła, które podejmujecie, robicie z sercem, oddaniem i zaangażowaniem. Na ile ważny jest w tym dla was Pan Bóg?

Anna: Myślę, że to, iż działamy na Freta, świadczy o tym, że bardzo ważna jest dla nas przestrzeń duchowa – przestrzeń relacji z Bogiem. Osobiście mogę powiedzieć, że gdy powstawali Charytatywni, byłam w takim momencie życia, kiedy musiałam sobie odpowiedzieć na pytanie: „Co dalej?”. Skończyłam studia, zaczęłam pracę, ale nie miałam rodziny. Przyszło do mnie pytanie: „Jak żyć bez miłości?”, więc moje zaangażowanie na rzecz innych to była odpowiedź właśnie na tę potrzebę. Oczywiście nie w takim kluczu, żeby mnie było z tym dobrze, by nie być

samą, ale z chęci faktycznego, namacalnego spotkania z Bogiem w drugim człowieku.

Marzena: Jeśli chodzi o mnie, to jako wolontariusz działałam już od ponad dwudziestu lat. Przez ten czas pracowałam dla wielu różnych, ważnych instytucji i zawsze czegoś mi tam brakowało – ostoi, podwaliny. Gdy trafiłam do Warszawy i zaczęłyśmy wspólnie pracować z Anią przy jarmarku, z którego dochód przeznaczony był dla powodzian, zobaczyłam, że właśnie to jest to, czego mi brakowało: oparcie w wierze. Można robić fantastyczne rzeczy za niesamowite pieniądze w wielkich projektach fundacyjnych, w których ludzie nie są związani z Panem Bogiem albo to ukrywają, ale można też poświęcać swój czas tylko dlatego, że się tego pragnie, bo tak nakazuje mi serce. To po prostu wypływa z człowiekiem i w sumie nie jest ważne, czy będzie to robił od rana do nocy, czy będzie miał za to zapłatę, czy nie, bo wie, że Pan Bóg to widzi i zsyła łaski, o których nie da się opowiedzieć. My jesteśmy świadkami takich łask – naszych wewnętrznych uleceń, przemian w relacjach czy uzdrowień naszych bliskich. Trudno to wyrazić w słowach, ale z Bogiem jest łatwiej, dlatego wybieramy, że jesteśmy tutaj i jak długo będziemy mogli, tyle będziemy.

Powiedziałyście o swojej perspektywie – a gdybyśmy teraz zobaczyli te same działania z perspektywy osób, które dają pieniądze? Jaka jest według was różnica pomiędzy jałmużną chrześcijańską a gestem miłości wobec kogoś, kto potrzebuje pomocy?

Marzena: Gdy przypominam sobie osoby, z którymi robiliśmy różne projekty, to z moich obserwacji wynika, że jeśli ktoś robi to w parze z Panem Bogiem, to nie ma szybkiego syndromu spalania się. Czyli jeśli nie widzi efektu, nie traci sensu działania.

Anna: Nasze głowy przy działaniach pomocowych bardzo intensywnie pracują; przez lata pojawiało się mnóstwo pomysłów i niektóre z nich ewidentnie nie były na dany moment. Można się było na to zżymać i próbować pomimo niesprzyjających okoliczności, ale czasem lepiej było się wstrzymać i wyczekać chwili – nieraz przychodziła ona dopiero za kilka ładnych lat – kiedy pomysł mógł się zrealizować. To uczyło nas pokory. Podobnie jest z jałmużną. Gest miłosierdzia, który wykonujemy, powoduje powstanie specyficznej relacji pomiędzy tym, kto daje, a Panem Bogiem, a pewnie też i tym, kto dostaje. Nigdy nie działa to na zasadzie akcja-reakcja, tylko też czasem trzeba poczekać.

Marzena: Wszystko wymaga czasu; z Panem Bogiem łatwiej to zrozumieć, przyjąć, poczekać.

Anna: Być może pewne nasze pomysły nie wypaliłyby lub nie byłyby dobre dla tych osób, do których miały być skierowane, gdybyśmy je wdrożyli od razu. Trzeba więc na chwilę się cofnąć, poczekać, pozwolić Panu Bogu zadziałać – by On sprawił, że dojrzejemy do tego zarówno my, jak i osoby, dla których jest ta pomoc. Tak to czuję.

A macie doświadczenie działania charytatywnego, które nie przyniosło żadnego efektu i trzeba było się z tym pogodzić?

Marzena: Oj, na pewno! O większości skutków naszych działań nie wiemy.

Anna: Myślę też o ludziach, do których kierowaliśmy pomoc, ale z którymi musieliśmy się rozstać. Przez te wszystkie lata były odejścia, często niełatwe – bo choć bardzo chcieliśmy pomóc, nawet jeździliśmy do kogoś do domu i widzieliśmy biedę, więc stanęlibyśmy na głowie, by jakoś temu zaradzić – to jednak nasza pomoc była odrzucona. Ten ktoś nie chciał i odchodził. Mamy więc za sobą też takie trudne historie.

Kiedyś usłyszałem zdanie bodajże kardynała Krajewskiego, że jałmużna musi boleć tego, kto ją daje. Jeśli nie boli, to znaczy, że jest jakimś ochłapem. Co myślicie na ten temat?

Marzena: Według mnie jest tak, jak właśnie powiedziała Ania: starasz się pomóc, dajesz coś z siebie i czasami nie wychodzi, więc to na pewno boli. Naszą – moją i Ani – jałmużną jest czas i zaangażowanie. Nie jesteśmy w stanie wziąć uchodźców do domu ani jeździć po nocach po dworcach czy udzielać innej pomocy, bo nie mamy na to czasu. Całymi dniami zajmujemy się organizowaniem transportu darów i odbieraniem miliardów kosmicznych telefonów; czasami coś się uda, czasami nie. Więc to boląca praca, naprawdę.

Wyobraźcie sobie zatem, że przychodzę do was i wrzucam wam 10 złotych. Taka kwota mnie nie boli. Może powinienem dać – jak w Starym Testamencie – dziesięcinę od przychodów? Czy nie jest tak, że za mało dajemy?

Anna: Ufam, że Pan Jezus, przychodząc na świat, wszystkie te stare prawa poprzemieniał.

Marzena: Zdekapitował.

A może podniósł poprzeczkę do 25%?

Anna: W pewien sposób tak, bo do jałmużny dołożył relację. Stąd nawet jeśli ktoś podchodzi do naszego stoiska i daje te 10 złotych, które go nie boli, ale uda nam się zamienić z nim choć kilka słów lub usłyszy, czym się zajmujemy, i dzięki temu w sercu tej osoby zrodzi się jakaś dobra myśl – niekoniecznie modlitwa – to już jest co innego. Bo ten ktoś nie przeszedł obojętnie, zaangażował się. Dobrze, że istnieje Zrzutka czy Siepomaga, ale to, co my proponujemy od lat na Freta, to wychylenie się ku relacji. Do czasu wybuchu wojny w Ukrainie nigdy nie zbieraliśmy do koszyczka, zawsze staraliśmy się stworzyć okazję do spotkania przy naszym stoisku i coś oferowaliśmy w zamian – książkę, kawę, ciastko – bo wtedy można uchwycić moment budowania relacji.

W tym kontekście przypominają mi się słowa z Pisma Świętego: „Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną” (Łk 16,9).

Pieniądz może być dla chrześcijanina elementem budowania relacji. A jak to wygląda z osobami, którym udzielacie pomocy? Czy udaje się wam budować relacje?

Marzena: Kołaczą mi się po głowie dwie historie. Pierwsza bardzo stara, bo z początków naszej działalności, gdy pomagaliśmy młodemu chłopakowi, który był w więzieniu. Wysyłaliśmy mu paczki – jeszcze wtedy można było to robić – a on nam zawsze obiecywał, że jak tylko wyjdzie z więzienia, będzie nas wspierał. Wszyscy nam mówili: „Nie pomagajcie więźniom, bo oni oszukują”, ale co się okazało? Po zakończeniu wyroku ten chłopak przez pewien czas, miesiąc w miesiąc, wysyłał nam po 9 czy 10 złotych. To było naprawdę poruszające. Do tej pory mam wyrzuty sumienia, że go trochę zbyliśmy, gdy powiedział nam, że chce przyjechać i nam podziękować – jeśli czytasz te słowa, to bardzo Cię za to przepraszamy!

A druga sytuacja, to kiedy przy okazji zbiórki na Ukrainę poszła do nas starsza pani, bardzo chora, i trzęsącymi się rękoma wyjęła właśnie te wspomniane 10 złotych. To było niezwykle poruszające. Chwilę po niej przyszedł pewien mężczyzna i poprosił, żeby wbić na terminal 2000. Oczywiście bardzo dziękujemy temu panu, ale owe 10 złotych w moich oczach, w mojej duszy urosło do miliarda.

Ciekawe, że często kwestia sumy jest wtórna względem serca. Może to jest właśnie ta różnica między dobroczynnością a jałmużną – kiedy dając, otwieram się na relację z człowiekiem i zapraszam w to Boga.

Anna: Marzena wspomniała o społeczności przyjaciół Charytatywnych Freta. Obecnie widzimy ogrom różnych działań pomocowych dla Ukrainy, Polska jest po prostu zalana tymi gestami. Dochodzą do nas też głosy i pytania o to, po co organizujemy zbiórkę darów, skoro ludzie wpłacają pieniądze i można równie dobrze pojechać na wielkie hurtowe zakupy, a my sobie tylko dokładamy z tą zbiórką problemów. Oczywiście, jeśli ktoś chce nam przekazać tira z różnymi darami, to chętnie wyślemy go do Fastowa – przyjmemy wszystko, nawet dwa, trzy tiry. Ale właśnie to, że ludzie przychodzą i przynoszą rzeczy, sprawia, że buduje się społeczność. Relacje zawsze były znakiem rozpoznawczym Charytatywnych Freta i dzięki temu to wszystko tu działa. Rzecz jasna, nie zawsze mamy czas na dłuższą rozmowę, ale moment spotkania jest dla nas ważny.

Podczas waszej zbiórki dla Ukrainy widziałem paczkę przyniesioną przez pewnego pana. Były w niej trytytki, taśma klejąca i obrazki Pana Jezusa. Okazało się, że to jest zestaw dla żołnierza: trytytki – do wiązania więźniów, taśma – do zaklejania ust, a obrazki Pana Jezusa – by żołnierze schowali je sobie do mundurów i byli bezpieczni. Bardzo wzruszające.

Anna: Dlatego nie zrezygnujemy z tego – dopóki starczy nam sił, będziemy prowadzić naszą działalność w taki sposób.

Wielokrotnie zdarza mi się spotkać na ulicy osobę, która jest biedna i prosi o pieniądze. Przyznam, że zawsze mam z tym problem i pojawia się dylemat: dać czy nie dać, zaufać raczej

organizacjom pozarządowym i przez nie pomagać czy wrzucić te dwa złote i czuć się uspokojony. Nigdy nie wiadomo, jak ktoś wykorzysta te pieniądze, czy przypadkiem nie pomogę mu w szkodzeniu sobie. Jak się zachować? Co myślicie?

Marzena: To jest kwestia sumienia. Przypominają mi się dwie historie z mojego życia. Jedna sprzed około trzydziestu lat, kiedy to często chodziłam Krakowskim Przedmieściem w Lublinie i przy kościele św. Anny stała dziewczyna, zbierając pieniądze. Gdzieś pędziłam, ona zbierała, nigdy jej nie dawałam. Pewnego razu szłam i coś mnie zatrzymało – dosłownie, jakby mnie klepnęło w ramię. Wróciłam więc i rzuciłam jej pieniądze. Dwa dni później zobaczyłam ją w chustce onkologicznej. Ona naprawdę potrzebowała pomocy. Wcześniej przez wiele, wiele dni chodziłam tą drogą, mijałam tę dziewczynę i nic. Po dwóch, trzech tygodniach zniknęła; nie wiem, gdzie jest w tej chwili, ale wtedy pobudziło mnie to do refleksji. I dziś, jeśli mam taką intuicję, by dać, to daję – nawet pijanej osobie.

Inna historia, trochę bliższa, bo z tego roku. Szłam któregoś wieczoru koło banku NBP w Warszawie. Podszedł uchachany, pijany mężczyzna, złapał mnie za rękę i powiedział: „Może miałyby pani dla mnie sto złotych?”. Pomyślałam: „Inflacja inflacją, ale to lekka przesada”. No i nie dałam.

Myślę, że dawanie pieniędzy na ulicy to naprawdę kwestia sumienia. My odczuwamy ludzi. Jeżeli jesteśmy wierzący – a jesteśmy – to czujemy drugą osobę. Wierzę, że tamto spotkanie w Lublinie było inicjatywą mojego Anioła Stróża i teraz, gdy czuję, że powinnam dać, to zawsze wracam.

Ostatnio zresztą w metrze miałam taką sytuację, że był tam mężczyzna, który bardzo wcześniej zaczął dzień „na wesoło” i zbierał pieniądze, żeby go kontynuować. Mimo to byłam przekonana, żeby mu coś dać, więc się cofnęłam. Wręczyłam mu złotówkę, a on mnie pobłogosławił.

Anna: Ja z kolei miałam taki epizod w życiu, że byłam kierownikiem domu dla bezdomnych prowadzonym przez siostrę Chmielewską. Trafiają tam różne osoby i proszą o pomoc; czasem jest tak, że w jeden dzień wyposażasz kogoś w naprawdę wiele – dajesz wikt i opierunek, niekiedy nawet miejsce do pomieszkania – i następnego dnia ten ktoś po prostu znika. Jak się zachować? Czy oczekiwać wdzięczności? Liczyć, że dobrze wykorzysta otrzymaną pomoc? To doświadczenie przekonało mnie, że mam robić to, co jestem w stanie – tu i teraz.

Ponadto zgadzam się z tym, co mówi Marzena, o impulsie sumienia. Może jest to mało wymierne i pewnie nie jest to odpowiedź, jakiej wszyscy by oczekiwali. Czasem czujesz, że powinienś komuś dać, a czasem nie.

Przez to, że pracowałam u siostry Chmielewskiej, miałam sporo znajomych bezdomnych. Był na przykład taki pan Krzysiek, który jak „zabalował”, to często spotykałam go na „Patelni” przy metrze Centrum. Gdy przechodziłam, a go nie było, to nawet się denerwowałam, czy wszystko u niego w porządku. Ale nigdy nie dawałam mu pieniędzy, tylko zanosilałam jedzenie, bo wiedziałam, że kupuje alkohol – był w trakcie dużego „balu” trwającego kilka miesięcy.

Tu chyba chodzi właśnie o relację: by w tej osobie, która prosi, zobaczyć człowieka.

Mam podobne doświadczenie, że trudno jest dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie o pomoc na ulicy. Raz przyniosłem bezdomnemu kanapki, bo mnie o nie prosił, a potem zobaczyłem je w śmietniku. Jeden z jego kolegów powiedział mi: „On bez mięsa nie je, dlatego zostawił”.

Anna: To jeszcze jedna historia z Freta. Na ostatniej charytatywnej niedzieli mieliśmy tu pewnego pana. Spał nawet gdzieś w pobliżu, a dziewczyny dały mu wieczorem jakąś kanapkę. Chwilę później przyjechały dary – wiele kilogramów bardzo dobrej karmy dla zwierząt, którą wysłaliśmy potem do Ukrainy. Ten pan dołączył się do nas i pomagał nam to wszystko nosić. Podziękowałam mu za jego piękny odruch serca. Coś tu dostał, ale i dał coś od siebie.

Kiedyś głosiłem rekolekcje u Sióstr Miłosierdzia i któregoś dnia przełożona zaprosiła mnie na śniadanie z bezdomnymi, które codziennie przyrządzają. Powiedziała: „Popatrz, to nasi ludzie – nie oczekuj od nich, że wyjdą z bezdomności, że zmienią swoje życie, tylko daj im swoje serce”. Albo inna sytuacja – kiedyś przy metrze spotkałem chłopaka, który ostatecznie nie chciał ode mnie żadnych pieniędzy ani kanapek, tylko mówił: „Zostań ze mną, żebyśmy jeszcze chwilę porozmawiali”. To było bardzo przejmujące.

Na koniec mam do was trzy pytania o wiarę. Czym dla każdej z was osobiście jest wiara? Co was w niej umacnia? I co robicie, by jej nie stracić?

Marzena: Powiem krótko: wiara to sens mojego życia.

Ania: Dla mnie wiara to relacja z Bogiem – relacja, która nadaje kierunek mojej codzienności, mojemu życiu.

Co was umacnia w wierze? Lub co umacniało?

Marzena: Kiedyś u krakowskich dominikanów, gdy jeszcze nie byłam świadoma istnienia tego zakonu, na wystawie zobaczyłam obraz św. Jacka – też jeszcze wtedy nie wiedziałam, że to był on. Jacek niósł w rękach miskę pełną pierogów i rozdawał je. I to pierwsze spotkanie ze św. Jackiem było dla mnie ważne. Ale przede wszystkim głównym wyznacznikiem postępowania jest dla mnie Maryja. Stąd jestem Marzena Maria.

Anna: Dla mnie umocnienie w wierze daje na pewno modlitwa i relacja z Duchem Świętym. Staram się wsłuchiwać w Jego podpowiedzi.

Dziś wielu ludzi traci wiarę – co sprawia, że wy jej nie tracicie?

Marzena: U mnie codzienna msza święta. Chociaż przyznam, że odkąd wybuchła wojna, to trudno mi wyrwać się na moją

ukochaną „dwunastkę” z cudownymi babciami i biznesmenami robiącymi sobie przerwę w porze lunchu na modlitwę. Moją wiarę wzmacniają też ludzie, którzy właśnie teraz podejmują tak wiele oddolnych inicjatyw pomocowych – po stronie ukraińskiej, w Stanach czy w innych krajach – bo rzeczywiście odbieramy naprawdę dziesiątki poruszających i budujących telefonów oraz maili.

Anna: To, co mnie wzmacnia, co sprawia, że jestem w Kościele, i – jak to ujął nasz były duszpasterz – kocham Kościół mimo wszystko, to fakt, że jesteśmy w tym razem, tworzymy wspólnotę. A między nami jest Duch Święty i wzmacnia nas. I oczywiście Matka Boża – Ta, która jest i była, która wytrwała pod krzyżem.

Marzena: Na koniec chciałabym jeszcze podarować wam cytat z Pisma Świętego:

Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybysem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszlismy do Ciebie?”. A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,37–40).

ANNA STADNICKA – mama Jasia i Marianki, żona Pawła, prawnik, pracownik administracji publicznej, wolontariuszka, społecznik.

MARZENA MARIA MICHAŁOWSKA – społecznik, wolontariusz, pedagog, logopeda. Od początku wojny w Ukrainie kierowca kilkutonowych busów w kolumnach humanitarnych, wielbicielka muzyki filmowej i skoków narciarskich.

CHARYTATYWNI FRETA to grupa kilku osób, które w 2011 roku połączyły serca i siły, bo chciały sprawić, aby świat stał się lepszym miejscem. Obecnie głównym celem działalności grupy jest wsparcie działań humanitarnych prowadzonych przez dominikańskie Centrum św. Marcina de Porrès w Fastowie w Ukrainie. Ponadto grupa współpracuje ze szkołami działającymi w Warszawie, Krakowie oraz Skoczowie, m.in. prowadzi program dożywiania w szkołach, zapewnia profesjonalne wsparcie psychologiczne i terapeutyczne oraz doraźne materialne, przekazuje paczki świąteczne. W działania grupy zaangażowanych jest ponad 100 wolontariuszy. Grupa działa przy klasztorze oo. dominikanów w Warszawie przy ul. Freta 10.

ZAKOŃCZENIE

Wszystko zaczęło się po pandemii, kiedy życie Kościoła zaczynało wracać do budynków, ruch internetowy malał, a ludzie znów żyli codziennością. Przyznam, że uwielbiam właśnie taki stan rzeczy – nic nie może się równać z dotykiem drugiej osoby, z możliwością spotkania na żywo, ze szczerą rozmową. Jednak wraz z sielanką powrotu do niewirtualnej codzienności przyszedł też kryzys – kryzys wiary, odejść z Kościoła, czas trudności, niezrozumienia i bolesnego doświadczania kontekstu polityczno-religijnego, w którym funkcjonujemy. Sam doświadczyłem kryzysu, który był udziałem wielu, więc postanowiłem pytać i szukać. Tak powstał podcast, który po wielu konsultacjach nazwałem *Puzzle Wiary*. Skąd taka nazwa? I dlaczego tak wiele wysiłku, by ją wymyślić? Chciałem powiedzieć, że cały czas w swojej wierze próbuję układać różne puzzle, znajdować jej rozmaite odcienie i dopasowywać poszczególne elementy.

Po ponad dwóch latach nagrywania podcastów przyszedł czas i na książkę. Jeśli uważasz, że warto – proszę, poleć ją komuś, podaj dalej, wyślij linka; jest stale dostępna dla każdego na stronie www.puzzlewiary.pl i można ją pobrać za darmo w wersji elektronicznej. A jeśli chcesz i możesz, to wesprzyj działalność *Puzzle Wiary** – właśnie dzięki darowiznom przekazanym konkretnie na

* <https://puzzlewiary.pl/wspieram/>

ten cel powstała ta publikacja i możliwa jest jej dystrybucja przez moją stronę. Mam nadzieję, że będzie też dostępna drukiem.

Na koniec to, co dla mnie najważniejsze, czyli PODZIĘKOWANIA. Najpierw dziękuję za wszystkie działania i wsparcie związane z podcastem. Dziękuję wszystkim moim rozmówcom, moim przełożonym: Mirkowi, Adamowi i Pawłowi, którzy pozwolili mi prowadzić i rozwijać *Puzzle Wiary*, dziękuję współpracownikom: Zosi za grafikę, Marcie za plakaty, Joasi za wstępy, Paulinie za pomoc prawną, Joasi i Weronice za przepisywanie tekstów, Romanowi za stronę, Marcinowi za pomoc IT, Ireneuszowi za IG, Jasiowi, Łukaszowi i Jadzi za nieustanne kibicowanie, a także mojej rodzinie. Dziękuję też tym, którzy pracowali nad książką: przede wszystkim Zuzi za pomoc w ułożeniu koncepcji, redakcję i godziny przegadywania dosłownie wszystkiego, oraz dziękuję Krystianowi za darowiznę na wydanie tej publikacji. Dziękuję też serdecznie wszystkim słuchaczom *Puzzle Wiary* i mojemu ukochanemu błogosławionemu Czesławowi – patronowi i przyjacielowi od rzeczy wszelakich.

O AUTORZE

DAWID KOŁODZIEJCZYK OP

Do Zakonu Kaznodziejskiego (dominikanów) wstąpił w roku 2001, a w 2008 roku przyjął święcenia presbiteratu. Urodził się w Rzeszowie, jednak większość życia spędził w innych miastach. Duży sentyment żywi do Wrocławia, Warszawy i Krakowa, w którym mieszka od połowy 2024 roku.

Przez większość zakonnego życia zajmuje się sprawami administracji i finansów. Jako kapłan prowadził grupy studenckie, duszpasterstwo rodzin, przygotowywania do sakramentu małżeństwa. Nadzorował także kilka projektów internetowych, m. in. „Czytaj Słowo” i e-freta.

Od zawsze pasjonuje się Pismem Świętym. Uwielbia góry i ich majestatyczną ciszę, jeździ na łyżwach i rolkach, hobbystycznie uprawia squash; lubi wino, lekkie potrawy oraz dobre książki. Przede wszystkim jednak kocha spotkania z ludźmi.

PUZZLE WIARY

Pragnienie, by zdefiniować wiarę, nazwać jej dynamikę i uchwycić jej istotę, towarzyszyło mi od zawsze. Przede wszystkim szukałem drogi, pytając: co zrobić, by mieć silną wiarę? Jakie kroki wykonać, by ją rozwijać, pogłębiać? Z czasem nauczyłem się, że bierność niechybnie prowadzi do niewiary, dlatego tak ważne jest dla mnie poszukiwanie – ciągle szukanie odpowiedzi na pytania o wiarę, dążenie do zrozumienia jej, a przez to do poznania samego Boga.

Tak właśnie powstał podcast *Puzzle Wiary*. Jego charakter jest podobny do układania puzzli – żaden pojedynczy element nie oddaje całości, choć oczywiście stanowi jej ważną część (ale tylko część). Im więcej słucham, pytam, szukam, tym więcej widzę i rozumiem, a obraz całości staje się wyraźniejszy. Każdy odcinek *Puzzle Wiary* to fragment ogromnej układanki, której – prawdopodobnie – tu na ziemi nigdy nie uda się ułożyć. Wierzę jednak, że im więcej puzzli zdołam zebrać i dopasować, tym pełniejszy obraz Boga zobaczę, a przez to umocnię swoją wiarę.

Zapraszam Cię, byś i Ty dołączył do tej przygody układania *Puzzle Wiary*.

Kolejnych odcinków można słuchać w każdy czwartek na aplikacjach podcastowych oraz na stronie: www.puzzlewiary.pl.

Autor: Dawid Kołodziejczyk OP
Kraków 2025

Wydanie I
© Dawid Kołodziejczyk 2025

ISBN: 978-83-975225-3-4

978-83-975225-0-3 – EPUB
978-83-975225-1-0 – MOBI
978-83-975225-2-7 – PDF

Fragmenty Pisma Świętego za:
Biblia Tysiąclecia Online, Pallotinum, Poznań 2003, www.biblia.deon.pl.

Książka Dawida Kołodziejczyka OP pt. *Ułóż się. Rozmowy o Bogu, człowieku i świecie* uzyskała zgodę prowincjała Polskiej Prowincji Dominikanów Łukasza Wiśniewskiego OP na publikację –
por. Red. Prow. 143/25, Warszawa, 10.03.2025 r.

Redakcja

Zuzanna Marek

Korekta

Marta Koziak-Podczerwińska

Magdalena Król

Projekt okładki

Ireneusz Zajac OP

Projekt typograficzny i łamanie

Adam Gutkowski | goodkowskydesign.com